

# MARCEL PROUST

W CIENIU  
ZAKWITAJĄCYCH  
DZIEWCZĄT

Marcel Proust

**W cieniu zakwitających dziewcząt**

«Public Domain»

## **Proust M.**

W cieniu zakwitających dziewcząt / M. Proust — «Public Domain»,

W cieniu zakwitających dziewcząt jest drugim tomem cyklu powieściowego autorstwa Marcela Prousta pt. W poszukiwaniu straconego czasu. Tym razem główny bohater opisuje swoje miłosne doświadczenia — począwszy od rozwojów i upadków pierwszej miłości do Gilberty, córki Swanna, przez kolejne romanse i spotkanie następnej kobiety, pięknej Albertyny, która zawładła jego życiem. Główny bohater prowadzi również coraz bujniejsze życie towarzyskie w świecie wysoko postawionych obywateli. Utwór został opublikowany we Francji po raz pierwszy w 1919 roku. Marcel Proust to francuski pisarz, którego największym dokonaniem jest quasi-autobiograficzny cykl powieściowy W poszukiwaniu straconego czasu. Lata jego twórczości przypadają na pierwszą połowę XX wieku. Uważany przez niektórych za najważniejszego pisarza swoich czasów.

© Proust M.

© Public Domain

## Содержание

Tom pierwszy	5
Конец ознакомительного фрагмента.	67

# Marcel Proust

## W cieniu zakwitających dziewcząt

### Tom pierwszy

Kiedy była mowa o tym, aby zaprosić pierwszy raz pana de Norpois na obiad, matka wyraziła żal, że profesor Cottard jest w podróży i że się tak rozchwiały stosunki ze Swannem, bo i jeden i drugi zainteresowałby z pewnością byłego ambasadora. Na co ojciec odpowiedział, że człowiek wybitny, znakomity uczony, jak Cottard, zawsze może być ozdobą stołu; ale Swann, ze swoją manią puszenia się i przechwalania byle znajomościami, jest pospolity bufon, o którym margrabia de Norpois orzekłby z pewnością, że – aby użyć jego wyrażenia – „cuchnie”.

Ta odpowiedź ojca wymaga paru słów objaśnienia, niektórzy bowiem przypominają sobie pana Cottard jako bardzo mierną figurę, Swanna zaś jako człowieka posuwającego do najdalszych granic skromność i dyskrecję towarzyską. Ale, co się tyczy Swanna, zdarzyło się, że do „młodego Swanna”, a także do Swanna z Jockey Clubu, dawnego przyjaciela rodziców, przybyła nowa (i nie ostatnia jeszcze) osobistość: – Swann jako mąż Odety. Przystosowując do niewysokich ambicji tej kobiety instynkt, pasję, spryt, które zawsze posiadał, Swann silił się zbudować, o wiele poniżej swojej dawnej sfery, nową pozycję, dostosowaną do towarzyski życia mającej ją z nim dzielić. Otóż w tej sytuacji Swann był jak gdyby innym człowiekiem. Bywając wciąż na własną rękę u swoich osobistych przyjaciół, którym nie chciał narzucać Odety, skoro sami nie objawiali chęci poznania jej, równocześnie rozpoczynał z żoną nowe życie wśród nowych ludzi; można by tedy zrozumieć, że, dla określenia ich stanowiska, a tym samym własnej satysfakcji czerpanej w obcowaniu z nimi, posługiwał się, jako punktem porównania, nie ludźmi najświetniejszymi, stanowiącymi przed małżeństwem jego sferę, lecz poprzednimi stosunkami Odety. Ale, nawet kiedy się wiedziało, że dzisiejszy Swann łącznie znajomości z dość obskurnymi urzędnikami, z wątpliwymi damami – ozdobą ministerialnych balów – można się było zdumieć, iż on, który niegdyś – a nawet jeszcze dzisiaj – tak wykwintnie ukrywał jakieś zaproszenie do Twickenham albo do Buckingham Palace, chełpi się głośno, że małżonka jakiegoś zastępcy naczelnika wydziału rewizytowała jego żonę. Powie może ktoś, że poprzednia prostota wytwornego Swanna była jedynie wyrafinowaną formą próżności i że, jak się zdarza u Izraelitów, ten dawny przyjaciel moich rodziców mógł streszczać kolejne etapy ludzi swojej rasy, od prymitywnego snobizmu i pospolitego chamstwa aż do najwyrafinowanej<sup>1</sup> grzeczności. Ale główną przyczyną – i tę można przypisać ludzkości w ogóle – było to, że nawet nasze cnoty nie są czymś luźnym, płynnym, czym możemy zawsze rozrządzać do woli; zespalają się one w końcu tak ściśle w naszym umyśle z czynnościami, które nam je nałożyły, że, o ile się nastęrczy aktywność innego rodzaju, zastaje nas ona nieprzygotowanych, i nawet nam na myśl nie przychodzi, że mogłaby się kojarzyć z działaniem tych samych zalet. Swann, zabiegający o te nowe stosunki i chełpiący się nimi, był jak owi wielcy a skromni artyści, którzy, skoro pod koniec życia zapalą się do kuchni lub ogrodnictwa, objawiają naiwne zadowolenie z pochwał, jakimi ktoś darzy ich potrawy lub ich grządki; w tym przedmiocie nie dopuszczają krytyki, którą znoszą tak łatwo, gdy chodzi o ich arcydzieła; inni znowuż, hojnie rozdając swoje obrazy gratis, nie umieją pogodnie znieść parofrankowej przegranej w domino.

Ale profesora Cottard ujrzymy na dłużej, znacznie później, u „pryncypałki”, w posiadłości jej la Raspeliere. Na razie niech w jego przedmiocie wystarczy jedna uwaga, w zestawieniu ze Swannem. Co się tyczy Swanna, odmiana jego może ostatecznie zdziwić, ile że się spełniła bez mojej świadomości wówczas, gdy widywałem ojca Gilberty na Polach Elizejskich, gdzie zresztą nie odzywał się do mnie,

---

<sup>1</sup> wyrafinowańszy, najwyrafinowańszy – dziś popr.: bardziej wyrafinowany, najbardziej wyrafinowany. [przypis edytorski]

nie mógł się tedy popisywać przede mną swymi stosunkami w świecie oficjalnym. (Prawda, że gdyby nawet to robił, nie byłbym się może zaraz poznał na jego próżności, pojęcie bowiem, jakieśmy sobie od dawna wytworzyli o danej osobie, zamyka nam oczy i uszy: tak np. matka moja przez trzy lata nie spostrzegła, że jedna z jej siostrzenic maluje sobie usta; zupełnie tak jak gdyby szminka rozpuściła się nieznacznie a doszczętnie w jakimś płynie, aż do dnia, w którym nadmiar barwiczki lub inny jakiś powód wywołał zjawisko zwane przesyconieniem; cała wprzód niezauważona szminka skryształizowała się i, wobec tej nagłej rozpusty barw, matka oświadczyła – stylem Combray – że „to ohyda”, zrywając niemal wszelkie stosunki z siostrzenicą). Przeciwnie, co się tyczy pana Cottard, epoka, w której ukazaliśmy go świadkiem pierwszych kroków Swanna u państwa Verdurin, była już dość odległa; otóż, zaszczyty i tytuły przychodzą z wiekiem; po wtóre, można być niewykształconym literacko, robić idiotyczne kalambury, a posiadać swoisty dar, którego nie zastąpi żadna ogólna kultura; dar wielkiego wodza lub wielkiego klinicysty. Koledzy patrzyli na Cottarda nie tylko jak na pokątnego praktyka, który się stał z czasem europejską sławą. Najinteligentniejsi młodzi lekarze oświadczały – bodaj przez kilka lat, bo mody się zmieniają, zrodziwszy się z potrzeby zmiany – iż gdyby się im zdarzyło zachorować, jednemu Cottardowi oddaliby się w ręce. Bez wątpienia, woleli towarzystwo innych profesorów, bardziej czytanych, wyrobionych artystycznie, z którymi można było mówić o Nietzschem, o Wagnerze. Kiedy muzykowano w dniu przyjęć u pani Cottard, która przyjmowała kolegów i uczniów męża w nadziei, że profesor zostanie kiedyś dziekanem, on sam, zamiast słuchać, wolał grać w karty w sąsiednim pokoju. Ale chwalono szybkość i przenikliwość jego spojrzenia, pewność jego diagnozy.

Po trzecie, co się tyczy wzięcia profesora Cottard, oglądanego oczami człowieka takiego jak mój ojciec, zauważmy, że natura, jaką ujawniamy w drugiej połowie życia, nie zawsze jest – choć i to bywa – pierwotną naszą naturą rozwiniętą lub zmarniałą, zgrubiałą lub zwątloną; czasem jest to natura wręcz przeciwna, niby przenicowane ubranie. Z wyjątkiem państwa Verdurin, którzy się rozkochali w doktorze, niepewna mina Cottarda, jego nieśmiałość, jego nadmiar uprzejmości, ściągały nań od młodu wieczne przycinki. Któryż miłosierny przyjaciel doradził mu minę lodowatą? Powaga stanowiska ułatwiła mu przybranie tej miny. Wszędzie, z wyjątkiem salonu państwa Verdurin, gdzie bezwiednie stawał się z powrotem sobą, Cottard robił się zimny, rozmyślnie milczący, apodyktyczny, gdy trzeba było zabrać głos, przy czym nie omieszkał mówić ludziom przykrych rzeczy. Mógł wypróbować to nowe wzięcie na pacjentach, którzy, nie znając go wprzód, nie mogli robić porównań i byłiby bardzo zdziwieni, dowiadując się, że szorstkość profesora nie płynie z jego natury.

Silił się zwłaszcza na chłód, i nawet podczas wizyty szpitalnej, popełniając jeden z owych kalamburów, które rozśmieszały wszystkich, od pierwszego asystenta do najmłodszego eksterna, robił to zawsze tak, aby ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy, zmienionej zresztą do niepoznaki przez zgolenie brody i wąsów.

Powiedzmy na zakończenie, kim był margrabia de Norpois. Był przed wojną ministrem pełnomocnym, ambasadorem z 16 maja, mimo to, ku zdumieniu wszystkich, nieraz od tego czasu reprezentował Francję w specjalnych misjach, nawet jako kontroler długu publicznego w Egipcie, gdzie, dzięki swoim finansowym zdolnościom, oddał ważne usługi. Używały go do tych celów gabinety radykalne, którym prosty mieszczanin-reakcjonista wzdragałby się służyć, a które powinny by były zachować podejrzliwość wobec przeszłości pana de Norpois, wobec jego stosunków i przekonań. Ale ci postępowi ministrowie zdawali sobie widocznie sprawę, że taką nominacją okazują, jak daleko sięga ich szerokość poglądów, gdy chodzi o dobro Francji; tym samym wysuwali się na czoło polityków, zyskując to, że nawet sam „Journal des Debats” mienił ich mężami Stanu; przy czym korzystali i z uroku arystokratycznego nazwiska, i z sensacji nieoczekiwanego wyboru. Wiedzieli zarazem, że, powołując pana de Norpois, mogą zebrać wszystkie korzyści, nie potrzebując się obawiać z jego strony uchybienia lojalności politycznej; urodzenie margrabiego, zamiast go czynić podejrzanym w tej mierze, było im raczej rękojmnią. I w tym rząd Republiki nie mylił

się. Arystokraci pewnego typu przywykli od dziecka uważać swoje nazwisko jako<sup>2</sup> organiczną właściwość, której nic nie może wydrzeć, a której wartość równi im lub jeszcze wyżsi znają dość dokładnie; tacy wiedzą, że mogą sobie oszczędzić daremnych wysiłków, jakich, przeważnie bez rezultatu, dokłada tylu mieszczan, aby wyznawać jedynie poglądy dystyngowane lub przestawać z osobami „dobrze myślącymi”; w zamian za to, pragnąc się podnieść w oczach rodzin magnackich, poniżej których znajduje się bezpośrednio, arystokracja ta wie, że może to osiągnąć jedynie dodając do swego nazwiska coś, czego ono nie posiadało, a co, przy równej wartości nazwisk, przeważa szale na ich korzyść: wpływy polityczne, sławę literacką lub artystyczną, wielki majątek. Obojętni dla bezpożytecznego szlachciury, cenionego przez mieszczaństwo, a nieprzynoszącego im swoją jałową przyjaźnią żadnego prestige'u<sup>3</sup> w oczach magnatów, karierowicze ci zachowują wszystkie swoje względy dla ludzi politycznych, choćby masonów, którzy mogą im pomóc do uzyskania ambasady lub mandatu; dla artystów lub uczonych, zdolnych poparciem swoim ułatwić „wypłynięcie” w sferze, w której królują; dla wszystkich wreszcie mogących im użyczyć nowego blasku lub pomóc do bogatego małżeństwa.

Ale, co się tyczy pana de Norpois, miał on za sobą przede wszystkim to, że w długiej praktyce dyplomatycznej nasiąkł owym duchem negatywnym, rutynicznym, konserwatywnym, zwanym „duchem rządu”, a będącym w istocie duchem wszelkich rządów, w szczególności zaś, pod wszelkimi rządami, duchem biurokracji. Nabył w dyplomacji wstrętu, lęku i wzdargy do owych mniej lub więcej rewolucyjnych, a co najmniej niepoprawnych metod, jakimi są metody opozycji. Z wyjątkiem pewnych prostaków z ludu i z „towarzystwa”, dla których różnice gatunków są martwą literą, zbliża ludzi nie jedność przekonań, lecz powinowactwo ducha. Akademik typu pana Legouvé, zwolennik klasyków, chętniej oklaskiwałby pochwałę Wiktora Hugo wygłoszoną przez Maksyma du Camp lub pana de Mézières, niż pochwałę Boileau w ustach Claudela. Nacjonalizm wystarczy, aby zbliżyć Barrèsa do jego wyborców, którzy nie robią zapewne różnicy między nim a panem Georges Berry; ale nie wystarczy, aby go zbliżyć do tych jego kolegów z Akademii, którzy, posiadając wspólne z nim przekonania, ale inną umysłowość, będą woleli od niego nawet przeciwników, jak panowie Ribot i Deschanel; a z tymi znowuż wierni monarchiści czują się o wiele bliżej niż z Maurrasem i Leonem Daudet, również pragnącymi powrotu króla.

Skąpy w słowach nie tylko przez zawodowy nawyk ostrożności i umiaru, ale także dlatego że słowa mają większą cenę, że przedstawiają więcej odcieni w oczach ludzi, których dziesięcioletnie wysiłki dla zbliżenia dwóch krajów streszczają się i wyrażają w przemówieniu, w protokole – prostym przymiotnikiem, banalnym na pozór, ale dla nich zawierającym całe światy, pan de Norpois uchodził za bardzo chłodnego w komisji, gdzie zasiadał obok mego ojca i gdzie każdy wieszował ojcu przyjaźni eks-ambasadora. Przyjaźń ta dziwiła nawet ojca. Z natury niezbyt uprzejmy, przywykł do tego, że nie cieszy się popularnością poza kręgiem bliskich znajomych i przyznawał się do tego z prostotą. Miał świadomość, że w życzliwości dyplomaty grał rolę momenta na wskroś indywidualny, rozstrzygający o ludzkich sympatiach; ile że najcenniejsze przymioty umysłu lub serca u osoby, która skądinąd nudzi nas lub drażni, mniej będą dla nas warte niż swoboda i wesołość innego człowieka, dla wielu znowuż czcze i puste.

– Norpois zaprosił mnie znowu na obiad; to nadzwyczajne; wszyscy zdumieni są w komisji, gdzie nie utrzymuje z nikim stosunków osobistych. Jestem pewien, że znów mi opowie wstrząsające rzeczy o roku 1870.

Ojciec wiedział, że jedyny może pan de Norpois ostrzegał był swego czasu cesarza o rosnącej potędze i o wojennych zamiarach Prus i że Bismarck miał jego inteligencję w osobliwej cenie. Świeżo jeszcze, w Operze, podczas gali na cześć króla Teodozjusza, dzienniki zauważyły długą rozmowę, jaką monarcha ów zaszczycił pana de Norpois.

<sup>2</sup> uważać coś jako – dziś popr.: uważać coś za. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> prestige'u – dziś popr. zapis spolszczony: prestiżu. [przypis edytorski]

– Muszę się dowiedzieć, czy ta wizyta króla jest naprawdę czymś ważnym – rzekł ojciec, który bardzo się interesował polityką zagraniczną. – Wiem, że stary Norpois nie jest skłonny do wynurzeń, ale ze mną tak się rozkrochmała!

Co się tyczy matki, być może iż z natury nie przepadała za rodzajem inteligencji, który reprezentował eks-ambasador. Godzi się rzec, iż konwersacja pana de Norpois była tak kompletnym repertuarem przestarzałych form wysłowienia, właściwych pewnemu zawodowi, pewnej klasie i epoce – epoce, która, dla tego zawodu i dla tej klasy, nie była może tak zupełnie minioną – iż żałuję czasami, że nie zapamiętał po prostu i dosłownie jego rozmów. Byłbym wówczas osiągnął wrażenie zamierzchłej mody równie tanim kosztem i w ten sam sposób, co ów farsowy aktor, który, pytany, skąd bierze swoje kapelusze, odpowiedział: „Ja ich nie biorę, ja je przechowuję”.

Słowem, sądzę, że matce wydawał się pan de Norpois nieco antyczny, co nie raziło jej bynajmniej z punktu widzenia manier, ale mniej zachwycało ją w dziedzinie nie poglądów – bo poglądy pana de Norpois były bardzo nowoczesne – lecz wyrażień. Czuła jednakże, że mile głaszcze męża, mówiąc z zachwytem o dyplomacie, który darzył go tak rzadkim wyróżnieniem. Utrwalając w umyśle ojca jego dobre mniemanie o panu de Norpois i wzmacniając w nim przez to jego dobre mniemanie o sobie samym, matka miała uczucie, że spełnia jeden ze swoich obowiązków, polegający na tym, aby umilać życie mężowi, jak to czyniła czuwając nad tym, aby kuchnia była wyborna, a usługa cicha. Że zaś była niezdolna skłamać ojcu, ćwiczyła się sama w podziwieniu dla ambasadora, aby go móc szczerze chwalić. Ceniła zresztą w panu de Norpois wyraz dobroci, uprzejmość trochę niemodną i tak wyszukaną, kiedy np. idąc i prostując swoją wysoką postać, spostrzegłszy matkę jadącą powozem, zanim się jej ukłonił, odrzucał ledwie napoczęte cygaro; rozmowę tak pełną umiaru, w której mówił jak najmniej o sobie i zawsze liczył się z tym, co może być najprzyjemniejsze partnerowi; zdumiewającą wreszcie punktualność w odpowiadaniu na listy. Czasami, kiedy, ledwie wysławszy list, ojciec otrzymywał kopertę z pismem pana de Norpois, pierwszą jego myślą było, że nieszczęśliwym wypadkiem listy ich się zmięły; można by sądzić, że dla pana de Norpois poczta wybiera listy w nadliczbowych godzinach! Matka zdumiewała się, że margrabia jest tak akuratywny, mimo iż tak zajęty, że jest tak uprzejmy, chociaż tak rozrywany, nie myśląc, że wszelkie „mimo” jest zawsze zapoznanym „ponieważ”, i że (tak samo jak starcy są zdumiewający na swój wiek, królowie pełni prostoty, a mieszkańcy prowincji *au courant*<sup>4</sup> wszystkiego) te same przyzwyczajenia pozwalają panu de Norpois czynić zadość tylu zajęciom i być tak akuratywnym w odpowiedziach, być miłym w wielkim świecie i uprzejmym dla nas. Co więcej, błąd mojej matki, jak u wszystkich osób zbyt skromnych, pochodził stąd, że rzeczy, które dotyczyły jej, kładła poniżej innych, tym samym poza innymi. Szybka odpowiedź, którą poczytywała za zasługę przyjacielowi ojca, dlatego że miał w ciągu dnia dużo listów do napisania, wyłączała z owej mnogości, w której ten list był tylko jednym więcej; tak samo nie zastanawiała się, że obiad u nas był dla pana de Norpois jednym z niezliczonych obrzędów jego życia towarzyskiego; nie przychodziło jej na myśl, że ambasador z dawna przywykł w dyplomacji uważać proszone obiady za część swoich funkcji i rozwijać na nich zastarzały wdzięk, z którego nie miał powodu wyzuć się specjalnie, będąc na obiedzie u nas.

Pierwszy obiad z panem de Norpois, w roku, gdy jeszcze chodził się bawić na Pola Elizejskie, pozostał mi w pamięci, bo popołudniu tego samego dnia ujrzałem wreszcie Bernę w *Fedrze*, a także bo w rozmowie z panem de Norpois zdałem sobie nagle sprawę, jak dalece uczucia moje we wszystkim, co tyczyło Gilberty Swann i jej rodziców, różnią się od uczuć, jakie ta rodzina budzi w kimkolwiek innym.

Zapewne widząc przygnębienie, w jakim mnie pogrążyły nadchodzące ferie noworoczne, podczas których – jak mi to Gilberta sama oznajmiła – nie miałem jej widzieć, jednego dnia, aby mnie rozerwać, matka rzekła:

---

<sup>4</sup> *au courant* (fr.) – na bieżąco. [przypis edytorski]

– Jeżeli wciąż masz jeszcze wielką ochotę urzucić Berme, sądzę, że może ojciec pozwoliłby ci iść z babką do teatru.

To pan de Norpois powiedział ojcu, że powinien by mi pozwolić zobaczyć Berme, że to jest dla młodego człowieka cenne wspomnienie. Ojciec, dotąd przeciwny temu, abym miał tracić czas i narażać się na chorobę dla rzeczy, którą, ku zgorszeniu babki, nazywał głupstwem, skłonny był – pod wpływem uwagi ambasadora – uznać ten wieczór w teatrze za nieokreśloną część całokształtu cennych przepisów wiodących do świetnej kariery. Babka, która, wyrzekając się dla mnie korzyści, jaką, wedle niej, byłoby dla mnie widzieć Berme, robiła wielką ofiarę dla mego zdrowia, dziwiła się, że ten взгляд stał się nagle nieważny na jedno słowo pana de Norpois. Pokładając niezłomne nadzieje racjonalistki w świeżym powietrzu i we wczesnym chodzeniu spać, które mi zalecano, bolała nad wyłomem w owym trybie i powtarzała ojcu: „Jakiś ty lekkomyślny!”. Na co ojciec, wściekły, odpowiadał: „Jak to! więc teraz mama nie chce, żeby on szedł do teatru! To paradne, a cały czas powiadała mama, że to będzie dla niego z pożytkiem”.

Ale pan de Norpois odmienił intencje ojca w rzeczy o wiele dla mnie ważniejszej. Ojciec zawsze pragnął, abym został dyplomatą, ja zaś nie mogłem znieść myśli, iż, nawet gdybym miał spędzić jakiś czas w „centrali”, byłbym narażony na to, że mogliby mnie wysłać kiedyś jako ambasadora w kraje, gdzie nie mieszka Gilberta. Byłbym wolał wrócić do projektów literackich, którym tworzył niegdyś, a którym porzucił w czasie swoich spacerów w stronę Guermantes. Ale ojciec był stale przeciwny karierze literackiej, którą uważał za coś o wiele niższego od dyplomacji, odmawiając jej nawet miana kariery; aż do dnia, w którym pan de Norpois, nie bardzo lubiący dyplomatów z mieszczaństwa, upewnił go, że można jako pisarz zdobyć sobie tyleż uznania, działać równie skutecznie, a zachować większą niezależność.

– No i co, nie byłbym przypuszczał, stary Norpois nie jest wcale przeciwny literaturze – rzekł ojciec. Że zaś, dość ustosunkowany sam przez się, ojciec wierzył, iż nie ma rzeczy, której by się nie dało ułożyć i załatwić pomyślnie w rozmowie wpływowych ludzi, dodał:

– Ściągnę go któregoś dnia po komisji na obiad. Pomówisz z nim trochę, aby cię mógł ocenić. Napisz coś dobrego, co by mu można było pokazać; on żyje blisko z redaktorem „Revue des Deux Mondes”, wkręci cię tam, to spryciarz; a dalibóg, on, zdaje się, uważa, że dzisiaj dyplomacja!...

Szczęście, jakim byłoby nie rozstawać się z Gilbertą, wzbudziło we mnie chęć (ale nie zdolność) napisania pięknej rzeczy, którą by można pokazać panu de Norpois. Po pierwszych stronicach, nuda wytrącała mi pióro z ręki; płakałem z wściekłości, myśląc, że nigdy nie będę miał talentu, że nie mam zdolności i że nie będę mógł nawet skorzystać z szansy pozostania na zawsze w Paryżu, jaką mi daje bliska wizyta pana de Norpois. Jedyne myślenie, że będę mógł zobaczyć Berme, łagodziła moją zgrzyotę. Ale tak samo jak byłbym chciał oglądać burzę jedynie na wybrzeżach, gdzie bywa najgwałtowniejsza, tak samo byłbym chciał urzucić wielką aktorkę jedynie w jednej z klasycznych ról, w których, jak mi to mówił Swann, sięgała szczytu. Kiedy, w nadziei cennego odkrycia, pragniemy kosztować pewnych wrażeń natury lub sztuki, niezbyt jesteśmy skłonni zadowolić się w ich miejsce wrażeniem słabszym, zdolnym omamić nas co do ścisłej wartości Piękna. Berma w *Andromace*, w *Kapryśach Marianny*, w *Fedrze*, to były owe rzeczy sławne, których tak łaknęła moja wyobraźnia. Gdybym usłyszał Berme recytującą ten wiersz:

„Mówią że nas opuszczasz w najbliższej godzinie,  
Książę,” etc.<sup>5</sup>

doznałbym tego samego zachwyty, co w dniu, w którym gondola zawiozłaby mnie do stóp Tycjana u Frari lub Carpaccia w San Giorgio dei Schiavoni.

---

<sup>5</sup> etc. – skrót od łac. *et caetera*: i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

Znałem te wiersze jedynie z prostej czarno-białej reprodukcji w druku; ale serce biło mi, kiedy myślałem, niby o ziszczeniu jakiejś podróży, że ujrzę je wreszcie skąpane w rozświetlonej atmosferze złotego głosu. Carpaccio w Wenecji, Berma w *Fedrze*, arcydzieła sztuki malarskiej lub dramatycznej! – związany z nimi urok czynił z nich coś tak żywego, to znaczy tak niepodzielne, że gdybym zobaczył Carpaccia w Luwrze lub Bermę w jakimś nieznanym mi utworze, nie doświadczyłbym tego rozkosznego zdumienia, iż nagle oczy moje otworzyły się wobec niepojętego i jedyne przedmioty tylu tysięcy moich snów. Oczekując zarazem od Bermy objawienia pewnych form szlachetności, bólu, sądziłem, że to co jest w jej grze wielkie i prawdziwe, musi być większe i prawdziwsze, gdy aktorka zwiąże to z dziełem istotnej wartości, zamiast jedynie haftować prawdę i piękno na miernej i pospolitej kanwie.

Gdybym wreszcie zobaczył Bermę w jakiej nowej sztuce, niełatwo by mi było osądzić jej sztukę, jej dykcję, skoro nie mógłbym dokonać rozdziału między tekstem – nieznanym mi z góry – a tym, co by mu przydały akcenty i gesty, zlewające się dla mnie z tekstem; natomiast dawne dzieła, umiane na pamięć, zdawały mi się niby wielkie przestrzenie, umyślnie zastrzeżone, gdzie bym mógł z całą swobodą oceniać inwencje, jakimi, niby freskiem, pokryłaby je Berma w nieprzerwanym bogactwie natchnienia. Na nieszczęście od czasu, gdy opuściła wielkie sceny i napełniała kasę bulwarowego teatru, którego była gwiazdą, nie grywała już klasyków; daremnie śledzi<sup>6</sup> afisze; zawsze oznajmiały sztuki zupełnie nowe, fabrykowane specjalnie dla Bermy przez wziętych autorów. Naraz, jednego rana, szukając na słupie z afiszami „popołudniówek” na świąteczny tydzień, ujrzałem pierwszy raz – na zakończenie spektaklu, po jakiejś błahej (jak sądziłem) sztuczce, której tytuł wydał mi się mętny, ponieważ personifikował treść nieznaną mi akcji – dwa akty *Fedry* z panią Bermą, w dalszych zaś popołudniowych spektaklach *Półświatek*, *Kaprysy Marianny* – tytuły, które, jak *Fedra*, były dla mnie przejrzyste, napełnione samą jasnością, tak dobrze owe dzieła były mi znane, rozświetlone do głębi uśmiechem sztuki. Tytuły te pomnażały mi dostojeństwo samej Bermy, kiedy wyczytał obok programu w dzienniku, że to ona zapragnęła pokazać się na nowo publiczności w paru dawnych kreacjach.

Zatem, artystka wiedziała, że niektóre role mają wartość trwalszą niż moment ich premiery lub sukces wznowienia; uważała je, w swojej interpretacji, za arcydzieła muzealne, warte, aby je na nowo ukazać oczom pokolenia, które ją w nich podziwiał, lub tego, które jej w nich nie zna. Kładąc tak na afiszu, pośród sztuk przeznaczonych jedynie na wypełnienie wieczoru, *Fedre*, której tytuł, nie dłuższy od tamtych tytułów, wydrukowano takimi samymi czcionkami, Berma czyniła jak gdyby gest gospodyni domu, gdy przedstawiając nas gościom w chwili siadania do stołu, wymienia pośród obojętnych nazwisk, nie zmieniając tonu: „pan Anatol France”.

Lekarz, który mnie miał w swojej opiece – ten sam, który mi zabronił wszelkich podróży – odradzał rodzicom dla mnie teatr; wróciłbym (powiadał) z teatru chory, może na długo, i w sumie przyniosłoby mi to więcej cierpienia niż przyjemności. Ta obawa mogłaby mnie powstrzymać, gdyby to, czegom oczekiwał po takim widowisku było tylko przyjemnością, którą suma późniejszego cierpienia może sprowadzić do zera. Ale to, czegom żądał od tego widowiska – tak samo jak od wymarzonej podróży do Balbec lub do Wenecji – było zupełnie czymś innym niż przyjemnością; spodziewałem się po tym prawd należących do świata realniejszego niż ów, w którym żyłem; prawd, których, skoro je raz posiadam, nie mogłyby mi wydrzeć błahy – choćby nawet bolesne dla mego ciała – wypadki mojej czelej egzystencji. Co najwyżej, przyjemność, jakiej kosztowałbym w teatrze, wydawała mi się potrzebną może formą doznania tych prawd; to wystarczało, abym pragnął, by przepowiedziane cierpienia zaczęły się aż po spektaklu, nie psując i nie fałszując tej przyjemności. Błagałem rodziców, którzy, od czasu wizyty lekarza, nie chcieli mi pozwolić iść na *Fedre*. Powtarzałem sobie bez końca tyradę: „Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie”, próbując wszelkich intonacji, jakie można by w nią włożyć, iżbym mógł lepiej zmierzyć

<sup>6</sup> *daremnie śledził* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: daremnie śledziłem. [przypis edytorski]

niespodziankę akcentu, jaki znajdzie dla niej Berma. Boskie Piękno, ukryte jak *sanctissimum* pod zasłoną, która mi je kryła i poprzez którą użyczałem mu co chwilę nowej postaci, w duchu słów Bergotte'a – w plakietce odnalezionej przez Gilbertę – wciąż powracających w mojej myśli: „uplastyczniona szlachetność, chrześcijańska włosiennica, jansenistyczna bladość, księżna Trezeny i de Clèves, mykeński dramat, delficki symbol, mit słoneczny”, – boskie Piękno, które miała mi odsłonić gra Bermy, królowała dniem i nocą na wciąż oświeconym ołtarzu, w głębi mojej duszy, w oczekiwaniu, aż wyrok moich surowych i lekkomyślnych rodziców orzeknie, czy dusza ta posiadzie – i to na zawsze – doskonałości Bóstwa odsłoniętego w tym samym miejscu, w którym wznosił się jego niewidzialny kształt.

I z oczyma wlepionymi w niepojęty obraz, walczyłem od rana do wieczora przeciw zaporom, jakie stawiała mi rodzina. Ale, kiedy zapory runęły, kiedy matka – mimo że przedstawienie wypadło właśnie w dniu komisji, po której ojciec miał przyprowadzić na obiad pana de Norpois – powiedziała mi: „No cóż, nie chcemy cię dręczyć; skoro sądzisz, że ci to sprawi taką przyjemność, to już idź”; kiedy teatr, dotąd zabroniony, zależał tylko ode mnie, wówczas, po raz pierwszy, niepochłonięty już tym, aby ów teatr przestał być niemożliwością, pytałem sam siebie, czy on jest upragniony, czy inne racje niż zakaz rodziców nie powinny by mi kazać się go wyrzec.

Po pierwsze, przez kontrast do nienawistnego okrucieństwa, zgoda rodziców zrodziła we mnie taką dla nich czułość, że myśl o ich przykrości sprawiała ból mnie samemu. Celem życia wydała mi się już nie prawda, ale czułość; wartość jego mierzyłem jedynie tym, czy rodzice będą szczęśliwi. „Wolałbym raczej nie iść, gdyby cię to miało zmartwić” rzekłem do matki, która, przeciwnie, starała się oddalić ode mnie tę myśl, iż mogłaby być z tego powodu smutna: ta myśl – powiadała – zepsułaby mi przyjemność, jakiej miałem kosztować na *Fedrze*, i dla której i ona sama, i ojciec cofnęli zakaz. Ale wówczas ów jak gdyby obowiązek doznania przyjemności wydał mi się bardzo ciężki. Przy tym, gdybym wrócił chory, czy wyzdrowieję dość szybko, aby móc iść na Pola Elizejskie po feriach, skoro tylko zaczniesz tam chodzić Gilberta?

Z wszystkimi tymi racjami zestawiałem – aby rozstrzygnąć, co ma przeważać – niewidzialną pod swymi zasłonami myśl o doskonałości Bermy. Na jedną szalę kładłem myśl, że mama jest smutna, ryzyko, że nie będę mógł iść na Pola Elizejskie, na drugą „jansenistyczną bladość, mit słoneczny”; ale nawet te słowa mętniały w końcu w moim umyśle, nie mówiły mi już nic, traciły wszelki ciężar gatunkowy; stopniowo wahania moje stawały się tak bolesne, że gdybym się teraz zdecydował na teatr, to już tylko dlatego, aby je zakończyć i uwolnić się od nich raz na zawsze. Uczyniłbym to po to, aby skrócić swoje cierpienia, nie zaś w nadziei intelektualnej korzyści, ani pod urokiem doskonałości; dałbym się poprowadzić nie ku Mądrej Bogini, ale ku niewidzialnemu Bóstwu bez twarzy i nazwy, które zniemacka wstawiono pod zasłoną w jej miejsce.

Ale nagle wszystko się odmieniło; moje pragnienie ujrzenia Bermy otrzymało nową podniechęć, która pozwoliła mi niecierpliwie i radośnie oczekiwać teatru. Wybrawszy się na swoją codzienną, a od niedawna tak okrutną stację słupnika pod kolumną z afiszami, ujrzałem mokry jeszcze szczegółowy afisz *Fedry*, który przyklepiono po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, reszta obsady nie przyniosła nowego uroku, który by mógł mnie zdecydować. Ale widok ten dawał jednemu z celów, między którymi wahało się moje niezdecydowanie, kształt bardziej konkretny: data afisza oznaczała nie dzień, w którym go czytałem, ale ów, w którym miało się odbyć przedstawienie, godzinę podniesienia kurtyny; było to tak bliskie, tak realne, że podskoczyłem z radości przed słupem na myśl, że owego dnia, prawie o tej samej godzinie, siedząc na swoim miejscu, będę się gotował ujrzeć Berme. I z obawy, że rodzice mogą już nie dostać dobrych miejsc dla babki i dla mnie, pobiegłem pędem do domu, smagany magicznymi słowy, które zastąpiły w mojej myśli *jansenistyczną bladość* i *mit słoneczny*: „przed zajęciem miejsc w krzesłach, panie obowiązane są zdjąć kapelusze” i „punktualnie o godzinie drugiej, drzwi będą zamknięte”.

Niestety! ten pierwszy poranek stał się wielkim zawodem. Ojciec zaproponował, że udając się na komisję, odwiezie babkę i mnie do teatru. Wychodząc, rzekł do matki:

– Postaraj się, żeby był dobry obiad; pamiętasz, że mam przyprowadzić pana de Norpois?

Matka nie zapomniała. I od poprzedniego dnia Franciszka, szczęśliwa, że może się oddawać sztuce kuchennej, do której miała niewątpliwy talent, podniecona zresztą zapowiedzią nowego gościa, wiedząc, że będzie musiała przyrządzić wedle jej tylko wiadomej recepty sztukamię w auszpiku, żyła w gorączce tworzenia; że zaś przywiązywała ogromną wagę do jakości produktów mających wchodzić w skład jej dzieła, udała się sama do Hal, aby wybrać najpiękniejsze płyty rumsztyku, nogi wołowe, nóżki cielęce, niby Michał Anioł, spędzający osiem miesięcy w górach Karary, aby wybrać najdoskonalsze złomy marmuru na pomnik Juliusza II. W te wstępne przygotowania wkładała Franciszka tyle żaru, że mama, widząc jej rozplomioną twarz, obawiała się, aby stara służąca nie rozchorowała się z przemęczenia, jak twórca grobowca Medyceuszów w łomach Pietraganta. I już poprzedniego dnia Franciszka posłała szynkę, którą nazywała nefiorską, osłoniętą miękiszem chleba niby różowy marmur, aby ją upiec u piekarza. Niewątpliwie za pierwszym razem, kiedy usłyszała o szynce *yorskiej*, Franciszka, uważając język za mniej bogaty i swoje własne uszy za nie dość pewne, nie uwierzyła w tę rozrzutność słownika i w to, aby mógł istnieć zarazem i York, i Nowy York; sądziła tedy, że się przesłyszała i że chodzi po prostu o słowo znane jej wprzód. Toteż od owego czasu, przed słowem *York* zjawiał się w jej uszach lub przed jej oczami – kiedy czytała anons – przydatek *New*, który wymawiała *Nef*. I z najlepszą wiarą mówiła do posługaczki:

– Idź, przynieś mi szynkę od Olidy. Pani mówiła koniecznie, żeby była nefiorska.

Tego dnia, o ile Franciszka oddychała płomienną pewnością twórców, moim udziałem był okrutny niepokój poszukiwaczy. Bez wątpienia, dopókim nie usłyszał Bermi, doznawałem przyjemności. Doznawałem jej na skwerku przed teatrem, gdzie w dwie godziny później nagie kasztany miały się lśnić metalicznym blaskiem, gdy płomyki gazu oświetlą szczegółowo ich gałęzie; i w obliczu kontrolerów, których wybór, awans, los zależał od wielkiej artystki: ona sama dzierżyła władzę w zarządzie teatru, na którego czele przesuwali się kolejno znikomi i czysto nominalni dyrektorowie. Kontrolerzy odebrali bilety, nie patrząc na nas, przejęci myślą, czy wszystkie zlecenia ich pani wiernie przekazano nowemu personelowi; czy dobrze zrozumiano, że klaka nigdy nie ma oklaskiwać jej samej; że okna mają być otwarte, póki jej nie ma na scenie, a najmniejsze drzwi zamknięte potem; że garnek z gorącą wodą ma stać ukryty w jej pobliżu, dla oczyszczenia powietrza z kurzu. I w istocie, za chwilę powóz Bermi, zaprzężony w dwa długogrzywe konie, zatrzyma się przed teatrem, ona wysiądzie zakutana w futra i, odpowiadając znużonym gestem na ukłony, pośle którąś z pokojówek, aby się upewniła, czy zarezerwowano łożę dla przyjaciół, aby sprawdziła temperaturę sali, klasę publiczności, zachowanie się odźwiernych. Teatr i publiczność to był dla Bermi jedynie drugi, bardziej zewnętrzny kostium, w który wchodziła; atmosfera zaś sali była lepszym lub gorszym przewodnikiem jej talentu.

Byłem szczęśliwy również na samej widowni. Od czasu jak wiedziałem – na wspak temu, co sobie długo wyobrażały moje dziecięce urojenia – że jest tylko jedna scena dla wszystkich, myślałem, że przez głowy innych widzów musi być równie trudno widzieć, co kiedy się jest w tłumie; otóż, przekonałem się, iż przeciwnie, dzięki urządzeniu, które jest symbolem wszelkiej percepcji, każdy czuje się niby w centrum widowni. To mi wytłumaczyło, iż raz, kiedy posłano Franciszkę na jakiś melodramat na galerię, upewniała za powrotem, że miała miejsce najlepsze w całym teatrze, i nie tylko nie uważała, że siedzi za daleko, ale przeciwnie, czuła się zaniepokojona tajemniczą i żywą bliskością kurtyny.

Przyjemność moja wzrosła jeszcze, kiedy za spuszczoną kurtyną zacząłem rozróżniać mętne odgłosy, podobne tym, które się dają słyszeć w skorupie jajka, kiedy się ma wyląc pisklę. Niebawem hałasy wzmożyły się i naraz z tego świata niedostępnego naszym oczom, ale widzącego nas, skierowały się niewątpliwie do nas w despotycznej formie trzech uderzeń, równie wzruszających co sygnały nadane z Marsa. I skoro się już podniosła ta kurtyna, kiedy biurko i kominek, dosyć pospolite zresztą, oznajmiły nam, iż osoby, które zaraz wejdą na scenę, to będą nie deklamatorzy, tacy, jakich raz widziałem na wieczorze, ale ludzie przeżywający u siebie w domu jeden dzień swego życia, w które

wdzierałem się przemocą, niewidziany przez nich – przyjemność moja trwała nadal. Przerwał ją krótki niepokój: właśnie kiedy nadstawiał uszu, zanim się zaczęła sztuka, weszło na scenę dwóch ludzi, widocznie rozgniewanych, skoro mówili tak głośno, że w tej sali, liczącej więcej niż tysiąc miejsc, można było rozróżnić ich słowa, gdy w małej kawiarence trzeba się pytać garsona, co mówią dwaj goście, którzy się pokłócili z sobą. Ale w tej samej chwili, zdumiony, że publiczność słucha ich bez protestu, zatopiona jednomyślną ciszą, z której to tu to tam zachlupotał śmiech, zrozumiałem, że ci kłótnicy to są aktorzy i że zaczęła się właśnie jednoaktówka, zwana *lever de rideau*.

Nastąpił po niej antrakt tak długi, że widzowie, wróciwszy na miejsca, niecierpliwi się, tupali nogami. Przeraziło mnie to; tak samo bowiem, jak kiedy czytałem w sprawozdaniu z procesu, że jakiś szlachetny człowiek z własną szkodą złożył świadectwo na korzyść niewinnego, bałem się, iż nie będą dla tego świadka dość mili, że nie okażą mu dosyć wdzięczności, że go nie wynagrodzą dość hojnie i że, zmierzony tym, przejdzie na stronę niesprawiedliwości, tak samo, upodabniając w tym geniusz do cnoty, bałem się, że Berma, zrażona niesfornym zachowaniem się tak źle wychowanej publiczności – wśród której, przeciwnie, byłbym rad, aby mogła z satysfakcją rozpoznać kilka znakomitości, na których sędzie by jej zależało – wyrazi jej swoje niezadowolenie i wzgardę, grając lichy. I patrzyłem błagalnie na te tupiące bydłeta, zdolne w swojej wściekłości skruszyć wątle i cenne wrażenie, po którym przyszedł.

Wreszcie, ostatnie chwile mojej przyjemności przypadły w czasie pierwszych scen *Fedry*. Sama Fedra nie pojawia się w owym początku drugiego aktu; jednakże, z chwilą gdy kurtyna się podniosła i gdy się rozsunała druga kurtyna z czerwonego aksamitu, przecinająca scenę we wszystkich sztukach, w których występowała gwiazda, weszła głębią aktorka o twarzy i głosie podobnych tym, jakie, wedle tego co mi mówiono, miała mieć Berma. Musiano widocznie zmienić obsadę; cała pilność, jaką włożyłem w studiowanie roli małżonki Tezeusza, poszła na marne! Ale jeszcze inna aktorka brała udział w dialogu. Musiałem się pomylić, biorąc tamtą za Bermę, bo ta druga była do niej jeszcze podobniejsza; – co więcej, miała jej dykcję. Obie zresztą stroiły swoje role w szlachetne gesty – które dobrze rozróżniałem, pojmując ich związek z tekstem, gdy aktorki podnosiły swoje piękne fałdziste szaty – a także w bogate, to namiętne, to ironiczne intonacje, pozwalające mi zrozumieć sens wierszy, które czytałem w domu, nie dość zwracając uwagę na ich znaczenie. Ale naraz, między czerwonymi oponami sanktuarium, ukazała się, niby w ramie, inna kobieta i natychmiast odczułem lęk o wiele dotkliwszy, niż mógł być lęk Bermy o to, że jej nie w porę otworzą okno, że ktoś skazi dźwięk jej słów szeleszcząc programem, że publiczność urazi ją, oklaskując jej koleżanki lub nie dość oklaskując ją samą. Z tego wzruszenia, w którym od tej chwili – i jeszcze absolutniej niż dla samej Bermy – sala, publiczność, aktorzy, sztuka i moje własne ciało stały się dla mnie wyłącznie przewodnikiem akustycznym, mającym znaczenie jedynie w tej mierze, w jakiej jest on korzystny dla modulacji tego głosu, zrozumiałem, że dwie aktorki, podziwiane przeze mnie od kilku minut, nie mają żadnego podobieństwa z tą, którą przyszedłem oglądać.

Ale równocześnie cała moja przyjemność ustała; daremnie wyteżałem ku Bermie oczy, uszy, myśl, aby nie uronić ani okruszyny z przyczyn, jakich dostarczała mojemu podziwowi; nie zdołałem pochwytać ani jednej. Nie mogłem nawet, jak u jej koleżanek, rozróżnić w jej dykcji i grze inteligentnych akcentów, pięknych gestów. Słuchałem tak, jakbym czytał *Fedre* lub jakby sama Fedra mówiła w tej chwili, bez żadnego naddatku płynącego z talentu Bermy. Aby móc zgłębić, aby próbować odkryć, w czym tkwi jej artyzm, byłbym pragnął zatrzymać, unieruchomić na długo każdą intonację artystki, każdy wyraz jej fizjonomii; starałem się bodaj, za pomocą umysłowego wysiłku, ustaliwszy i wycelowawszy przed każdym wierszem swoją uwagę, nie strwonić na przygotowania ani jednej cząstki trwania każdego słowa i gestu i dzięki nasileniu uwagi wnikać w nie tak głęboko, co gdybym miał na ten cel długie godziny. Ale jakże to trwanie było krótkie! Ledwie dźwięk jaki dostał się do mego ucha, już zastępował go inny. W scenie, gdy Berma trwa nieruchomo jakiś czas z ręką na wysokości twarzy, skąpiana dzięki grze reflektorów w zielonkawym świetle, na tle dekoracji

przedstawiającej morze, sala buchnęła oklaskiem; ale już artystka zmieniła miejsce: obraz, który byłbym chciał studiować, przestał istnieć.

Powiedziałem babce, że nie widzę dobrze; dała mi lornetkę. Ale kiedy się wierzy w realność rzeczy, posługiwać się sztucznym środkiem, aby ich osiągnąć, nie jest tym samym, co czuć je blisko siebie. Miałem uczucie, że już nie Bermę widzę, ale jej obraz w powiększającym szkłe. Odłożyłem lornetkę; ale może obraz, który przyjmowało moje oko, zmniejszony oddaleniem, nie był wierniejszy: która z dwóch Berm była prawdziwa? Co się tyczy jej oświadczyn Hipolitowi, bardzo liczyłem na ten ustęp, w którym, wnosząc ze znaczących akcentów, jakie koleżanki Bermy odkrywały mi co chwila w mniej pięknych miejscach, spodziewałem się u niej samej akcentów niezwyklejszych niż te, które czytając starałem się w domu wydobyć; ale nie dosięgła nawet tych, na które się zdobyły dotąd Enona lub Arycja; wszystko przeciągnęła strychnulcem jednotonnej melopei, całą tyradę, w której mieszały się przeciwieństwa, tak przecież wyraźne, że bodaj trochę inteligentna tragiczka, nawet uczennica liceum, nie omieszkałaby ich wyzyskać. Zresztą Berma wygłosiła ten ustęp tak szybko, że dopiero kiedy doszła do ostatniego wiersza, umysł mój uświadomił sobie rozmyślną monotonię, jaką narzuciła pierwszym.

Wreszcie buchnęło moje pierwsze uczucie podziwu: wywołały je frenetyczne oklaski publiczności. Dołączyłem do nich swoje, starając się przedłużyć owacje, iżby Berma przez wdzięczność przeszła samą siebie, tak abym był pewny, że ją oglądał w jednym z jej najlepszych dni. Ciekawe jest, że chwila, w której rozpętał się ten entuzjazm, była – dowiedziałem się o tym później – momentem, gdy Berma ma jeden ze swoich najpiękniejszych efektów. Zdaje się, że pewne wyższe realności wysyłają dokoła siebie promienie, na które tłum jest wrażliwy. Tak na przykład, kiedy się spełnia jakieś wydarzenie, kiedy na granicy armia jest w niebezpieczeństwie albo pobita, albo zwycięska, wówczas mętne wiadomości, niewiele dostarczające materiału wykształconemu człowiekowi, niecą w tłumie wzruszenie, które nas zdumiewa, a w którym, skoro raz eksperci uświadomią nam istotną sytuację wojenną, uznajemy wrażliwość tłumy na ową „aurę”, jaka otacza wielkie wypadki i może być widzialna na setki kilometrów. Człowiek dowiaduje się o zwycięstwie albo po wszystkim, kiedy wojna jest skończona, albo natychmiast z radości odzwiernego. Odkrywa się genialny rys gry Bermy w tydzień po przedstawieniu z krytyk albo natychmiast z oklasków widowni. Że jednak ta bezpośrednia świadomość tłumy miesza się z setką innych, całkowicie błędnych, brawa padały najczęściej fałszywie, nie licząc, że wzbudzała je już mechanicznie siła poprzednich braw, jak w czasie burzy raz rozhuśtane morze wzbiera dalej, nawet gdy wiatr się już nie wzmaga.

Ale mniejsza; w miarę jak klaskałem, zdawało mi się, że Berma lepiej gra. „Przynajmniej – mówiła obok mnie kobieta dosyć pospolita – ta się nie oszczędza; wali się w piersi, że aż dudni, biega po scenie; to, to rozumiem, to się nazywa grać”. I szczęśliwy, że znalazłem te racje wyższości Bermy, mimo moich podejrzeń, że one nie tłumaczą jej, jak nie tłumaczy *Giocondy* lub *Perseusza* Benvenuta wykrzyknik kmiotka: „To ci pięknie odrobione! całe ze szczerzego złota, i co za praca!” – z upojeniem dzieliłem tanie wino tego ludowego entuzjazmu.

Czułem mimo to, po zapadnięciu kurtyny, rozczarowanie, że ta przyjemność, której tak bardzo pragnąłem, nie była większa; ale równocześnie czułem potrzebę przedłużenia jej, nie pożegnania na zawsze, wraz z opuszczeniem sali, tego życia teatru, które przez kilka godzin było moim życiem, z którego byłbym się wyrwał, niby na wygnanie, gdybym, wracając do domu, nie miał nadziei dowiedzenia się tam wiele o Bermie od jej wielbiciela, któremu zawdzięczałem, że mi pozwolono iść na *Fedre* – od pana de Norpois.

Ojciec przedstawił mnie ambasadorowi przed obiadem, wezwawszy mnie w tym celu do gabinetu. Kiedym wszedł, dyplomata wstał, podał mi rękę, pochylił wysoką postać i wlepił we mnie bacznie niebieskie oczy. Ponieważ przejezdni cudzoziemcy, których mu przedstawiano w epoce, gdy reprezentował Francję, byli mniej lub więcej – licząc w to głośnych śpiewaków – figurami wybitnymi, o których pan de Norpois wiedział, iż będzie mógł powiedzieć kiedyś – gdy kto wymieni ich nazwisko w Paryżu lub w Petersburgu – że sobie doskonale przypomina wieczór spędzony

z nimi w Monachium lub w Sofii, ambasador przywykł podkreślać swoją uprzejmością radość z ich poznania; co więcej, przekonany, iż w życiu stolic, przez równoczesny kontakt z zajmującymi osobami, które przez nie przejeżdżają i ze zwyczajami ludu, który je zamieszkuje, nabywa się głębszej i niepodobnej do uzyskania z książek znajomości historii, geografii, obyczajów rozmaitych narodów, ruchu umysłowego Europy, pan de Norpois ćwiczył na każdym nowo przybyłym swoją bystrość, aby od razu przejrzeć, z jakim gatunkiem człowieka ma do czynienia. Rząd nie powierzał już od dawna panu de Norpois placówek zagranicznych, ale z chwilą gdy eks-ambasadorowi przedstawiano kogoś, oczy jego, tak jakby nie przyjęły do wiadomości jego „stanu spoczynku”, zaczynały owocnie obserwować, gdy on sam całą postawą starał się okazać, że nazwisko cudzoziemca nie jest mu obce. Toteż, mówiąc do mnie z dobrocią i z ważnością człowieka mającego świadomość swego rozległego doświadczenia, nie przestawał mnie badać z roztropnym zaciekawieniem, dla własnej przyjemności, tak jakbym był jakimś egzotycznym zwyczajem, pouczającym zabytkiem lub gwiazdą na *tournée*. W ten sposób pan de Norpois dawał w stosunku do mnie zarazem dowód majestatycznej uprzejmości roztropnego Mentora i pilnej ciekawości młodego Anacharsisa.

Nie ofiarował mi się absolutnie z niczym w przedmiocie „Revue des Deux Mondes”, ale zadał mi pewną ilość pytań co do mego życia i studiów, co do moich upodobań, o których pierwszy raz w mojej obecności mówiono jak o czymś godnym wzięcia pod uwagę, gdy dotąd sądziłem, iż obowiązkiem jest sprzeciwiać się im. Ponieważ wiodły mnie one ku literaturze, ambasador nie odwracał mnie od tego; przeciwnie, mówił o literaturze z szacunkiem, niby o czcigodnej i uroczej osobie z najlepszego towarzystwa, o której zachowało się z Drezna lub z Rzymu wyborne wspomnienia i z którą, ku swemu ubolewaniu, skutek warunków życia, człowiek spotyka się zbyt rzadko. Z frywolnym niemal uśmiechem ambasador zdawał mi się zazdrościć szczęśliwych chwil, które ja, szczęśliwszy od niego i swobodniejszy, będę mógł z nią spędzić. Ale same wyrażenia, którymi pan de Norpois się posługiwał, ukazywały mi Literaturę jako coś bardzo odmiennego od jej obrazu, jaki sobie stworzyłem w Combray; i zrozumiałem, że miał podwójnie rację, wyrzekając się jej. Dotąd zdawałem sobie jedynie sprawę z tego, że nie mam daru pisania; obecnie pan de Norpois odbierał mi nawet ochotę do pisania. Chciałem się z nim podzielić swoimi rojeniami; drżąc ze wzruszenia, byłbym sobie wyrzucał, gdyby słowa moje nie były najszczęśliwszym wyrazem tego, com odczuwał i czegom nigdy nie próbował sobie sformułować; tym samym słowa moje dalekie były od ścisłości. Może z zawodowego nawyku, może siłą spokoju, jakiego nabywa człowiek ważny, którego proszą o radę i który, wiedząc, iż zachowa w ręku bieg rozmowy, pozwala interlokutorowi miotać się, wysilać, męczyć; może również, aby uwydatnić typ swojej głowy (wedle niego samego grecki, mimo wielkich bokobrodów), pan de Norpois, kiedy mu się coś tłumaczyło, zachowywał twarz równie nieruchomą, co gdyby się mówiło w gliptotece przed jakimś popiersiem antycznym – i głuchym. Naraz, spadając niby młotek taksatora lub wyrocznia delficka, głos ambasadora, rozlegający się w odpowiedzi, wzruszał cię tym bardziej, ile że nic na twarzy pana de Norpois nie zwiastowało wrażenia, jakie na nim wywarłeś, ani zdania, jakie miał wyrazić.

– Właśnie – rzekł do mnie nagle, tak jakby sprawa była osądzona, i pozwoleńszy mi bredzić pod swoim nieruchomym spojrzeniem, które nie opuszczało mnie ani na chwilę – właśnie znam syna jednego z przyjaciół, który, *mutatis mutandis*<sup>7</sup> jest w podobnym położeniu. – (Mówiąc o naszych wspólnych skłonnościach, pan de Norpois przybrał ten sam pocieszający ton, co gdyby to były skłonności nie do literatury lecz do reumatyzmu i gdyby mnie chciał upewnić, że się z tego nie umiera). – Toteż wołał opuścić Quai d’Orsay, gdzie, bądź jak bądź, miał już wytyczoną drogę przez swego ojca, i nie troszcząc się o ludzkie języki, zaczął pisać. To pewna, że nie miał powodu tego żałować. Ogłosił przed dwoma laty (jest zresztą o wiele starszy od pana, oczywiście) dzieło traktujące o poczuciu Nieskończoności na zachodnim brzegu jeziora Victoria Nyanza, a w tym roku dziełko mniej ważkie, ale skreślone piórem żwawym, niekiedy nawet ciętym, o karabinie repetierowym

<sup>7</sup> *mutatis mutandis* (łac.) – z uwzględnieniem istniejących różnic. [przypis edytorski]

w armii bułgarskiej; które to dwie prace stworzyły mu sytuację zupełnie wyjątkową. Zrobił już ładny szmat drogi, a nie jest to człowiek, który by się zatrzymał w połowie, i wiem, że, nie biorąc co prawda w rachubę ewentualnej kandydatury, rzucono parę razy jego nazwisko, ot, w rozmowie, w Akademii Nauk Politycznych, i to w sposób zgoła niemający nic nieprzychylnego. W sumie, mimo iż nie można powiedzieć, aby już się znalazł na szczycie cokołu, zdobył sobie wstępny bojem ładną pozycję. Sukces, który nie zawsze przypada jedynie niespokojnym i mętnym głowom, ryerczom idei często będącym po prostu ryerczami przemysłu, sukces, powiadam, uwieńczył jego trudy.

Ojciec, widząc mnie już za kilka lat członkiem Akademii, oddychał z zadowoleniem, a pan de Norpois spotęgował je jeszcze, kiedy po chwili wahania, podczas której zdawał się obliczać następstwa swego czynu, rzekł, podając mi swój bilet: „Niech pan do niego zajdzie, powołując się na mnie; będzie mógł panu udzielić cennych wskazówek”. Słowa te przyprawiły mnie o wstrząs równie gwałtowny, co gdyby mi oznajmiono, że mam się znaleźć nazajutrz jako majtek na pokładzie żaglowca.

Ciocia Leonia zrobiła mnie spadkobiercą nie tylko wielu przedmiotów i mebli bardzo kłopotliwych, ale i całego swego ruchomego majątku, zdradzając tym przywiązanie, którego nie domyślałem się za jej życia. Ojciec, mający zawiadywać tym majątkiem do mojej pełnoletności, poradził się pana de Norpois co do niektórych lokat. Pan de Norpois polecił papiery słabo procentujące, które uważał za szczególnie pewne, mianowicie konsolidy angielskie i czteroprocentową pożyczkę rosyjską. „Przy tych walorach, zupełnie pierwszorzędnym – rzekł pan de Norpois – jeżeli dochód nie jest zbyt wysoki, masz pan przynajmniej pewność, że nigdy nie uronisz kapitału”. Co się tyczy reszty, ojciec zwierzył się z grubsza z tym, co kupił. Pan de Norpois powinszował mu nieznacznym uśmiechem: jak wszyscy kapitaliści, uważał majątek za rzecz godną zazdrości, ale wydawało mu się delikatniejsze komplementować jego posiadacza ledwie dostrzegalnym znakiem porozumienia; z drugiej strony, sam będąc kolosalnie bogaty, uważał za rzecz dobrego smaku okazywać uznanie dla czyichś znacznie mniejszych dochodów, radośnie i przyjemnie oceniając w duchu przewagę własnych. W zamian nie wahał się winszować ojcu „kompozycji” jego portfela „o smaku bardzo pewnym, bardzo delikatnym, bardzo finezyjnym”. Można by rzec, iż pan de Norpois przypisuje stosunkom papierów wartościowych między sobą lub nawet papierom wartościowym jako takim coś jakby wartość estetyczną. Kiedy mu ojciec wspomniał o pewnym dość nowym i mało znanym papierze, pan de Norpois, podobny ludziom znającym książkę, o której sądziliśmy, iż znamy ją tylko my jedni, rzekł: „Ależ tak, śledziłem jakiś czas ten papier dla rozrywki w cedułkach, bardzo zajmujący” – z retrospektywnym i uśmiechniętym zainteresowaniem abonenta, który czytał ostatnią powieść w miesięczniku, partiami, w odcinkach. „Nie odradzałbym panu podpisania emisji, którą wypuszczą niebawem. Jest bardzo apetyczna, proponuje panu walory po kuszących cenach”. Mówiąc znowu o pewnych dawnych papierach, ojciec, nie przypominając sobie dobrze nazw, łatwych do pomylenia z innymi pokrewnymi, otworzył szufladę i pokazał ambasadorowi oryginalne akcje. Widok ich zachwycił mnie; zdobyły je katedry i alegoryczne postacie, jak w starych romantycznych wydawnictwach, którym przeglądał niegdyś. Wszystko, co jest z jednej doby, podobne jest do siebie; ci sami artyści, którzy ilustrują poematy jakiejś epoki, pracują dla przedsiębiorstw finansowych. I nic tak nie przywodzi na pamięć zeszytów *Notre-Dame de Paris* i dzieł Gerarda de Nerval, widniejących na wystawie kupca korzennego w Combray, jak, w swojej prostokątnej i kwiecistej obwódce, wspieranej przez bóstwa rzeczne, nominalna akcja Towarzystwa Okrętowego.

Ojciec miał dla mojego rodzaju inteligencji wzgardę na tyle skorygowaną czułością, aby w sumie uczucie jego w stosunku do wszystkiego, co robiłem, wyrażało się ślepym pobbżaniem. Toteż nie zawahał się wysłać mnie po mały poemacik prozą, niegdyś napisany w Combray za

powrotem z przechadzki. Pisałem go w ekstazie, która – sadiłem – musi się udzielić czytającemu. Ale nie zdołała snadź<sup>8</sup> ogarnąć pana de Norpois, bo oddał mi rękopis bez słowa.

Matka, pełna szacunku dla zajęć ojca, przysłała zapytać nieśmiało, czy można podawać. Bała się przerwać rozmowę, w której nie uważano by może jej udziału za potrzebny. I w istocie, co chwila ojciec przypominał margrabiemu jakiś pożyteczny wniosek, który postanowili poprzeć na najbliższej komisji, a czynił to owym specjalnym tonem, jaki – podobni w tym dwóm uczniakom – mają w odmiennym środowisku dwaj koledzy, posiadający wspólne, a niedostępne innym wspomnienia zawodowe, i niemal zażenowani tym, że się im oddają w przytomności<sup>9</sup> obcych.

Ale idealna autonomia mięśni twarzy, do jakiej doszedł pan de Norpois, pozwalała mu słuchać, nie zdradzając, że słyszy. Ojciec zmieszał się w końcu. „Zamierzałem spytać o zdanie komisji...” – mówił do pana de Norpois po długich wstępach. Wówczas, z twarzy arystokratycznego wirtuoza, który zachował martwość muzyka, zanim przyjdzie moment jego partii, wychodziło równo i miarowo, tonem ostrym i jak gdyby kończącym – tym razem innym brzmieniem głosu – rozpoczęte zdanie: „...której z pewnością nie omieszka pan zwołać, tym snadniej, że jej członkowie znani są panu poszczególnie i mogą się zebrać bez trudu”. Samo w sobie zakończenie to nie miało zapewne nic niezwykłego. Ale nieruchomość, która je poprzedziła, odcinała je z krystaliczną przejrzystością – niemal filuternością fraz, jakimi w koncercie Mozarta, milczący dotąd fortepian odpowiada w danym momencie wiolonczeli.

– I cóż, kontent jesteś ze swojego teatru? – rzekł w chwili, gdyśmy przechodzili do jadalni, ojciec, aby mi dać sposobność zabłyśnięcia i sądząc, że mój entuzjazm da o mnie dobre pojęcie panu de Norpois. – Był właśnie oglądać *Bermę*; przypomina pan sobie, żeśmy mówili o tym. – rzekł ojciec, obracając się do dyplomaty, tym samym tonem retrospektywnej, technicznej i tajemniczej aluzji, co gdyby chodziło o posiedzenie komisji.

– Musiał pan być zachwycony, zwłaszcza jeśli ją pan widział po raz pierwszy. Ojciec pański niepokoił się, jak ta mała eskapada odbije się na pańskim zdrowiu, bo pan jest, o ile wiem, nieco delikatny, nieco wątpliwy. Ale uspokoiłem pańskiego ojca. Teatry nie są dziś tym, czym były jeszcze przed dwudziestu laty. Mamy fotele mniej więcej wygodne, niezłą wentylację, mimo że wiele musielibyśmy jeszcze dokładać starań, aby dogonić Niemcy i Anglię, które pod tym względem, jak pod wieloma innymi, wyprzedziły nas kolosalnie. Nie widziałem pani *Bermy* w *Fedrze*, ale słyszałem, że ma być wspaniała. I był pan oczarowany, naturalnie?

Pan de Norpois, tysiąc razy wytrawniejszy ode mnie, musiał posiadać ową prawdę, której ja nie umiałem wycisnąć z gry *Bermy*, i odkryje mi ją z pewnością; w odpowiedzi na jego pytanie, miałem go prosić, aby mi powiedział, na czym polega ta prawda; tym samym usprawiedliwiłby moją uprzednią żądę oglądania tej aktorki. Miałem tylko chwilę czasu, trzeba było skorzystać z niej i skierować wywiad na zasadnicze punkty. Ale które? Skupiając całkowicie uwagę na swoich tak mętnych wrażeniach, nie siląc się bynajmniej olśnić pana de Norpois, lecz raczej uzyskać od niego upragnioną prawdę, nie starałem się zastąpić słów, których mi brakowało, gotowymi zwrotami; bełkotałem coś i w końcu, aby tym skuteczniej wydobyć zeń, co w *Bermie* jest cudowne, wyznałem, że doznałem zawodu.

– Jak to – wykrzyknął ojciec, niekontent z ujemnego wrażenia, jakie wyznanie mojej niekompetencji może sprawić na panu de Norpois – jak możesz mówić, żeś nie czuł przyjemności! Babka opowiadała nam, żeś nie uronił ani słowa z roli *Bermy*, żeś wybałuszał na nią oczy, i że ty jeden zachowywałeś się tak w całej sali.

– Ależ tak, słuchałem, ile tylko mogłem, aby zbadać, co w niej jest tak nadzwyczajnego. Niewątpliwie, jest bardzo dobra...

– Jeżeli jest bardzo dobra, czegoż ci trzeba więcej?

---

<sup>8</sup> *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *w przytomności* (daw.) – tu: w obecności. [przypis edytorski]

– Jedną z rzeczy, które niewątpliwie przyczyniają się do sukcesu pani Berma – rzekł pan de Norpois, zwracając się dwornie do matki, aby jej nie zostawiać poza nawiasem i aby sumiennie dopełnić obowiązków grzeczności wobec gospodyni domu – jest doskonały smak, jaki wkłada w wybór swoich ról, co jej zawsze przynosi rzetelny i dobrze zasłużony sukces. Rzadko grywa w rzeczach miernych. Ot, i teraz zmierzyła się z rolą Fedry. Zresztą, ten sam smak wkłada w swoje tualety, w sposób gry. Mimo że odbywała częste i lukratywne tournée po Anglii i Ameryce, pospolitość, nie powiem Johna Bulla, co byłoby niesprawiedliwe, przynajmniej dla Anglii wiktoriańskiej, ale wujaszka Sama, nie przyłgnęła do niej. Nigdy zbyt jaskrawych barw, przesadnych krzyków. A przy tym ten cudowny głos, którym włada z takim kunsztem i którym posługuje się tak czarująco, byłbym niemal skłonny powiedzieć – muzycznie!

Moje zainteresowanie grą Bermy wzrastało nieustannie od czasu, jak przedstawienie się skończyło, bo nie podlegało już uciskowi i granicom rzeczywistości; ale czułem potrzebę znalezienia dla niego motywów; co więcej, podczas gdy Berma grała, kierowało się ono równie żarliwie na wszystko, co ona, siłą niepodzielności życia, dawała moim oczom, moim uszom; nie oddzielałem i nie wyróżniałem nic; toteż szczęśliwy byłem, że znajduję racjonalną przyczynę w pochwałach pana de Norpois oddanych prostocie, dobremu smakowi artystki. Zainteresowanie moje przyciągało te pochwały ku sobie całą siłą swej absorpcji, zagarniało je tak, jak optymizm pijanego zagarnia uczynki sąsiada, w których znajduje powód do rozczuleń. „To prawda – powiadałem sobie – co za piękny głos, co za brak wszelkiego krzyku, co za prostota stroju, co za inteligencja w wyborze *Fedry*! Nie, nie zawiodłem się”.

Zjawiła się zimna wołowina z marchewką, ułożona przez Michała Anioła naszej kuchni na ogromnych płatach auszpiku, podobnych przezroczystym blokom kryształu.

– Ma pani kuchmistrza zupełnie bezkonkurencyjnego – rzekł pan de Norpois. – A to nie jest rzecz błaha. Ja, który musiałem prowadzić zagranicą dom na pewnej stopie, wiem, jak jest czasem trudno znaleźć autentycznego wirtuoza patelni. Ależ to prawdziwa biesiada, to, czym nas pani dziś raczy.

W istocie, Franciszka, podniecona ambicją popisania się wobec niezwykle gościa obiadem nareszcie najeżonym godnymi jej trudnościami, zadała sobie trud, jakiego nie zadawała już sobie dla nas; odnalazła swoje niezrównane sekrety z Combray.

– Oto czego nie można dostać w garkuchni (mam na myśli pierwszorzędne): zraz wołowiny, przy której auszpiku nie byłoby czuć klejem i gdzie mięso przesiąkło zapachem marchewki, to cudowne! Pozwoli mi pani powtórzyć – dodał, robiąc znak, że chce dobrać auszpiku. – Byłbym teraz ciekaw osądzić tego artystę przy daniu zupełnie odmiennym, ujrzeć go na przykład mierzącego się z *boeuf à la Strogonoff*!

Aby się również opodatkować na rzecz uroków obiadu, pan de Norpois poczęstował nas historyjkami, którymi raczył obficie swoich kolegów po fachu, to cytując jakiś pocieszny zwrot, użyty przez męża stanu uprawiającego długie zdania i mętne obrazy, to jakąś lapidarną formułę dyplomaty pełnego attycyzmu. Ale, prawdę mówiąc, kryterium, wedle którego pan de Norpois rozróżniał te dwa rodzaje powiedzeń, nie było w niczym podobne do tych, które stosowałem w literaturze. Wiele odcieni umykało mi się; powiedzenia, które pan de Norpois cytował, parszkając śmiechem, nie wydawały mi się zbyt różne od tych, które przytaczał jako niepospolite. Należał do typu ludzi, którzy na moje ulubione utwory powiedzieliby: „Zatem pan to rozumie? Co do mnie, przyznaję się, że nie rozumiem nic, nie należę do wtajemniczonych”; ale ja mógłbym mu odpłacić tym samym; nie chwytalem dowcipu lub głupoty, lapidarności lub pustki, które on znajdował w jakiejś replice czy przemówieniu. Brak wszelkiej uchwytniej racji, czemu jedno jest złe, a drugie dobre, sprawiał, że ten rodzaj literatury był dla mnie bardziej tajemniczy, ciemniejszy niż jakikolwiek inny. Pojmowałem jedynie, że powtarzać to, co wszyscy myślą, nie jest w polityce oznaką niższości, lecz wyższości. Kiedy pan de Norpois posługiwał się pewnymi wyświechtanymi po dziennikach zwrotami i wygłaszał

je z siłą, czuć było, że przez to samo, iż on ich użył, nabierają one wagi czynu, i to czynu, który wywoła komentarze.

Matka liczyła bardzo na sałatę z ananasów i trufli. Ale ambasador, skierowawszy przez chwilę na tę potrawę bystre oko obserwatora, jadł spowity w dyplomatyczną dyskrecję i nie zdradził nam swojej myśli. Matka nalegała, aby dobrał, co też pan de Norpois uczynił, ale powiadając jedynie, w miejsce spodziewanego komplementu:

– Jestem posłuszny, pani, skoro widzę, że to jest prawdziwy „ukaz<sup>10</sup>” z jej strony.

– Czytaliśmy w „organach opinii”, że pan długo rozmawiał z królem Teodozjuszem – rzekł ojciec.

– W istocie, król, który ma rzadką pamięć fizjonomii, był tak łaskaw, widząc mnie w fotelach w teatrze, przypomnieć sobie, iż miałem zaszczyt widywać go przez szereg dni na dworze bawarskim, kiedy nie myślał o swoim wschodnim tronie (wiadomo panu, że go nań powołał kongres europejski i że król nawet bardzo się wahał z przyjęciem, uważając ten tron za niezupełnie odpowiadający jego rodowi, najszlachetniejszemu – biorąc heraldycznie – w całej Europie). Adiutant przyszedł mi oznajmić, abym pośpieszył przedłożyć swoje służby jego królewskiej mości, któremu to rozkazowi skwapliwie uczyniłem zadość.

– Czy był pan kontent z wyników pobytu króla?

– Zachwycony! Wolno było mieć niejaki obawy co do sposobu, w jaki tak młody jeszcze monarcha wywiąże się z trudnej sytuacji, zwłaszcza w tak delikatnej konfiguracji. Co do mnie, pokładałem pełne zaufanie w politycznym zmyśle młodego suwerena. Ale wyznaję, że przeszedł moje oczekiwania. Toast, który wygłosił w Elizeum i który, wedle informacji z miarodajnego źródła, jest od pierwszego do ostatniego słowa jego dziełem, był w pełnej mierze godny zainteresowania, jakie wszędzie obudził. To było po prostu mistrzowskie posunięcie; nieco śmiałe, przyznaję chętnie, ale ostatecznie wypadki w pełni usprawiedliwiły tę śmiałość. Dyplomatyczne tradycje mają swoje zalety, ale w tym wypadku stworzyły one w końcu między jego a naszym krajem atmosferę duszną, w której niepodobna było oddychać. Otóż, jednym ze sposobów odświeżenia powietrza (oczywiście sposobem, którego nie można zalecać, ale na który król Teodozjusz mógł sobie pozwolić), jest stłuc szyby. I zrobił to z humorem, który oczarował wszystkich, i z celnością słowa, nieomylnie zdradzającą ową kulturalną rasę dynastii, do której król Teodozjusz należy przez matkę. To pewna, że kiedy mówił o „powinowactwach”, łączących jego kraj z Francją, wyrażenie to, choć mało używane w słowniku dyplomatycznym, okazało się niezwykle szczęśliwe. Widzi pan, że literatura nie przeszkadza, nawet w dyplomacji, nawet na tronie – dodał pan de Norpois, zwracając się do mnie. – Sama rzecz, przyznaję to, była skonstatowana od dawna i stosunki między dwoma mocarstwami stały się doskonałe. Ale trzeba było to powiedzieć. Oczekiwano tego słowa; wybrane było cudownie i widzieliście państwo, jaki znalazło oddźwięk. Co się mnie tyczy, oklaskiwałem je ze wszystkich sił.

– Przyjaciół pański, pan de Vaugoubert, który przygotowywał od lat to zbliżenie, musiał być rad.

– Tym więcej, że jego królewska mość, dość świadom tych okoliczności, pragnął mu zrobić niespodziankę. Niespodzianka ta była zresztą zupełna dla wszystkich, począwszy od ministra spraw zagranicznych, któremu (wedle tego, co mi powiadano) nie przypadła ona do smaku. Komuś, kto go o to zagadnął, minister odpowiedział wręcz, dość głośno, aby sąsiednie osoby mogły słyszeć: „Ani się mnie nie radzono, ani mnie nie uprzedzono”, wskazując jasno, że się uchyla od wszelkiej odpowiedzialności w tej mierze. Trzeba przyznać, że incydent narobił ładnego hałasu, i nie śmiałbym twierdzić – dodał pan de Norpois ze złośliwym uśmiechem – czy ci z moich kolegów, dla których najwyższym prawem zdaje się być prawo najmniejszego wysiłku, nie uczuli się zakłóceni w swojej inercji. Co się tyczy Vaugouberta, czy pan wie, że on był bardzo atakowany za swoją politykę zbliżenia z Francją i musiał cierpieć nad tym, ile że to jest człowiek bardzo wrażliwy, najtkliwsze serce. Mogę

---

<sup>10</sup> ukaz (z ros.) – rozporządzenie. [przypis edytorski]

o tym zaświadczyć lepiej niż ktokolwiek, bo mimo że jest ode mnie młodszy, i to znacznie, stykałem się z nim często, jesteśmy starymi przyjaciółmi, znam go dobrze. Zresztą, któż by go nie znał? To kryształ. To nawet jedyna wada, jakiej by się w nim można dopatrzeć; bo nie jest konieczne, aby serce dyplomaty było aż tak przezroczyste. To nie przeszkadza, że mówią o wysłaniu go do Rzymu, co stanowi nie tylko piękny awans, ale i ciężki orzech do zgryzienia. Mówiąc między nami, sądzę, że Vaugoubert, mimo iż tak wyzuty z ambicji, byłby z tego bardzo rad i nie żąda wcale, aby od niego oddalono ten kielich. Dokaże tam może cudów; jest kandydatem Consulty; co do mnie, widzę go bardzo dobrze, z jego artystyczną naturą, w ramie pałacu Farnese i galerii Carraccia. Zdawałoby się, że przynajmniej nikt nie powinien go nienawidzić; ale jest koło króla Teodozjusza cała kamaryla mniej lub więcej zaprzędana w lenno Wilhelmstrasse, strzegąca posłusznie płynących stamtąd inspiracji, starająca się na wszelkie sposoby szyć naszemu przyjacielowi buty. Vaugoubert miał przeciwko sobie nie tylko intrygi kularowe, ale zniewagi najemnych pismaków, którzy później, nikczemni jak każdy płatny skryba, wywiesili białą chorągiew, wprzód nie wahając się wytaczać przeciw naszemu przedstawicielowi bezmyślnych oskarżeń, godnych ludzi z rynsztoka. W ciągu wielu miesięcy wrogowie Vaugouberta tańczyli dokoła niego taniec skalpu – rzekł pan de Norpois, akcentując z siłą to ostatnie słowo. – Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże; Vaugoubert odtrącił te obelgi kopnięciem nogi – dodał ambasador jeszcze energiczniej i ze spojrzeniem tak srogim, że na chwilę przestaliśmy jeść. – Jak powiada piękne przysłowie arabskie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”...

Wyrzuciwszy ten cytat, pan de Norpois zatrzymał się, aby spojrzeć na nas i ocenić wrażenie. Wrażenie było wielkie; znaliśmy to przysłowie. Zastąpiło ono tego roku u ludzi miarodajnych owo drugie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, które potrzebowało nieco wypocząć, nie mając tak niestrudzonej żywotności jak to: „Pracować dla króla Prus”. Bo kultura owych znamienitych ludzi była gospodarką płodozmienną, przeważnie trójpolową. Zapewne, cytaty tego rodzaju, którymi pan de Norpois umiał jak nikt okraszać swoje enuncjacje w „Revue des Deux Mondes”, nie były nieodzowną rękojmnią solidności i dobrej informacji tych artykułów. Nawet bez tej okraszy wystarczało, aby pan de Norpois napisał we właściwym momencie (czego nie zaniedbał nigdy): „Gabinet Saint-James nie ostatni zrozumiał niebezpieczeństwo” albo: „Poruszenie było wielkie na Pont-aux-Chartres, gdzie niespokojnym okiem śledzono samolubną, ale zręczną politykę dwugłowej monarchii”, albo „Krzyk na alarm rozległ się z Montecitorio”, lub wreszcie: „Owa wiekuista podwójna gra, najzupełniej w stylu Ballplatz”. Po tych wyrażeniach profan poznawał natychmiast zawodowego dyplomata i oddawał mu pokłon. Ale opinię człowieka będącego czymś więcej niż dyplomata, człowieka o wyższej kulturze, stworzyło panu de Norpois umiejętne posługiwanie się cytatami, których idealnym wzorem był wówczas taki aforyzm: „Róbcie dobrą politykę, a ja wam będę robił dobre finanse, jak zwykł był mawiać baron Louis”. (Jeszcze nie sprowadzono ze Wschodu tego: „Zwycięstwo przypada temu z przeciwników, który umie cierpieć kwadrans dłużej, jak powiadają Japończycy”.) Ta reputacja człowieka wielkiej kultury, połączona z prawdziwym geniuszem intrygi, ukrytym pod maską obojętności, wprowadziła pana de Norpois do Akademii Nauk Politycznych. I pewne osoby myślały nawet, że nie byłby nie na miejscu w Akademii Francuskiej, w dniu, kiedy, chcąc wskazać, iż, zacieśniając sojusz z Rosją, zdołamy dojść do porozumienia z Anglią, pan de Norpois nie zawahał się napisać: „Niechaj to dobrze wiedzą na Quai d’Orsay, niech tego odtąd uczą we wszystkich podręcznikach geografii, bardzo pod tym względem zacofanych, niech palą bezlitośnie przy maturze każdego kandydata, który nie będzie umiał powiedzieć: »O ile wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, w zamian za to droga, wiodąca z Paryża do Londynu, idzie nieodzownie przez Petersburg«”.

– *Summa summarum* – ciągnął pan de Norpois, zwracając się do mego ojca – Vaugoubert uszczknął sobie w tej okoliczności ładny sukces, przechodzący nawet jego uzasadnione nadzieje. Spodziewał się w istocie toastu poprawnego (co, zważywszy chmury tych ostatnich lat, byłoby już bardzo piękne), ale nic więcej. Wiele osób upewniało mnie, że niepodobna, czytając ten toast, zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie sprawił, wygłoszony i znakomicie wypunktowany przez króla,

który jest mistrzem wypowiedzenia i który mówiąc, podkreślał wszystkie intencje, wszystkie finezje. Opowiadano mi przy tej sposobności fakt dosyć pikantny, który jeszcze jeden raz więcej uwydatnia w królu Teodozjuszu ów młodzieńczy wdzięk, jednający mu wszystkie serca. Upewniano mnie, że właśnie przy tym słowie „powinowactwa”, które było w rezultacie olbrzymim nowatorstwem i które będzie jeszcze długo (zobaczy pan) przedmiotem dyplomatycznych komentarzy, jego królewska mość, przewidując radość naszego ambasadora, który miał w tym znaleźć zasłużone uwieńczenie swoich wysiłków, można powiedzieć swoich marzeń, swoją, aby rzec wszystko, buławę marszałkowską, obrócił się w stronę Vaugouberta i wlepiając w niego owo tak ujmujące spojrzenie Oettingenów, podkreślił to tak dobrze wybrane słowo „powinowactwa”, słowo stanowiące prawdziwą rewelację, tonem, który powiadał wszystkim, że użyto tego słowa bardzo świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Zdaje się, że Vaugoubert ledwie mógł pohamować wzruszenie i do pewnego stopnia przyznając, że go rozumiem. Osoba ze wszech miar wiarygodna powiedziała mi w zaufaniu, że król zbliżył się do Vaugouberta po obiedzie, kiedy jego królewska mość odbywał *cercle*, i jakoby miał mu powiedzieć półgłosem: „Czy jesteś rad ze swego ucznia, drogi margrabio?”.

– To pewna – zakonkludował pan de Norpois – że podobny toast działał więcej niż dwadzieścia lat rokowań dla zbliżenia dwóch krajów, ich „powinowactw”, wedle malowniczego wyrażenia Teodozjusza II. To jest, mógłby ktoś powiedzieć, tylko słowo, ale widzi pan, jaką karierę zrobiło, jak cała europejska prasa powtarza je, jakie zainteresowanie budzi, jaki nowy dźwięk wydało. Jest zresztą bardzo w stylu tego monarchy. Nie posunę się tak daleko, aby twierdzić, że on co dnia znajduje diamenty tak czystej wody. Ale rzadkie jest, aby w swoich mowach obmyślanych, a jeszcze bardziej w improwizacji swobodnej rozmowy, nie wykazał się jakimś brawurowym powiedzeniem, omal nie rzekłem: nie położył pod nim swojego podpisu. Tym mniej można mnie podejrzewać o stronniczość, ile że jestem wrogiem wszelkich tego rodzaju innowacji. Dziewięć razy na dziesięć są one niebezpieczne.

– Tak, myślałem sobie, że świeży telegram cesarza Niemiec nie musiał być w pańskim guście – rzekł ojciec.

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba, jakby mówił: „Och! ten...”.

– Po pierwsze – rzekł – to jest akt niewdzięczności. To więcej niż zbrodnia: to błąd i głupota, którą nazwałbym piramidalną! Zresztą, jeżeli nikt tu nie powie: „hola!”, człowiek, który wypędził Bismarcka, bardzo jest zdolny odtrącić stopniowo całą politykę bismarkowską, a wówczas to jest skok w nieznanne.

– Mąż mówił mi, panie ambasadorze, że pan go może porwie gdzieś na wybrzeża Hiszpanii; bardzo jestem szczęśliwa za niego.

– Ależ tak, to uroczy projekt, na który serdecznie się cieszę. Bardzo bym rad odbyć z panem tę podróż, drogi kolego. A łaskawa pani czy już myślała, jak spędzić wakacje?

– Pojadę może z synem do Balbec, nie wiem jeszcze.

– O, Balbec jest miłe, bawiłem tam przelotnie przed paru laty. Zaczynają tam budować wille bardzo eleganckie; sądzę, że okolica spodoba się pani. Ale wolno mi spytać, co skierowało pani wybór na Balbec?

– Syn ma wielką ochotę zobaczyć niektóre tamtejsze kościoły, zwłaszcza kościół w samym Balbec. Bałam się trochę dla niego niewygód podróży, a zwłaszcza pobytu. Ale dowiedziałam się, że zbudowano tam wyborny hotel, co mu pozwoli spędzić czas w warunkach pewnego komfortu, jakich wymaga jego zdrowie.

– A! muszę się podzielić tą informacją z pewną osobą, która nie puści jej pewnie mimo uszu.

– Kościół w Balbec jest cudowny, prawda proszę pana? – spytałem, przewyciężając smutek, jakim przejęła mnie wiadomość, że jednym z uroków Ballbec są eleganckie wille.

– Nie; niebrydki jest, ale ostatecznie nie może wytrzymać porównania z iście jubilerską robotą takiej katedry w Reims, w Chartres i (na mój smak) perły wśród wszystkich, Sainte-Chapelle w Paryżu.

– Ale kościół w Balbec jest po części romański?

– W istocie, jest w stylu romańskim, który już sam przez się jest raczej zimny i niczym nie zapowiada wykwintu i fantazji architektów gotyckich, umiejących wystrzygać kamień jak koronkę. Kościół w Balbec wart jest zwiedzenia, o ile ktoś bawi w tamtych stronach; jest dosyć ciekawy; jeżeli któregoś dziedzistego dnia nie będzie pan miał nic do roboty, może pan tam zajść, zobaczy pan grobowiec Tourville'a.

– Czy pan był wczoraj na bankiecie Spraw Zagranicznych? Ja nie mogłem iść – spytał ojciec.

– Nie – odparł pan de Norpois z uśmiechem – wyznaję, że poniechałem go dla wieczoru o dość odmiennym charakterze. Byłem na obiedzie u kobiety, o której pan może słyszał: u pięknej pani Swann.

Matka powstrzymała wzdrygnięcie się, wrażliwość jej bowiem, bardziej chyża, niepokoiła się za ojca o wszystko, co jego miało osiągnąć aż w chwilę potem. Przykrości, które go spotykały, odczuwała wprzód, niby owe złe nowiny z Francji wcześniej znane za granicą niż u nas. Ale ciekawa, jakiego rodzaju osoby Swannowie mogą przyjmować, spytała pana de Norpois, kogo tam spotkał.

– Mój Boże, to jest dom, gdzie bywają zwłaszcza... panowie. Było tam kilku mężczyzn żonaty, ale żony ich były tego wieczora cierpiące i nie przyszły – odparł z dobroduszną finezją ambasador, rzucając dokoła spojrzenia, których spokój i dyskrecja niby to łagodziły, a w gruncie podkreślały złośliwość.

– Muszę dodać – rzekł – aby być zupełnie sprawiedliwym, że bywają tam i kobiety, ale... należące... jakby to powiedzieć, raczej do świata republikańskiego niż do świata Swanna – (ambasador wymawiał: *Suann*). – Kto wie? to będzie może kiedyś salon polityczny albo literacki. Zresztą zdaje się, że oni są zadowoleni. Uważam, że Swann nawet to zbytnio okazuje. Wymieniał ludzi, do których oboje z żoną zaproszeni są w przyszłym tygodniu, a z których zażyłości nie ma powodu się chlubić; i czynił to z brakiem miary, smaku, niemal taktu, który mnie zdziwił u człowieka tak subtelного. Powtarzał: „Nie mamy ani jednego wieczoru wolnego”, jakby to była chluba, i jak prawdziwy parweniusz, którym przecież nie jest. Bo Swann miał wielu przyjaciół, nawet przyjaciółek, i nie posuwając się za daleko, ani pragnąc popełniać niedyskrecję, mogę powiedzieć, że nie wszystkie, ani większość z nich, ale co najmniej jedna, bardzo wielka dama, nie byłaby może całkowicie oporna ewentualności nawiązania stosunków z panią Swann, w którym to wypadku niejedna z owiec Panurga poszłaby za nią. Ale zdaje się, że nie było ze strony Swanna ani nawet próby usiłowań w tym kierunku. Jak to! jeszcze pudding *à la* Nesselrode! To grozi Karlsbadem, jako ekspiacją za taką ucztę Lukullusa! Może Swann uczył, że trzeba by zwalczyć za wiele trudności. Małżeństwo jego, to fakt, nie zyskało uznania. Mówiono o majątku żony, co jest oczywiście brednia. Ale w sumie, wszystko to nie wydało się przyjemne. A potem Swann ma ciotkę, nadzwyczaj bogatą i znakomicie ustosunkowaną, żonę człowieka, który, biorąc finansowo, jest potęgą. I nie tylko ta ciotka odmówiła przyjmowania pani Swann, ale podjęła formalną kampanię, aby jej przyjaciółki i znajome zrobiły toż samo. Nie chcę przez to powiedzieć, aby którykolwiek prawdziwy paryżanin uchybił kiedy pani Swann... Nie! po sto razy nie! Zresztą, mąż jest człowiekiem, który by podjął rzuconą rękawiczkę. W każdym razie ciekawym zjawiskiem jest, jak dalece Swann, który ma tyle stosunków i to najwyborniejszych, zabiega o towarzystwo, o którym najmniej, co można by powiedzieć, to, że jest bardzo mieszane. Ja, który znałem go niegdyś, wyznaję, że z równym zdziwieniem jak zabawą patrzę na człowieka tak dobrze wychowanego, tak dobrze widzianego w koteriach najbardziej przesianych przez sito, który dziękuje gorąco szefowi gabinetu ministra poczty za to, że przyszedł do nich, i pyta go, czy pani Swann *wolno* będzie odwiedzić jego żonę! Musi przecież czuć się tam obco: jasna rzecz, że to nie jest ten sam świat. Nie zdaje mi się jednak, aby Swann był nieszczęśliwy. Były, to prawda, w latach poprzedzających jego małżeństwo, próby dość brzydkiego szantażu ze strony jego żony; pozbawiała Swanna widoku córki, ilekroć jej czegoś odmawiała. Biedny Swann, równie naiwny, jak jest skądinąd rafinowany, uważał za każdym razem zniknięcie córki za przypadek, nie chciał widzieć rzeczywistości. Pani Odeta robiła mu przy tym

sceny tak ustawiczne, że zdawało się, iż w dniu, gdy osiągnie wreszcie swój cel i doprowadzi Swanna do małżeństwa, nie będzie już miała żadnego hamulca i życie ich stanie się piekłem. I ot! stało się zupełnie przeciwnie. Ludzie żartują sobie ze sposobu, w jaki Swann mówi o żonie, ostrzą sobie języki na nim. Nie spodziewano się, rzecz prosta, aby Swann, nawet mniej lub więcej świadomy, że jest... (znacie państwo termin Moliere), proklamował to *urbi et orbi*; co nie przeszkadza, że wydaje się przesadą, kiedy ten mąż głosi, iż jego połowica jest wyborną żoną. Otóż to nie jest tak dalekie od prawdy, jak by ktoś mógł mniemać. Na swój sposób (nie jest to sposób, jakiego by sobie życzyli wszyscy mężowie, ale ostatecznie, mówiąc między nami, wydaje mi się trudne, aby Swann, który znał Odetę od dawna i który wcale nie jest dudkiem, nie wiedział, co ma o tym sądzić), na swój zatem sposób, nie ulega wątpliwości, że ona jest do niego przywiązana. Nie mówię, aby nie miała swoich awanturek, i Swann też ich sobie nie odmawia, o ile wierzyć zacnym językom, które (możecie państwo zgadnąć) nie próżnują. Ale ona mu jest wdzięczna za to, co dla niej zrobił i, na wspak obawom całego świata, zdaje się, że się stała istotą anielskiej słodyczy.

Zmiana ta nie była równie niezwykła, jak mniemał pan de Norpois. Odeta nie przypuszczała, że się z nią Swann w końcu ożeni; za każdym razem, kiedy mu oznajmiała dyplomatycznie, że jakiś dystygowany człowiek zaślubił swoją kochankę, widziała, że Swann zachowuje lodowate milczenie. Co najwyżej, kiedy go zagadnęła wprost, mówiąc: „Więc ty nie uważasz, że to bardzo dobrze, bardzo pięknie, to co on zrobił dla kobiety, która mu poświęciła młodość?” – Swann odpowiadał sucho: „Ależ ja wcale nie mówię, że to jest źle; każdy robi, co uważa za właściwe”. Odeta nie była nawet daleka od przypuszczenia, że, jak jej to Swann powtarzał w momentach gniewu, porzuci ją zupełnie. Słyszała bowiem niedawno, jak pewna rzeźbiarka mówiła: „Można się wszystkiego spodziewać po mężczyznach, to takie chamy”, i Odeta, uderzona głębią tej pesymistycznej maksymy, przyswoiła ją sobie, powtarzała ją przy każdej sposobności z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić: „Ostatecznie, nie ma w tym nic niemożliwego, takie moje szczęście”. Tym samym straciła dla Odety wszelką wartość optymistyczna maksyma, przyświecająca jej dotąd: „Wszystko można zrobić z mężczyzną który kocha, to tacy idioci!”. Myśl ta wyrażała się na jej twarzy przymrużeniem oczu, które mogłoby towarzyszyć wyrazom np. takim: „Nie bójcie się, nic nie potłucze”.

Na razie Odeta cierpiała, myśląc, co jakaś przyjaciółka, zostawszy żoną człowieka, który żył z nią krócej niż ona ze Swannem i który nie miał z nią dziecka, obecnie (o tyle, o ile) poważana, zapraszana na bale do prezydenta Republiki, musi myśleć o postępowaniu Swanna. Diagnosta głębszy od pana de Norpois poznałby z pewnością, że właśnie to poczucie upokorzenia i wstydu skwasilo Odetę; że ten piekielny charakter nie był jej wrodzony, że nie był złem bez ratunku. Ten diagnosta przepowiedziałby z łatwością to, co się stało; mianowicie, że nowy ustrój, ustrój matrymonialny, z magiczną niemal szybkością położy koniec owym zjawiskom przykrym, codziennym, ale zgoła nie organicznym.

Prawie wszyscy dziwili się temu małżeństwu, i to jest właśnie zadziwiające. Bez wątpienia, mało kto rozumie na wskroś subiektywny charakter zjawiska, jakim jest miłość, stwarzająca jak gdyby nową osobę, różną od tej, która w świecie nosi to samo nazwisko. Większość składników tej nowej osoby czerpiemy z siebie samych. Toteż mało komu mogą się wydać naturalne olbrzymie proporcje, jakie przybiera w końcu dla nas istota niebędąca tą samą, którą widzą oni. Mimo to, co się tyczy Odety, można było sobie zdać sprawę z tego, że o ile – rzecz prosta – nigdy nie pojęła całkowicie inteligencji Swanna, znała bodaj tytuły i szczegóły jego prac, tak że nazwisko *Ver Meer* było jej tak poufale jak nazwisko własnego krawca; znała w Swannie do gruntu owe cechy charakteru, których reszta świata nie zna albo je ośmiesza, a których podobny i kochany obraz posiada jednie kochanka lub siostra; my zaś tak jesteśmy przywiązani do owych cech, nawet do tych, z których najbardziej chcielibyśmy się poprawić! Przez to, że kobieta przyzwyczaja się do nich w końcu, odnosząc się do nich w sposób pobłażliwy i przyjacielsko drwiący, podobny do sposobu, w jaki my traktujemy samych siebie i w jaki traktują nas rodzice, takie dawne stosunki mają coś ze słodyczy i z siły przywiązań rodzinnych. Więzy łączące nas z jakąś istotą, uświęca to, że owa istota, sądząc nasze przywary, staje

na tym samym punkcie, co my sami. Pomiedzy swoistymi rysami Swanna, niektóre wynikały tyleż z jego inteligencji, co z charakteru, i te właśnie, dlatego że mimo wszystko tkwiły w charakterze, Odeta zrozumiała łatwiej. Skarżyła się, że kiedy Swann występuje jako pisarz, kiedy ogłasza swoje studia, nie odnajduje się tych rysów, jak w jego listach lub w rozmowie, gdzie ich było pełno. Radziła mu, aby im dał więcej miejsca. Pragnęłaby tego, bo to były rysy, które w nim lubiła; ale, ponieważ je lubiła dlatego, że były bardziej jego własne, może miała rację, pragnąc, aby się wyrażały w tym, co on pisze. Może też sądziła, że utwory bardziej żywe, dając wreszcie Swannowi sukces, pozwolą jej stworzyć sobie to, co nauczyła się u Verdurinów cenić ponad wszystko: salon.

Pomiedzy ludźmi, którym takie małżeństwo wydawało się śmieszne, ludźmi, którzy, myśląc o samych sobie, zapytywali się: „Co pomyśli pan de Guermantes, co powie Bréauté, kiedy zaślubię pannę de Montmorency?” – pomiedzy ludźmi mającymi ten typ socjalnego ideału, byłby się dwadzieścia lat wprzód znalazł sam Swann; Swann, który zadał sobie tyle trudów, aby wejść do Jockey Clubu, i który liczył w owym czasie na świetne małżeństwo, zdolne, umacniając jego sytuację, uczynić go jedną z najbardziej znanych osobistości paryskich. Ale obrazy, jakie oczom zainteresowanego nastrocza takie małżeństwo, aby nie zmarnieć i nie zatrzeć się, potrzebują jak wszystkie obrazy – podniety z zewnątrz. Najwyższym waszym pragnieniem jest upokorzyć człowieka, który was znieważył. Ale jeżeli, osiadłszy w innym kraju, nie będziecie już nigdy słyszeli o nim, wróg ten przestanie mieć w końcu dla was wszelkie znaczenie. Jeżeli w ciągu dwudziestu lat straciło się z oczu wszystkie osoby, z powodu których chciałoby się być członkiem Jockey Clubu lub Instytutu, perspektywa dostania się do jednego z tych ugrupowań zupełnie przestanie być kusząca. Otóż, tak samo jak przejście w stan spoczynku, jak choroba, nawrócenie, tak samo długi stosunek z kobietą zastępuje dawne obrazy nowymi. Kiedy Swann zaślubił Odetę, nie było to z jego strony wyrzeczeniem się światowych ambicji, bo od dawna Odeta – w duchowym znaczeniu słowa – oderwała go od tych ambicji. Zresztą, gdyby nawet tak się nie stało, Swann miałby tylko większą zasługę. Takie hańbiące małżeństwa, dlatego właśnie, że dla słodczy czysto poufnych każą nam rezygnować z mniej lub więcej pochlebnej sytuacji życiowej, są najgodniejsze szacunku. (Nie można za małżeństwo hańbiące uważać małżeństwa dla pieniędzy, bo nie było przykładu związku, w którym żona albo mąż się sprzedali, aby w końcu świat nie zaczął przyjmować ich, choćby z tradycji i na wiarę tylu przykładów, i aby nie mieć dwóch wag i dwóch miar).

Może skądinąd, przez zmysł artysty, jeżeli nie przez rozpustę duchową, Swann byłby w każdym wypadku znajdował pewną rozkosz w tym, aby się sparzyć – w jednym z krzyżowań uprawianych przez *mendelistów* lub znanych z mitologii – z istotą odmiennej rasy, arcyksiężniczką lub kokotą; wejść w parantele królewskie lub popełnić mezalians. Była w świecie jedna jedyna osoba, o której myślał za każdym razem, gdy rozważał możliwość związku z Odetą; była to – i nie przez snobizm – księżna Oriana de Guermantes. Przeciwnie, Odeta dbała o księżnę bardzo mało, myśląc jedynie o ludziach położonych bezpośrednio wyżej, nie zaś żyjących w tak mglistym empireum. Ale kiedy Swann w godzinach dumań widział Odetę jako swoją żonę, nieodmiennie wyobrażał sobie chwilę, gdy ją zaprowadzi – ją, a zwłaszcza swoją córkę – do księżnej des Laumes, która niebawem, wskutek śmierci teścia, stała się diuszessą de Guermantes. Nie pragnął ich wprowadzić gdzie indziej, ale rozczulał się, kiedy sobie roił (dobierając nawet słów) wszystko, co księżna powie o nim Odecie, a Odeta pani de Guermantes; czułość, jaką księżna okaże Gilbertce, rozpieszczając ją, czyniąc go dumnym ze swojej córki. Odgrywał sam przed sobą scenę prezentacji z tą samą ścisłością urojonych szczegółów, jaką mają ludzie rozważający, jak by w razie wygranej zużyli sumę, której wysokość oznaczają do woli.

W tej mierze, w jakiej obraz towarzyszący naszemu postanowieniu motywuje je, można powiedzieć, że, jeżeli Swann ożenił się z Odetą, to dlatego, aby ją i Gilbertę przedstawić księżnej de Guermantes – choćby przy tym nikogo miało nie być, choćby nawet nikt nigdy nie miał się dowiedzieć o tym. Ujrzymy, iż ta jedyna światowa ambicja, jaką żywił dla żony i córki, była właśnie tą, której ziszczenia mu odmówiono, i to tak absolutnie, że Swann umarł, nie przypuszczając,

aby księżna Oriana miała kiedykolwiek poznać jego panie. Ujrzymy też, iż przeciwnie, pani de Guermantes zbliżyła się z Odetą i Gilbertą po śmierci Swanna. I może Swann okazałby rozsądek – w przypuszczeniu, że mógłby przykładać wagę do tak błahej rzeczy – nie widząc przyszłości zbyt czarno w tej mierze i wierząc, iż upragnione spotkanie może nastąpić wówczas, gdy on już nie będzie się nim mógł cieszyć. Działanie przyczynowości, wydające w końcu mniej więcej wszystkie możliwe następstwa, tym samym i te, które byśmy uważali za najmniej możliwe, działanie to jest czasem powolne – powolniejsze nieco wskutek naszych pragnień, które, starając się je przyśpieszyć, hamują je przez fakt samego naszego istnienia – i ziszcza je dopiero wówczas, kiedy przestaliśmy pragnąć, a niekiedy i żyć. Czyż Swann nie wiedział tego z doświadczenia i czy – niby przedsmak tego, co się miało zdarzyć po jego śmierci – nie było już w jego życiu szczęściem pośmiertnym małżeństwo z ową Odetą, którą dawniej tak namiętnie kochał – mimo że mu się nie podobała z pierwszego wejrzenia – a którą zaślubił wówczas, gdy jej już nie kochał, kiedy umarła już istota tak rozpaczliwie w Swannie pragnąca przeżyć całe życie z Odetą?

Zacząłem mówić o hrabi Paryża, pytając, czy to prawda, że jest przyjacielem Swanna, tak bardzo obawiałem się, aby rozmowa nie odbiegła od jego osoby.

– Owszem, w istocie – odparł pan de Norpois, zwracając się do mnie i wlepiając w moją skromną osobę błękitne spojrzenie, w którym pływały, niby w swoim osoczu, jego wielka zdatność do pracy i zdolność przystosowania się. – Och, Boże – dodał, zwracając się na nowo do ojca – nie sądzę, abym przekraczał granice szacunku, jaki żywię dla krwi monarszej (mimo iż nie utrzymuję z jego wysokością stosunków osobistych, które utrudniłyby moją sytuację, choćby tak mało oficjalną), cytując panu pewien fakt dość pikantny. Otóż, nie dawniej niż przed czterema laty, na stacyjce kolei żelaznej w jednym z krajów centralnej Europy, jego królewska wysokość miał sposobność ujrzeć panią Swann. Z pewnością nikt z bliskich nie pozwolił sobie pytać jego wysokości, jak mu się wydała. To by nie było przystojne. Ale, ilekroć jakiś traf konwersacji przywodził nazwisko tej osoby, wówczas, po pewnych oznakach (niedostrzegalnych, powiedzmy, ale nieomylnych) jego wysokość zdawał się dość chętnie dawać do zrozumienia, że w sumie wrażenie zgoła nie było niekorzystne.

– Ale czy nie było możliwości przedstawienia jej hrabiemu Paryża? – spytał ojciec.

– Ba! nie wiadomo, z tymi królewietami nigdy nie można wiedzieć – odparł pan de Norpois – najdumniejszy z nich, ci, co najbardziej umieją żądać tego, co się im należy, często najmniej się troszczą o sądy opinii, nawet najślusniejsze, z chwilą gdy chodzi o to, aby wynagrodzić pewne przywiązanie. Otóż faktem jest, że hrabia Paryża zawsze bardzo łaskawie przyjmował oddanie Swanna, który jest poza tym człowiekiem ze wszech miar inteligentnym.

– A jakie było pańskie wrażenie, panie ambasadorze? – spytała matka przez grzeczność i z ciekawości.

Z energią starego znawcy, odbijającą od zwykłego umiaru w jego sposobie mówienia, pan de Norpois odparł:

– Jak najdodatniejsze<sup>11</sup>!

I wiedząc, że przyznanie się do silnego wrażenia sprawionego przez kobietę stanowi – byle go dopełnić na wesoło – bardzo cenioną formę wdzięku rozmowy, pan de Norpois parsknął lekkim śmiechem, który przeciągnął się przez kilka chwil, wilżąc błękitne oczy starego dyplomaty i wstrząsając skrzydła jego nosa, pocętkowane czerwonymi żyłkami.

– Jest zupełnie czarująca!

– Czy autor nazwiskiem Bergotte był na tym obiedzie, proszę pana? – spytałem nieśmiało, aby zatrzymać rozmowę przy temacie Swannów.

– Owszem, Bergotte był również – odparł pan de Norpois, skłaniając dwornie głowę w moją stronę, jak gdyby, chcąc się okazać uprzejmym dla ojca, przykładał wysoką wagę do wszystkiego, co się z nim łączy, nawet do pytań chłopca w moim wieku, nieprzyzwyczajonego do takiej grzeczności

---

<sup>11</sup> *najdodatniejszy* – dziś popr.: najbardziej dodatni. [przypis edytorski]

ze strony poważnych osób. – Czy pan go zna? – dodał, wlepiając we mnie owo jasne spojrzenie, którego przenikliwość podziwiał Bismarck.

– Nie zna, ale bardzo podziwia – rzekła matka.

– Mój Boże – rzekł pan de Norpois (co zrodziło we mnie, w przedmiocie własnej inteligencji, obawy poważniejsze niż te, które mną szarpały zazwyczaj, skorom ujrzał, iż to, co ja stawiałem tysiąc tysięcy razy powyżej siebie, com uważał za najwyższe w świecie, znajduje się dla pana de Norpois na najniższym szczeblu drabiny jego podziwu) – nie podzielam tego zapatrywania. Bergotte jest tym, co nazywam wirtuozem na flecie; trzeba zresztą przyznać, że gra przyjemnie, mimo iż z dużą dawką maniery, afektacji. Ale ostatecznie, to jest tylko tyle, i to jest niedużo. W jego dziełach pozbawionych muskułów nigdy nie znajdzie się tego, co można by nazwać kośćcem. Żadnej akcji (albo bardzo mało), ale zwłaszcza żadnego ciężaru gatunkowego. Jego książki grzeszą u podstaw lub raczej nie mają żadnej podstawy. W epoce takiej jak nasza, gdy rosnąca złożoność życia ledwie zostawia czas na czytanie, gdy mapa Europy doznała głębokich przeobrażeń i jest w przededniu głębszych może jeszcze, gdy tyle nowych i groźnych zagadnień nastęrcza się ze wszystkich stron, przyzna pan, że mamy prawo żądać od pisarza, aby był czymś więcej niż pięknoduchem, dającym nam zapomnieć, w czczych i bizantyńskich dyskusjach nad walorami czystej formy, że nas może z dnia na dzień zalać podwójna fala barbarzyńców, z zewnątrz i od wewnątrz. Wiem, że to znaczy bluźnić przeciw Przenajświętszej Doktrynie tego, co ci panowie nazywają Sztuką dla Sztuki; ale w naszej epoce są zadania pilniejsze niż harmonijne składanie słów. Pan Bergotte robi to dość zgrabnie, nie przeczę; ale w sumie, jest to bardzo mdłe, bardzo wątle, bardzo niemieckie. Rozumiem teraz lepiej, w związku z pańskim przesadnym podziwem dla pana Bergotte, tych parę stroniczek, któreś mi pan pokazał przed chwilą. Byłoby zresztą niewłaściwe z mojej strony nie puścić ich w niepamięć, skoro mi pan sam z całą prostotą powiedział, że to są dziecinne próby – (powiedziałem tak w istocie, ale nie myślałem tego ani trochę). – Wszelki grzech winien być odpuszczony, zwłaszcza grzech młodości. Ostatecznie, nie pan jeden masz podobne rzeczy na sumieniu i nie jesteś pan jedyny, który się w pewnych latach uważał za poetę. Ale w tym, co mi pan pokazał, widać zły wpływ Bergotte'a. Oczywiście, nie zdziwię pana, kiedy powiem, że nie ma w pańskiej próbie żadnej z jego zalet, skoro on doszedł do mistrzostwa w sztuce (zupełnie powierzchownej zresztą) pewnego stylu, którego pan, w swoim wieku, nie możesz posiadać nawet pierwszych elementów. Ale to już ta sama wada, ta maniera w szeregowaniu słów bardzo dźwięcznych, z bardzo niewielką troską o ich sens. To znaczy dbać o klatkę bardziej niż o ptaszka; nawet w książkach Bergotte'a. Wszystkie te chińszczyzny formy, wszystkie te subtelności spróchniałego mandaryna wydają mi się bardzo czcze. Ot, parę fajerwerków, przyjemnie puszczonych przez pisarza i zaraz krzyczy się: arcydzieło! Arcydzieła nie zjawiają się tak często! Bergotte nie ma w swoich aktywach, w swoim dorobku, jeżeli można tak powiedzieć, powieści wyższego lotu, nie ma ani jednej z tych książek, które się umieszcza na honorowym miejscu w swojej bibliotece. Nie widzę nic takiego w całej jego produkcji. Co nie przeszkadza, że gdy o niego chodzi, dzieło jest nieskończenie wyższe od autora. A! oto chodzący argument na poparcie aforyzmu, że nie powinno się nigdy poznawać autorów inaczej niż przez ich książki. Trudno o człowieka, który by się mniej pokrywał ze swoimi utworami; bardziej pretensjonalnego, nadętego, mniej *człowieka z towarzystwa*. Chwilami zupełnie pospolity, to znów rozprawia jak książka, i to nawet nie jak własna książka, ale jak książka nudna (a jego książki nie są przynajmniej nudne): oto pański Bergotte. To mózg najbardziej mętny, zmanierowany, to co nasi ojcowie nazywali „górnogłębski”; a to, co mówi, staje się jeszcze mniej smaczne przez sposób wypowiedzenia. Nie pamiętam, czy to Loménie, czy Sainte-Beuve opowiada, że Vigny miał tę samą przykrą wadę. Ale Bergotte nie napisał nigdy *Cinq-Marsa*, ani *Czerwonej pieczęci*, gdzie niektóre stroniczki godne są zaiste antologii.

Zmiażdżony tym, co pan de Norpois orzekł o mojej własnej próbie, myśląc z drugiej strony o trudnościach, jakich doznawałem, kiedy chciałem napisać jakiś esej lub bodaj oddać się poważnym rozmyśleniom, czułem jeden raz więcej swoją intelektualną nicość, brak danych do uprawiania literatury. Bez wątpienia niegdyś w Combray, pewne wrażenia bardzo skromne – lub lektura

Bergotte'a – wprawiały mnie w zadumę, która mi się zdawała bardzo cenna. Ale ten stan odbijał się w moim poemaciku prozą; nie ma wątpliwości, że pan de Norpois natychmiast pochwycił i podkreślił w nim to, co mnie się wydawało piękne jedynie mocą zwodnego mirażu, skoro ambasador nie dał mu się omamić. Dowiódł mi, przeciwnie, jak skromne zajmuję miejsce, kiedy mnie sędzi z zewnątrz, obiektywnie, najlepiej usposobiony i najinteligentniejszy znawca. Czułem się przybity, stropiony; i duch mój, niby płyn mający jedynie wymiary użyczonego mu naczynia, jak niegdyś rozszerzył się do olbrzymiej pojemności geniuszu, tak obecnie, skurczony, mieścił się cały w ciasnej mierności, w jakiej go pan de Norpois nagle zamknął i ograniczył.

– Nasze poznanie się z Bergottem – dodał, obracając się do ojca – było cokolwiek drażliwe, aby nie powiedzieć drastyczne. Kilka lat temu Bergotte wybrał się do Wiednia, gdy ja tam byłem ambasadorem; przedstawiła mi go księżna Metternich, złożył mi bilet i pragnął uzyskać zaproszenie. Otóż, będąc zagranicą przedstawicielem Francji, której ostatecznie pan Bergotte w pewnej mierze (powiedzmy, dla ścisłości, w bardzo nikłej mierze) przynosi zaszczyt, byłbym przeszedł do porządku nad smutną opinią, jaką mam o jego życiu prywatnym. Ale nie podróżował sam, i co więcej, miał pretensje być zaproszonym nie bez swojej towarzyszkii. Nie sądzę, abym był zbyt świętoszkiem; będąc zaś kawalerem, mogłem zapewne otworzyć drzwi ambasady nieco szerzej niż gdybym był żonatym i ojcem rodziny. Mimo to, wyznaję, że jest stopień bezwstydu, z którym nie umiałbym się pogodzić, a który jest jeszcze wstrętniejszy przez ten ultra-moralny, powiedzmy, wręcz moralizatorski ton, jaki Bergotte przybiera w swoich książkach, gdzie powtarzają się ustawiczne i, między nami mówiąc, nudnawe analizy bolesnych skrupułów, chorobliwych wyrzutów sumienia, i to z powodu zwykłych grzeszków, istne kazania wielkopostne (wiadomo po czemu łokieć), wówczas gdy on sam zdradza tyle nieodpowiedzialności i cynizmu w życiu prywatnym. Krótko mówiąc, uchyliłem się od odpowiedzi, księżna jeszcze raz przypuściła atak, ale z nie lepszym skutkiem. Tak, iż nie sądzę, abym był bardzo dobrze notowany u tego pana, i nie wiem, w jakiej mierze ocenił on uprzejmość Swanna, który go zaprosił wraz ze mną. O ile nie sam Bergotte prosił go o to. Nie można wiedzieć, bo w gruncie to chory człowiek. To nawet jego jedyne usprawiedliwienie.

– Czy córka pani Swann była na tym obiedzie? – spytałem pana de Norpois, korzystając z chwili, gdy (przechodziliśmy właśnie do salonu) mogłem ukryć wzruszenie łatwiej, niż kiedyś siedział przy stole nieruchomo i w pełnym świetle.

Pan de Norpois starał się sobie przypomnieć przez chwilę:

– Tak, młoda osoba czternasto- czy piętnastoletnia? W istocie, przypominam sobie, że mi ją przedstawiono przed obiadem jako córkę naszego amfitriona. Przyznam się panu, że mało ją widziałem, poszła spać wcześniej. Albo poszła gdzieś do przyjaciółki, nie przypominam już sobie. Ale widzę, że pan jest dobrze obznajmiony z domem państwa Swann.

– Bawię się z panną Swann na Polach Elizejskich, jest przemiła.

– A! A! Ależ tak, w istocie wydała mi się urocza. Mimo to przyznam się panu, iż nie sądzę, aby dorównała kiedy matce, jeżeli mi wolno to powiedzieć bez urażenia pańskich nazbyt żywych uczuć.

– Wolę urodę panny Swann, ale podziwiam też niezmiernie jej matkę; chodzę na spacer do Lasku jedynie w nadziei ujżenia jej.

– Ależ muszę im to powiedzieć, pochlebi to im niezmiernie.

Wymawiając te słowa, pan de Norpois był na kilka sekund jeszcze w położeniu wszystkich osób, które, słysząc mnie mówiącego o Swannie jako o człowieku inteligentnym, o jego ojcu jako o szanownym finansjście, o jego domu jako o pięknym domu, mogą myśleć, że ja mówiłbym równie chętnie o innym człowieku równie inteligentnym, o innych finansistach równie szanownych i o innym domu równie pięknym; to jest chwila, w której człowiek zdrowy na umyśle, a rozmawiający z wariatem nie spostrzegł jeszcze, że to wariat. Pan de Norpois wiedział, że zupełnie naturalną rzeczą jest przyjemność oglądania pięknych kobiet; że grzecznie jest, kiedy ktoś mówi z zapałem o jednej z tych kobiet, udawać, że się wierzy, iż ten ktoś jest w niej zakochany, żartować z niego i ofiarowywać mu się z pomocą. Ale mówiąc, że wspomni o mnie Gilbertcie i jej matce (co by mi pozwoliło, na

kształt olimpijskiego bóstwa przybierającego płynność wietrzyka lub raczej wygląd starca, od którego zapożycza rysów Minerwa, wnikać samemu, niewidzialnie, do salonu pani Swann, ściągnąć na siebie jej uwagę, zaprzątnąć jej myśl, zyskać jej wdzięczność swoim podziwem, objawić się jej jako przyjaciel znacznej osobistości, godny zbliżenia i zażyłości z rodziną Swannów), ten ważny człowiek, przyrzekający wyzyskać na moją korzyść urok, jaki musiał mieć w oczach pani Swann, obudził we mnie czułość tak wielką, że ledwie mogłem się wstrzymać, aby nie ucałować jego miękkich, białych i pomarszczonych rąk, wyglądających tak, jakby za długo leżały w wodzie. Niemal uczyniłem ten gest, który (tak mi się zdawało) ja jeden zauważyłem. Trudno jest w istocie człowiekowi samemu ściśle obliczyć, w jakiej skali słowa jego lub ruchy objawiają się komuś drugiemu; z obawy przecenienia przed sobą własnej doniosłości, powiększając do ogromnych rozmiarów pole, na które muszą się rozciągać wspomnienia innych ludzi w ciągu ich życia, wyobrażamy sobie, że nieważne szczegóły naszej mowy i naszych gestów ledwie przenikają do świadomości osób, z którymi rozmawiamy, a tym bardziej nie pozostają w ich pamięci. Tego rodzaju złudzeniu ulegają również zbrodniarze, kiedy przekształcają po niewczasie jakieś słowo, którego użyli, w mniemaniu, że się nie uda skonfrontować tego wariantu z żadną inną wersją. Ale bardzo możliwe jest, że nawet w perspektywie tysiącletniego życia ludzkiego, filozofia felietonisty, wedle której wszystko skazane jest na zapomnienie, mniej jest prawdziwa niż wręcz przeciwna filozofia, która by przepowiadała trwanie wszystkiego. W tym samym dzienniku, w którym felietonowy moralista, mówiąc o jakimś wydarzeniu, arcydziele – tym bardziej o śpiewacze, mającej swoją „godzinę sławy” – wykrzykuje: „Kto będzie o tym pamiętał za dziesięć lat?”, czyż na innej stronnicy sprawozdanie z Académie des Inscriptions<sup>12</sup> nie mówi często o fakcie mniej ważnym, o lichym poecie, który sięga epoki faraonów, a który dziś jeszcze znamy w całości? Nie zupełnie może tak samo jest w krótkim życiu ludzkim. Mimo to, w kilka lat później, w domu, gdzie pan de Norpois, będący tam z wizytą, zdawał mi się najpewniejszym oparciem, jako przyjaciel ojca, pobłażliwy, życzliwy dla naszej rodziny, nawykły zresztą z zawodu i z urodzenia do dyskrecji, po wyjściu ambasadora powtórzono mi jego aluzję do jakiegoś dawnego wieczoru, w czasie którego „czuł, że za chwilę ucałuję mu ręce”. Nie tylko zaczerwieniłem się po uszy, ale zdumiałem się, że sposób, w jaki pan de Norpois mówi o mnie, a także charakter jego wspomnień są tak odmienne od tego, com mógł przypuszczać. Plotka ta odkryła mi nieoczekiwane proporcje roztargnienia i przytomności umysłu, pamięci i zapomnienia, z jakich składa się umysł ludzki; i uczułem się równie zdumiony, co w dniu, kiedy pierwszy raz przeczytał w książce pana Maspero, że znana jest dokładnie liczba myśliwych, których Assurbanipal zapraszał na swoje polowania, na dziesięć wieków przed Chrystusem.

– Och, proszę pana – rzekłem, kiedy mi pan de Norpois oznajmił, iż zakomunikuje Gilbercie i jej matce moją admirację – gdyby pan to uczynił, gdyby pan wspomniał o mnie pani Swann, całe życie nie starczyłoby, aby panu okazać moją wdzięczność; życie moje należałoby do pana! Ale muszę zwrócić pańską uwagę, że ja nie znam pani Swann i że nigdy jej nie byłem przedstawiony.

Dodałem to przez skrupuł, aby nie wyglądać na człowieka chwalonego się stosunkami z ludźmi, których nie zna. Ale wymawiając te słowa, czułem już, że są zbyteczne; od początku mego podziękowania, wygłoszonego z ostudzającym żarem, ujrzałem na twarzy ambasadora wyraz wahania i niechęci, a w jego oczach owo spojrzenie prostopadłe, wąskie i skośne (niby, w perspektywicznym rysunku bryły, oddalająca się linia jednej z powierzchni); spojrzenie, zwracające się do owego niewidzialnego partnera, jakiego mamy w samych sobie w chwili, gdy mu mówimy coś, czego interlokutor, osobnik, z którym rozmawiało się dotąd – w danym wypadku ja – nie powinien słyszeć. Zdałem sobie natychmiast sprawę, że słowa moje – słabe jeszcze w stosunku do fali wdzięczności, jaka mnie zalewała, słowa, które powinny były (wedle mnie) wzruszyć pana de Norpois i tym bardziej skłonić go do interwencji dla niego tak łatwej, a dla mnie tak błogosławionej, były to może

<sup>12</sup> Académie des Inscriptions – pełna nazwa: Académie des Inscriptions et Belles-Lettres francuskie towarzystwo naukowe (jedno z pięciu składających się na Instytut Francuski), założone w 1663 i zajmujące się naukami humanistycznymi. [przypis edytorski]

właśnie (wśród wszystkich słów, jakie mógłby znaleźć diabolicznie ktoś chcący mi zaszkodzić) jedyne zdolne powściągnąć go od tego kroku. Wyobraźmy sobie, że z jakimś nieznanym wymieniliśmy przyjemne i zgodne (naszym mniemaniu) wrażenia na temat przechodniów, których pospolitość zauważyliśmy obaj; i naraz objawi się nam dzieląca nas patologiczna przepaść, gdy ów niezajomy, macając się po kieszeni, doda niedbale: „Żałuję, że nie mam rewolweru; ani jeden nie zostałby żywy”. Tak samo pan de Norpois, który wiedział, że nic nie było prostsze i łatwiejsze niż poznać panią Swann i dostać się do jej domu, widząc, iż, przeciwnie, dla mnie przedstawia to taką cenę i tym samym z pewnością wielką trudność, pomyślał, iż owo normalne na pozór i wyrażone przeze mnie pragnienie, musi skrywać jakąś inną myśl, jakiś podejrzany cel, jakiś dawniejszy błąd, z powodu którego, w obawie niezadowolenia pani Swann, nikt dotąd nie chciał się podjąć w moim imieniu tej misji. I zrozumiałem, że pan de Norpois nie uczyni tego nigdy; i że mógłby widywać panią Swann co dzień przez całe lata, a nie wspomniałby o mnie ani razu.

Poprosił ją jednak w kilka dni potem o jakieś wyjaśnienie, którego pragnąłem, i przekazał mi je przez ojca. Ale nie uważał za potrzebne powiedzieć pani Swann, dla kogo o nie prosi. Nie dowie się tedy, że ja znam pana de Norpois i że tak pragnąłbym bywać u niej! Ale to nieszczęście było może mniejsze, niż sądziłem. Bo druga z tych wiadomości niewiele byłaby zapewne przydała skuteczności, wątpliwej zresztą, pierwszej. Ponieważ w Odecie myśl o jej własnym życiu i domu nie budziła żadnych tajemniczych wzruszeń, człowiek, który ją znał, który u niej bywał, nie wydawał się jej istotą bajeczną, jak wydawał się mnie, który byłbym cisnął w okna Swannów kamień, gdybym mógł na nim napisać, że znam pana de Norpois; byłem przekonany, że taka informacja, nawet przekazana w ten brutalny sposób, o wiele więcej dałaby mi w oczach pani domu uroku niż wywołała oburzenia. Ale nawet gdybym sobie mógł zdać sprawę, że misja, z której nie wywiązał się pan de Norpois, zostałaby daremna, i że, co więcej, mogłaby mi zaszkodzić wobec Swannów, i tak nie miałbym siły – w razie, gdyby ambasador okazał się chętny – zwolnić go z niej i wyrzec się tej rozkoszy, choćby najopłakaniej w skutkach, że moje nazwisko i osoba znalazłyby się na chwilę w pobliżu Gilberty, w jej nieznanym domu i życiu.

Kiedy pan de Norpois odszedł, ojciec zaczął przeglądać wieczorny dziennik; ja myślałem znów o Bermie. Przyjemność, jakiej doznałem, słuchając Bermy, domagała się skompletowania, tym bardziej, że o wiele nie dorównała rozkoszy, jaką sobie obiecywałem; toteż czepiała się wszystkiego, co było zdolne ją podsyć, jak na przykład owe wartości, które pan de Norpois przyznał Bermie i które dusza moja – niby zbyt suchy trawnik, gdy się go zleje wodą – wypila jednym haustem. Otóż, ojciec podał mi dziennik, pokazując notatkę skreśloną w tych słowach:

„Przedstawienie *Fedry*, odegranej wobec rozentuzjzmowanej sali, w której zauważono znakomitości sztuki i krytyki, było dla pani Berma, odtwórczyni roli *Fedry*, jednym z najświetniejszych tryumfów jej zawrotnej kariery artystycznej. Niebawem omówimy obszerniej ten występ, będący prawdziwym ewenementem teatralnym; na razie stwierdzimy tylko, że najbardziej autorytatywni sędziowie oświadczyli zgodnie, iż kreacja pani Berma całkowicie odnawia rolę *Fedry*, jedną z najpiękniejszych i najgłębszych w teatrze Racine’a, stanowiąc najwyższe i najczystsze objawienie sztuki, jakiego naszej epoce dane było być świadkiem”.

Z chwilą gdy mój umysł przyswoił sobie wiadomość o „najczystszy i najwyższy objawieniu sztuki”, idea ta zbliżyła się do niedoskonałej przyjemności, jakiej doznałem w teatrze, dodała jej trochę tego, co jej brakowało, a połączenie ich stworzyło coś tak podniecającego, że wykrzyknąłem: „Cóż za wielka artystka!”.

Z pewnością może ktoś uznać, że nie byłem całkowicie szczery. Ale pomyślcie raczej o tylu pisarzach, którzy, niezadowoleni ze świeżo napisanego ustępu, przeczytawszy pochwałę geniuszu Chateaubrianda lub wspomniawszy jakiegoś wielkiego artystę, któremu pragnęli dorównać, nucąc na przykład w duchu frazę Beethovena, której smutek porównują z tym, jaki chcieli tchnąć w swój styl, wzruszają się ową ideą geniuszu tak bardzo, że darzą nią swój własny utwór, myśląc o nim na nowo; nie widzą go już takim, jak się im wydał zrazu, i ryzykując akt wiary w wartość własnego dzieła,

powiadają sobie: „To nie jest złe!”. Nie zdają sobie sprawy, że w owo podsumowanie, dające im końcowe zadowolenie, wciągnęli echo wspaniałych stronic Chateaubrianda, które stapiają z własnymi, ale których bądź co bądź nie napisali. Przypomnijcie sobie tylu ludzi, wierzących w miłość kochanki, od której doznali samych zdrad; i wszystkich, którzy spodziewają się na przemian to niepojętego drugiego życia, z chwilą gdy jako niepokieszeni mężowie myślą o kobiecie, którą stracili i którą kochają jeszcze, lub jako artyści o przyszłej sławie, którą będą się mogli cieszyć; to znów marzą o kojącej nicości, kiedy przeciwnie świadomość ich ogarnie błędy, które inaczej przysłoby im odpokutować po śmierci; pomyślcie wreszcie o turystach, zachwyconych całością podróży, której każdy dzień przynosił im tylko nudę; i powiedzcie, czy we wspólnym życiu, jakie wiodą idee w łonie naszego ducha, istnieje bodaj jedna z tych, co nam dają najwięcej szczęścia, która by nie pasożytowała na obcej i sąsiedniej myśli, czerpiąc z niej najlepsze cząstki brakującej siły?

Matka nie była zbyt rada, że ojciec przestał myśleć dla mnie o karierze dyplomatycznej. Sądzę, iż dbając przede wszystkim o to, aby uregulowane życie ujęło w karby kaprysy moich nerwów, żałowała nie tyle tego, że się wyrzekam dyplomacji, ile że się poświęcam literaturze.

– Dajże pokój – wykrzyknął ojciec – przede wszystkim trzeba mieć zamiłowanie do tego, co się robi. Przecie to już nie dziecko. Wie, co lubi, mało prawdopodobne jest, aby się zmienił; zdolny jest sobie zdać sprawę z tego, co mu da szczęście.

Szczęście lub nieszczęście, będące wynikiem swobody, jaką mi przyznawały słowa ojca, były rzeczą dalszą; na razie, tego wieczora, słowa ojca sprawiły mi przykrość. Tego rodzaju objawy jego nieoczekiwanej dobroci zawsze budziły we mnie taką chęć ucałowania, ponad bujnym zarostem, jego rumianych policzków, że jeżeli nie ulegałem tej chęci, to jedynie z obawy niezadowolenia ojca. Dziś, tak jak autor przeraża się, widząc, że jego rojenia (które zdają mu się bez wartości, bo ich nie oddziela od samego siebie) zmuszają wydawcę do wybrania papieru, do użycia czcionek może za pięknych na ten cel, pytałem sam siebie, czy moja chęć pisania była czymś dosyć ważnym, aby ojciec objawiał z jej powodu tyle dobroci. Ale zwłaszcza, mówiąc o moich upodobaniach, które się nie zmieniają, o tym, co ma być moim szczęściem, ojciec rodził we mnie dwa straszliwe podejrzenia. Pierwsze, że (wówczas gdy każdego dnia czułem się jakby na progu jeszcze nietkniętego życia, mającego się rozpocząć aż jutro rano) moja egzystencja już się zaczęła; a bardziej jeszcze, że to, co w niej nastąpi, nie będzie zbyt różne od tego, co było przedtem. Drugim podejrzeniem, będącym po prawdzie jedynie inną formą pierwszego, było to, że nie znajduję się na zewnątrz Czasu, ale że podlegam jego prawom, zupełnie jak owe figury z powieści, które przez to właśnie pogrążyły mnie w takim smutku, kiedy czytałem ich życie w Combray, schowany w swojej budce. Teoretycznie wiemy, że ziemia się obraca, ale faktycznie nie spostrzegamy tego; ziemia, po której chodzimy, nie rusza się, i żyjemy spokojnie. Tak samo jest z Czasem. I, aby dać uczuć jego uciekanie, powieściopisarze zmuszeni są, przyspieszając szalenie ruch wskazówki, kazać czytelnikowi przebywać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat w dwie minuty. Z początkiem stronicy opuściło się kochanka pełnym nadziei, u dołu następnej odnajduje się go osiemdziesięcioletnim starcem, który z trudem odbywa na dziedzińcu przytułku swoją codzienną przechadzkę, ledwie odpowiada na słowa do niego zwrócone, niepomny przeszłości. Powiadając o mnie: „To już nie dziecko, skłonności jego nie zmienią się” itd., ojciec ukazał mi nagle mnie samemu w Czasie i pogrążył mnie w smutku tego samego rodzaju, co gdybym był, jeszcze niezramolałym lokatorem przytułku, ale jednym z owych bohaterów, o których autor powiada z końcem książki owym obojętnym tonem, dla mnie tak szczególnie okrutnym: „Coraz rzadziej opuszczał swoją wioskę. Osiadł tam w końcu ostatecznie” itd.

Tymczasem ojciec, aby ochronić gościa przed naszą możebną krytyką, rzekł do mamy:

– Przyznaję, że stary Norpois „celebrował” trochę, jak wy to nazywacie. Kiedy powiedział, że byłoby „niezbyt przystojne” zadawać pytania hrabiemu Paryża, bałem się, abyście nie parsknęły śmiechem.

– Ależ wcale nie – odparła matka – bardzo mi się podoba, że człowiek tej wartości i w tym wieku zachował coś z naiwności, świadczącej jedynie o uczciwym gruncie i o starannym wychowaniu.

– Z pewnością! Co mu nie przeszkadza być sprytnym i inteligentnym; mogę o tym mówić, bo widuję go w komisji zupełnie innym, niż jest tutaj – wykrzyknął ojciec, szczęśliwy, że mama uznaje pana de Norpois i chcąc jej dowiedzieć, że eks-ambasador jest jeszcze niepospolitszy niż ona przypuszcza, ile że przyjaźń przecenia z taką samą przyjemnością, z jaką złośliwość lubi nie doceniać. – Jak on to powiedział... „Z tymi królewietami nigdy nie wiadomo”...

– Tak, tak, właśnie to. Zauważyłam, to było bardzo finezyjne. Widać że ma głęboką znajomość życia.

– To szczególne, że on był na obiedzie u Swannów i że tam spotkał na ogół ludzi przyzwoitych, urzędników. Gdzie pani Swann mogła złowić całą tę sosjetę?

– Czyś uważał, jak on złośliwie zrobił ten nawias: „To dom, gdzie bywają zwłaszcza mężczyźni!”?

I oboje silili się odtworzyć sposób, w jaki pan de Norpois wypowiedział te słowa, tak jakby chodziło o jakąś intonację Bressanta lub Thirona w *Awanturnicy* lub w *Zięciu pana Poirier*. Ale ze wszystkich powiedzeń, największy sukces miało to, które oceniła Franciszka: jeszcze w kilka lat później nie mogła „strzymać śmiechu”, kiedy się jej przypomniało, że ambasador potraktował ją jako „bezkonkurencyjnego kuchmistrza”, co jej matka poszła powtórzyć, jak minister wojny przekazuje po rewii komplement przejeżdżającego monarchy. Udałem się zresztą do kuchni przed mamą. Bo kazałem przyrzec Franciszce, pacyfistce, ale okrutnej z natury, że nie będzie zanadto męczyła królika przeznaczonego na zabicie; i nie miałem jeszcze biuletynu o tej śmierci. Franciszka upewniła mnie, że wszystko się odbyło jak najlepiej i bardzo szybko: „Nie widziałam jeszcze takiego stworzenia! ani krzykło, ani pisnęło słówka, myślałby kto, jaka niemowa”. Mało obyty ze słownikiem zwierząt, napomknąłem, że królik nie krzyczy może jak kura. „Też panicz utrafił – rzekła Franciszka oburzona moim nieuctwem – królik nie krzyczy jak kura! Głos to nawet ma mocniejszy”.

Franciszka przyjęła komplementy pana de Norpois z dumną prostotą, ze wzrokiem radosnym i bodaj przez chwilę – inteligentnym; ze wzrokiem artysty, gdy mu się mówi o jego sztuce. Matka posyłała ją swego czasu do paru sławnych restauracji, aby zobaczyła, jak tam gotują. Słyszając, jak najświetniejsze z nich Franciszka traktuje od „garkuchni” doznawałem takiej samej rozkoszy, jak niegdyś dowiadując się, że prawdziwa hierarchia aktorów nie pokrywa się ze stopniem ich reputacji.

– Ambasador – rzekła do kucharki matka – upewnia, że nigdzie się nie jada zimnej sztuki mięsa i sufletu takiego jak Franciszki.

Franciszka z miną osoby skromnej, oddającej hołd prawdzie, przytaknęła, bynajmniej zresztą niewzruszona tytułem ambasadora: mówiła o panu de Norpois z przychylnością należną komuś, kto ją wziął za kuchmistrza: „To pocziwy stary, taki jak ja”. Starła się go wprawdzie widzieć kiedy przybył, ale wiedząc, że mama nie cierpi wystawiania za drzwiami lub za oknem i bojąc się, że się dowie przez innych służących lub przez odźwiernego, iż ona stała na czatach (bo Franciszka widziała wszędzie tylko „zazdrości” i „gadania”, grające w jej wyobraźni tę samą ustawiczną i złowrogą rolę, co dla wielu osób intrygi jezuitów i Żydów), poprzestała na zaglądaniu przez okienko kuchenne, „aby się nie nasłuchać od swojej pani”. Ostatecznie, z ogólnego wyglądu, wzięła pana de Norpois „za pana Legrand”, z przyczyny jego *żwawości*, mimo że nie było między nimi żadnego podobieństwa.

– Ale – spytała matka – jak Franciszka sobie tłumaczy, że nikt nie umie zrobić auszpiku tak jak Franciszka, kiedy się przyłoży?

– Nie wiem, skąd mi to się pochodzi – odpowiadała Franciszka, która nie ustaliła w swoim słowniku form słowa „pochodzić”.

Mówiła zresztą po części prawdę i tak samo nie umiała – ani nie miała ochoty – odsłonić tajemnicy stanowiącej wyższość jej auszpiku i jej kremów, jak wielka elegantka strzeże sekretu swoich toalet lub wielka śpiewaczka swego śpiewu. Wyjaśnienia ich niewiele tłumaczą i tak samo było z przepisami naszej kucharki.

– One gotują zanadto na łap-cap – odpowiadała, mówiąc o wielkich restauratorach – i także nie wszystko razem. Trzeba, żeby mięso zrobiło się jak ta gąbka; wówczas pije wszystek sok aż do

dna. Ale była jedna taka restracja, gdzie na mój rozum umieją trochę gotować. Nie mówię, żeby to był auszpik całkiem po mojemu, ale było robione pomału, a w suflecie to czuło się śmietankę.

– Może Henry? – spytał ojciec, który wszedł za nami (ojciec bardzo cenił restaurację na placu Gaillon, gdzie w oznaczone dni miewał koleżeńskie obiady).

– Och, nie! – rzekła Franciszka ze słodyczą, pod którą kryła się głęboka wzgarda – ja powiadam o małej restracyjce. U tego Henry jest bardzo dobrze, pewno, ale to nie jest restracja, to prędzej bar.

– Weber?

– Och, nie, proszę pana, ja myślę dobra restracja. Weber, to jest przy rue<sup>13</sup> Royale; to nie restracja, to piwiarnia. Albo to tam umieją uczciwie podać? Nawet nie mają tam obrusów, wałą wszystko na stół jedno na drugie.

– Może Cirro?

Franciszka uśmiechnęła się:

– Och, ja myślę, że tam najlepsze w jeich kuchni to te panie ze świątka. – („Świątek” oznaczał dla Franciszki półświątek). – Ha, i to jest potrzebne dla młodzieży.

Spostrzegliśmy, że pod pozorami naiwności, Franciszka jest dla sławnych kuchmistrzów groźniejszą „koleżanką”, niż może nią być najbardziej zawistna i zarozumiała aktorka. Uczuliśmy zresztą, że ma słuszne poczucie swojej sztuki i poszanowanie tradycji, bo dodała:

– Nie, ja myślę restrację, co wygląda na taką sobie domową kuchenkę. Tam to są odpowiednie ludzie. Mają dość roboty. Targują tam dość susów. – (Oszczędna Franciszka liczyła na *sou*, nie na *ludwiki*, jak „okpisze”). – Pani zna przecie, po prawej na wielkich bulwarach, trochę z tyłu...

Restauracja, o której mówiła z tą sprawiedliwą miarą, nie bez odcienia dobroduszości i dumy, to było... „Café Anglais”.

Kiedy przyszedł 1 stycznia, odbyłem najpierw wizyty rodzinne z mamą, która, aby mnie nie męczyć, poklasyfikowała je z góry (przy pomocy planu nakreślonego przez ojca), raczej wedle dzielnicy niż wedle ścisłego stopnia pokrewieństwa. Ale ledwieśmy weszli do salonu dość dalekiej kuzynki, której racją pierwszeństwa było to, że mieszkała blisko nas, matka przeraziła się, widząc – z torebką cukrowanych kasztanów w rękę – najlepszego przyjaciela najdrażliwszego z moich wujów, który w ten sposób dowie się z pewnością, żeśmy nie rozpoczęli od niego swojej pielgrzymki. Ów wuj będzie z pewnością urażony; wydałoby mu się zupełnie naturalne, gdybyśmy szli od Madeleine do Jardin des Plantes, gdzie on mieszkał, aby się potem zatrzymać koło Saint-Augustin i ruszyć z powrotem na ulicę de l'École-de-Médecine.

Po skończeniu wizyt (babka zwalniała nas od wizyty, wobec tego że mieliśmy być u niej tego dnia na obiedzie) pobiegłem na Pola Elizejskie, aby zanieść naszej straganiarce list przeznaczony dla osoby zachodzącej tam kilka razy w tygodniu od Swannów po pierniki. Od dnia, gdy Gilberta sprawiła mi tyle przykrości, postanowiłem wysłać na Nowy Rok ten list, w którym oznajmiłem jej, że nasza dawna przyjaźń wygasa z końcem roku, że zapominam swoich uraz i zawodów, i że od 1 stycznia zbudujemy nową przyjaźń, tak trwałą, że jej nic nie zniszczy, tak cudowną, że mam nadzieję – pisałem – iż Gilberta włoży nieco kokieterii w to, aby zachować całą piękność tej przyjaźni i ostrzec mnie na czas – co i ja przyrzekałem uczynić – skoro tylko się zjawi najmniejsze niebezpieczeństwo zdolne ją naruszyć.

Za powrotem Franciszka zatrzymała mnie na rogu rue Royale przed wystawą, gdzie wybrała sobie na kolędę fotografie Piusa IX i Raspaila, ja zaś kupiłem fotografię Bermy. Niezliczone zachwyty, jakie budziła artystka, czyniły czymś dość ubogim tę jedyną twarz, która mogła im uczynić zadość; twarz niezmienną i nikłą, niby strój osób niemających sukni na zmianę; twarz, którą zawsze mogła przystroić jedynie małą fałdką nad górną wargą, podniesieniem brwi, paroma wreszcie innymi właściwościami, zawsze tymi samymi i będącymi ostatecznie na łasce jakiegoś oparzenia lub innego wypadku. Ta twarz nie byłaby mi się zresztą sama przez się wydała piękna, ale budziła we mnie myśl

---

<sup>13</sup> rue (fr.) – ulica [przypis edytorski]

– i tym samym ochotę – ucałowania jej, dla wszystkich pocałunków, które musiała znieść w życiu i które z głębi albumu z „widokówkami” zdawała się przyzywać jeszcze swoim zalotnie tklivym spojrzeniem i sztucznie naiwnym uśmiechem. Berma musiała istotnie odczuć wobec wielu młodych ludzi owe pragnienia, do jakich przyznawała się pod osłoną postaci Fedry, a zaspokojenie ich musiało jej przychodzić z łatwością, bodaj dzięki urokowi nazwiska, przydającego jej urody i przedłużającego młodość.

Wieczór zapadał, zatrzymałem się przed słupem z afiszami zapowiadającymi występ Bermy na 1 stycznia. Był wilgotny i ciepły wiatr; pogoda, jaką znałem: miałem wrażenie i przeczucie, że ten Nowy Rok nie różni się od innych dni, że nie jest pierwszym dniem nowego świata, w którym mógłbym, z nienaruszoną jeszcze szansą, odnowić znajomość z Gilbertą niby w momencie stworzenia świata, tak jakby nie istniała jeszcze przeszłość, jak gdyby znikły, wraz z jej możebnymi wróżbami na przyszłość, zawody, jakie mi nieraz sprawiła: nowy świat, gdzie by nie pozostało nic z dawnego... jedynie to: moje pragnienie, aby mnie Gilberta kochała.

Zrozumiałem, że jeśli moje serce pragnie tej odnowy otaczającego je świata, który go nie zadowolił, to dlatego, że ono, moje serce, nie zmieniło się. I powiedziałem sobie, że nie ma racji, aby serce Gilberty odmieniło się bardziej od mego: uczułem, że ta nowa przyjaźń, to jest ta sama, tak jak nie są od dawnych lat oddzielone jakimś rowem nowe lata, które pragnienie nasze, nie mogąc ich dosięgnąć i przeobrazić, znaczy – bez ich wiedzy – odmienną nazwą. Daremnie ofiarowywałem ten rok Gilbertce, tak jak się nadbudowuje religię na ślepych prawach przyrody; daremnie siliłem się wycisnąć na tym Nowym Roku osobliwe pojęcie, jakie sobie o nim stworzyłem; wszystko na próżno; czułem, iż on nie wie, że go nazwano Nowym Rokiem, że kończy się w zmierzchu w sposób, który mi nie był nowy: w łagodnym wietrze, jaki wiał dokoła słupa z afiszami, poznałem, uczułem powracającą wieczną i pospolitą materię, znaną wilgoć, nieświadomą płynność dawnych dni.

Wróciłem do domu. Przeżyłem 1 stycznia ludzi starych, którzy różnią się w tym dniu od młodych, nie dlatego, że im się już nie daje kolędy, ale dlatego, że już nie wierzą w Nowy Rok. Kolędę dostałem, ale nie tę, która byłaby mi sprawiła przyjemność, a którą byłoby słówko od Gilberty. Ale byłem jeszcze młody, skorom mógł napisać do niej list, w którym spodziewałem się, mówiąc o samotnych marzeniach swojego serca, obudzić w Gilbertce podobne uczucia. Smutek ludzi, którzy się zestarzeli, tkwi w tym, że nawet nie myślą o pisaniu takich listów, zrozumiałwszy ich daremność.

Kiedym się położył, odgłosy ulicy, przedłużające się w ten wieczór świąteczny do późna, nie pozwoliły mi zasnąć. Myślałem o wszystkich ludziach, którzy zakończą tę noc przyjemnie; o kochanku, może o hulaszczej zgrai, która wpadnie z pewnością po Bermę z końcem tego zapowiedzianego na wieczór spektaklu. Nie mogłem nawet – aby uspokoić podniecenie, jakie ta myśl rodziła we mnie w ciągu bezsennej nocy – powiedzieć sobie, że Berma nie myśli może o miłości, skoro recytowane przez nią, a długo studiowane wiersze przypominały jej co chwilę, że miłość jest rozkoszna, co wiedziała zresztą tak dobrze, że demonstrowała jej wzruszenia, dobrze znane, ale obdarzone nową siłą i nieprzeczuwaną słodyczą; demonstrowała je oczarowanym widzom, z których każdy przecie poznał je kiedyś sam przez się. Zapaliłem świecę, aby jeszcze raz popatrzeć na jej twarz. Na myśl, że ta twarz była z pewnością pieszczona w tej chwili przez owych mężczyzn, którzy w mojej wyobraźni dawali Bermie i otrzymywali od niej nadludzkie i nieznanne rozkosze, odczuwałem skurcz bardziej bolesny niż rozkoszny, nostalgii, którą pogłębiał dźwięk rogu, taki jak się słyszy w noc Mi-Carême, a często w inne dni zabaw; dźwięk, przez to że wyzuty z poezji, smutniejszy wówczas, gdyż wychodzący z szynkowni, niż „wieczorem w głębi lasu”. W tej chwili list Gilberty nie byłby może tym, czego by mi było trzeba. Nasze pragnienia krzyżują się i w zamęcie bytu rzadkie jest, aby szczęście pokryło się ściśle z pragnieniem, które go wzywało.

Chodziłem nadal na Pola Elizejskie w pogodne dni, przez ulice, których różowe i wytworne domy kąpały się – był to moment wielkiego sukcesu Wystawy Akwarelistów – w ruchliwym i lekkim niebie. Skłamałbym, mówiąc, że w owym czasie pałace Gabriela zdawały mi się piękniejsze lub nawet różne epoką od sąsiednich domów. Stylowszy i niemal starożytniejszy wydawał mi się jeżeli nie Palais

de l'Industrie, to przynajmniej gmach Trocadero. Zanurzona w niespokojnym śnie, młodość moja spowijała wspólnym marzeniem całą dzielnicę, po której je wodziła, i nigdy nie pomyślałem, aby mogła istnieć budowla z XVIII wieku przy ulicy Royale, tak samo jak byłbym zdziwiony, dowiadując się, że Porte-Saint-Martin i Porte-Saint-Denis, arcydzieła z epoki Ludwika XIV, nie są współczesne najświeższym kamienicom tych plugawych dzielnic. Raz tylko któryś z pałaców Gabriela zatrzymał mnie długo; bo kiedy zapadła noc, jego kolumny, odmaterializowane blaskiem księżyca, wyglądały jak wycięte z kartonu i, przypominając mi dekoracje operetki *Orfeusz w piekle*, dały mi pierwszy raz wrażenie piękności.

Ale Gilberta wciąż nie przychodziła na Pola Elizejskie. A ja tak potrzebowałem ją ujrzeć, bo nie pamiętałem nawet jej twarzy! Badawczy, trwożliwy, wymagający sposób, w jaki patrzemy na osobę, którą kochamy; oczekiwanie słowa, dającego nam lub odbierającego nadzieję spotkania jej nazajutrz; i aż do czasu, gdy to słowo padnie, nasze kolejne – o ile nie równoczesne – ataki nadziei i rozpaczy, wszystko to wprawia nas w obliczu ukochanej istoty w zbyt silne wewnętrzne drżenie, abyśmy mogli uzyskać jasny jej obraz. Może też owa czynność wszystkich zmysłów naraz, próbująca poznać samym wzrokiem to, co jest poza nim, zbyt pobłażliwa jest na tysiąc form, na wszystkie smaki, na ruchy osoby żywej, którą zazwyczaj, nie kochając, unieruchomiamy. Przeciwnie, model ukochany porusza się: otrzymujemy zeń zawsze tylko zepsute fotografie.

Nie wiedziałem już doprawdy, jak wyglądają rysy Gilberty, z wyjątkiem boskich chwil, w których rozwijała je dla mnie: przypominałem sobie tylko jej uśmiech. I nie mogąc odtworzyć tej ukochanej twarzy, mimo wszelkich wysiłków, jakie czyniłem, aby ją sobie przypomnieć, irytowałem się, znajdując wyrysowane w swojej pamięci ze skończoną dokładnością bezużyteczne i wyraziste twarze przekupki i człowieka od karuzeli, podobnie jak ci, co stracili ukochaną istotę i nigdy nie oglądając jej we śnie, wściekają się, że wciąż spotykają w snach tyle nieznośnych osób, które aż nadto wystarczy znać na jawie. W niemożności wyobrażenia sobie przedmiotu swego bólu, obwiniają się niemal o to, że nie czują bólu. I ja byłem niedaleki od myśli, że skoro sobie nie mogę przypomnieć rysów Gilberty, zapomniałem jej samej, nie kocham jej już.

Wreszcie zaczęła znów przychodzić na Pola Elizejskie prawie co dzień, następcząc mi wciąż nowe pragnienia i prośby odkładane do jutra, czyniąc w tym sensie moją czułość każdego dnia czymś nowym. Ale jedna rzecz zmieniła – jeszcze raz, i to nagle – sposób, w jaki co popołudnia około drugiej wylaniał się problemat mojej miłości. Czy pan Swann znalazł mój list do córki, czy też Gilberta, chcąc mnie skłonić do ostrożności, wyznała mi aż znacznie później dawny już stan rzeczy? Kiedym jej mówił, jak bardzo podziwiam jej rodziców, przybrała ową nieuchwytną, pełną zastrzeżeń i sekretów minę, jaką miała, kiedy się mówiło o jej projektach, sprawunkach i wizytach, i naraz powiedziała wręcz: „Wiesz, rodzice wcale nie przepadają za tobą!”. I, wyślizgując się jak ondyna – to był jej styl – parsknęła śmiechem. Często śmiech Gilberty, kłócąc się z jej słowami, zdawał się, jak to robi muzyka, opisywać na innym planie niewidzialną powierzchnię.

Państwo Swann nie żądali od córki, aby przestała się ze mną bawić, ale byliby woleli – tak sądziła Gilberta – aby się to nie było zaczęło. Nie patrzyli na nasze stosunki przychylnym okiem, nie mieli dobrego pojęcia o moim poziomie moralnym; sądzili, że mogę wyrzucić na ich córkę jedynie zły wpływ. Ten gatunek zepsutej młodzieży, z którą utożsamiał mnie pan Swann, wyobrażałem sobie jako osobników, którzy nienawidzą rodziców swojej wybranej, schlebiają im w oczy, ale drwią z nich wraz z córką, popychają ją do nieposłuszeństwa, a skoro raz ją zdobyli, pozbawiają rodziców nawet jej widoku. Tym rysom (pod jakimi nawet największy nędznik nigdy nie widzi samego siebie) serce moje z uniesieniem przeciwstawiało swoje uczucia dla ojca Gilberty; a uczucia te były tak gorące, że nie wątpiłem, iż gdyby pan Swann mógł się ich domyślać, pożałowałby swojego sądu o mnie niby omyłki sądowej. Wszystko, com czuł dla niego, ośmieliłem się wypisać mu w długim liście, który powierzyłem Gilbertce, prosząc, by go oddała ojcu. Zgodziła się. I oto, ach, Swann widział we mnie większego jeszcze szalbierza niż myślałem; wątpił o uczuciach, które starałem się odmalować z taką prawdą na szesnastu stronicach; list mój do niego, równie gorący i szczery jak mój wylew wobec

pana de Norpois, okazał się równie bezskuteczny. Odciągnąwszy mnie na bok poza klomb laurów, na ścieżkę, gdzieśmy usiedli obok siebie na krzeselkach, Gilberta opowiedziała mi nazajutrz, że czytając list (który mi odniosła), ojciec wzruszał ramionami, mówiąc: „To wszystko nic nie znaczy; to tylko dowodzi, jak bardzo mam słusność”.

Ja, który znałem czystość własnych intencji, piękno własnej duszy, czułem się oburzony, że moje słowa nawet nie musnęły niedorzecznej omyłki Swanna. Bo to była omyłka, nie wątpiłem o tym wówczas. Opisałem tak ściśle pewne niezawodne znamiona swoich szlachetnych uczuć, że skoro Swann nie odtworzył sobie natychmiast z tych znamion mego stanu duszy, skoro nie przyszedł mnie przeprosić i wyznać, że się omylił, widać sam nigdy nie doznał tych szlachetnych wzruszeń, a co za tym idzie, niezdolny był pojąć ich w drugich.

Otóż może po prostu Swann wiedział, że szlachetność jest często wewnętrznym obrazem naszych samolubnych uczuć, kiedyśmy ich jeszcze nie nazwali i nie sklasyfikowali. Może w sympatii, jaką mu wyrażałem, ujrzał proste działanie – i entuzjastyczne potwierdzenie – mojej miłości do Gilberty, która to miłość – nie zaś wtórna cześć dla ojca ukochanej – kierowałaby niechybnie na przyszłość moimi postępami. Nie mogłem podzielać jego przewidywań, bo nie udało mi się swojej miłości oderwać od samego siebie, aby spojrzeć na nią z ogólnej perspektywy i dopuścić doświadczalnie jej konsekwencji; byłem w rozpacz.

Musiałem na chwilę opuścić Gilbertę, Franciszka wołała mnie. Trzeba mi było towarzyszyć jej do małego kiosku o ścianach pokrytych zieloną kratą, dosyć podobnego do opuszczonych domków akcyzy starego Paryża. Od niedawna urządzono tam to, co w Anglii nazywa się *lavabo*, a we Francji, przez źle poinformowaną anglomanię – waterklozet. Stare i wilgotne mury przedsiionka, gdzie czekał na Franciszkę, wydzielaly chłodną woń stęchlizny, która rozpraszając natychmiast troski zrodzone ze słów Swanna, przeniknęła mnie przyjemnością nie tego samego rodzaju co inne, mniej stałe, tak trudno dające się pochwyć, zatrzymać, posiadać, ale przeciwnie, przyjemnością rzetelną, na której mogłem się oprzeć, rozkoszną, spokojną, bogatą w prawdę trwałą, niewytłumaczoną i pewną. Byłbym chciał, jak niegdyś w swoich wycieczkach w stronę Guermantes, przeniknąć czar tego wrażenia i trwać bez ruchu, zgłębiając tę stareńką emanację, skłaniającą mnie, aby się nie tyle cieszyć przyjemnością (ofiarowaną mi jedynie w naddatku), ile zstąpić w realność, której nie odłoniła mi jeszcze. Ale gospodyni *lavabo*, starsza dama o utynkowanych licach, w rudej peruce, zagała rozmowę. Franciszka uważała ją za „bardzo dobrze z domu”. Córka jej poślubiła – znów wedle wyrażenia Franciszki – „chłopca z odpowiedniej rodziny”, tym samym kogoś, kogo od robotnika dzieliła większa przepaść niż dla Saint-Simona dzieli diuka od kogoś kto „wyszedł z mętów gminu”. Bez wątpienia dama w *lavabo*, nim doszła do tej profesji, musiała przeżyć jakieś katastrofy. Ale Franciszka upewniała, że to jest margrabina i że pochodzi z rodziny Saint-Ferréol. Owa margrabina poradziła mi, żeby nie stał na chłodzie i otworzyła mi nawet ubicację, mówiąc: „Nie chce pan wejść? tu jest zupełnie czysto, dla pana będzie gratis”. Robiła to może tylko tak jak panny od Gouache’a, które, kiedyśmy przychodzili z jakimś zamówieniem, częstowały mnie cukierkiem (niestety, mama zabraniała mi go przyjmować) wyjętym z klosza na ladzie; może i mniej niewinnie, jak pewna stara kwiaciarka, która zaopatrywała z urzędu żardiniery mamy i która dawała mi różę, robiąc słodkie oczy. Bądź jak bądź, jeżeli margrabina miała pociąg do młodych chłopców, w takim razie otwierając im podziemne bramy owych kamiennych sześcianów, gdzie ludzie kulą się przycupnięci jak sfinksy, musiała czerpać w swojej hojności nie tyle nadzieję uwiedzenia ich, ile przyjemność, jakiej doznajemy, okazując bezinteresowną rozrzutność wobec przedmiotu ukochania; nigdy bowiem nie widziałem u niej innego gościa prócz starego stróża ogrodowego.

W chwilę potem opuściłem markizę w towarzystwie Franciszki, po czym opuściłem Franciszkę, aby wrócić do Gilberty. Spostrzegłem ją natychmiast na krześle, za klombem laurów; chodziło o to, aby jej przyjaciółki nie dojrzały: grały w chowanego. Siadłem koło niej. Miała płaski toczek, który jej schodził dość nisko na oczy, dając tym oczom to samo spojrzenie „spode łba”, marzące i nieszczerze, jakie widziałem u niej pierwszy raz w Combray. Spytałem, czy nie byłoby

sposobu rozmówić się z jej ojcem. Odrzekła, że mu to proponowała, ale że pan Swann uważa to za zbyt uczynne. „Masz – dodała – zabierz swój list, trzeba iść do tamtych, skoro mnie nie znaleźli”.

Gdyby Swann nadszedł wówczas, zanim jeszcze odebrałem ów list, o którego szczerości wątpić wydawało mi się takim szaleństwem, może przekonałby się, że to on miał słuszność. Bo zbliżając się do Gilberty, która, przechylona w tył na krześle, mówiła, że bym wziął list, nie dając mi go, odczułem taki pociąg do jej ciała, że powiedziałem:

– Słuchaj, nie daj go sobie odebrać, sprawdzimy, kto jest silniejszy.

Ukryła list za plecami, ja ująłem ją rękami za kark, podnosząc warkocze, spadające jej na ramiona (czy że to było odpowiednie dla jej wieku, czy że matka chciała z niej dłużej robić dziecko, aby się odmłodzić sama); mocowaliśmy się wyprężeni. Starłem się przyciągnąć Gilbertę, opierała się; policzki jej, rozpalone wysiłkiem, były czerwone i okrągłe jak wiśnie; śmiała się tak, jakbym ją łaskotał; trzymałem ją ściśniętą między nogami jak drzewko, na które bym się wdrapował; i pośród tej gimnastyki, z lekkim przyspieszeniem oddechu, zrodzonym z wysiłku mięśni i z podniecenia zabawą, rozlałem – niby kilka kropel potu wyciśniętego wysiłkiem – swoją rozkosz, przy której nie mogłem się zatrzymać nawet na tyle, aby poznać jej smak. Natychmiast wziąłem list. Wówczas Gilberta rzekła z dobrocią:

– Wiesz, jeżeli chcesz, możemy się mocować jeszcze trochę.

Może uczuła mętnie, że moja gra miała inny cel niż ten, który podałem, ale nie umiała poznać, żem go osiągnął. A ja, obawiając się, aby tego nie spostrzegła (a pewne cofnięcie się wstecz, niby gest obrazonego wstydu, zbudziło we mnie w chwilę potem myśl, że miałem rację się lękać), zacząłem się dalej mocować, iżby Gilberta nie przypuszczała, że ja nie miałem innego celu tylko ten, po którym pragnąłem już tylko siedzieć spokojnie przy niej.

Wracając, spostrzegłem, przypomniałem sobie nagle ukryty dotąd obraz, do którego zbliżył mnie, nie dając mi go ujrzeć ani rozpoznać, cuchnący prawie sadzą chłód okratowanego kiosku. Obrazem tym był pokój wuja Adolfa w Combray, wydzielający w istocie ten sam zapach wilgoci. Ale nie mogłem zrozumieć (i odłożyłem dociekanie tego na później), czemu przypomnienie tak nikłego obrazu dało mi tyle szczęścia. Na razie, zdawało mi się, żem w istocie zasłużył na wzgardę pana de Norpois; ponad wszystkich pisarzy przekładałem dotąd tego, którego on nazywał prostym „wirtuozem na flecie”, a w prawdziwą egzaltację wprawiła mnie nie jakaś doniosła myśl, ale woń stęchlizny.

Od pewnego czasu w pewnych rodzinach nazwa Pól Elizejskich – jeżeli ją ktoś wymówił w czasie wizyty – spotykała się u matek z ową niechętną miną, z jaką przyjmują nazwisko głośnego lekarza, który, jak twierdzą, postawił zbyt wiele błędnych diagnoz, aby móc jeszcze budzić zaufanie. Upewniano, że ten ogród nie służy dzieciom; że można by przytoczyć niejedną wypadek zapalenia gardła, niejedną odrę i sporo gorączek, za które on był odpowiedzialny. Nie kwestionując otwarcie troskliwości matki, która wciąż mnie tam posyłała, przyjaciółki ubolewały jednak nad jej zaślepieniem.

Mimo uświęconego poglądu, neuropaci są może ludźmi, którzy obserwują się – „nasłuchują” – najmniej; słyszą w sobie tyle rzeczy, którymi – jak się okazuje potem – niesłusznie się niepokoiili, że w końcu nie zwracają uwagi na żadną. Ich system nerwowy tak często krzyczał: „Ratunku!”, niby w ciężkiej chorobie (kiedy po prostu miał padać śnieg albo miało się zmienić mieszkanie), że przyzwyczajają się nie brać w rachubę owych ostrzeżeń, podobnie jak żołnierz, który w zapale walki lekceważy je tak bardzo, że, będąc umierający, zdolny jest prowadzić jeszcze przez kilka dni życie zdrowego człowieka. Pewnego ranka, nosząc w sobie zespół zwykłych niedomagań, których stałe i wewnętrzne krążenie zawsze ignorowałem, niby krążenie swojej krwi, wbiegłem rażno do jadalni, gdzie rodzice już siedzieli przy stole. Powiadając sobie, jak zwykle, iż czuć zimno może znaczyć nie to, że trzeba się ogrzać, ale na przykład to, że się było połajany, a nie mieć apetytu to, że będzie padał deszcz, nie zaś, że nie trzeba jeść – siadłem do stołu. Naraz, w chwili gdym miał przełknąć pierwszy kąsek apetycznego kotleta, zatrzymały mnie nudności, zawrót głowy, gorączkowa

odpowiedź rozpoczynającej się choroby, której objawy przesłonił i opóźnił chłód mojej obojętności, ale która uparcie odmawiała niepożądanego dla organizmu pożywienia. Wówczas, w tej samej sekundzie, myśl, że mi nie pozwolą wyjść, o ile spostrzegą, że jestem chory, dała mi – niby instynkt samozachowawczy rannemu – siłę zawleczenia się do swego pokoju (gdziem spostrzegł, że mam 40° gorączki), a potem wybierania się na Pola Elizejskie. Poprzez mdlejące i przepuszczalne ciało, którym była spowita, moja uśmiechnięta myśl żądała owej tak słodkiej przyjemności partii „klas” z Gilbertą; i w godzinę później, ledwo trzymając się na nogach, ale szczęśliwy, miałem siłę kosztować jej jeszcze.

Za powrotem Franciszka oświadczyła, że jestem niezdrów, że musiała mnie „chycić frybra”. Wezwany natychmiast lekarz oświadczył, że „woli” „powagę” i „nasilenie” stanu gorączkowego (który towarzyszył przekrwieniu płuc i który będzie tylko „słomianym ogniem”) od bardziej „zdradliwych” i „utajonych” form choroby. Od dawna już podlegałem dusznościom i nasz lekarz (mimo niezadowolenia babki, która widziała mnie już beznadziejnym alkoholikiem), oprócz kofeiny, którą mi przepisano dla ułatwienia oddychania, radził mi piwo, szampan lub koniak, skoro uczuję, że się zbliża napad. Ataki – powiadała – rozchodzą się w „euforii” spowodowanej alkoholem. Aby się babka zgodziła na podanie mi alkoholu, musiałem często nie ukrywać, ale wręcz ostentacyjnie okazywać stan duszności. Zresztą, z chwilą gdy m czułem, że atak się zbliża, zawsze niepewny jego rozmiarów, niepokoiłem się o zmartwienie babki, którego m się obawiał znacznie więcej niż własnego cierpienia. Ale równocześnie, ciało moje – czy nazbyt słabe, aby zachować sekret tego cierpienia, czy obawiając się, aby w nieświadomości grożącego ataku, nie żądano ode mnie jakiegoś wysiłku, który byłby dla tego ciała niemożliwy lub niebezpieczny – rodziło we mnie potrzebę ostrzeżenia babki o moich przypadłościach, z dokładnością, w którą wkładałem w końcu fizjologiczną niejako skrupulatność. Skorom spostrzegłem w sobie jakiś przykry objaw, którego dotąd nie wyróżniłem, ciało moje było w rozpaczę póty, pókim się nie podzielił tym symptomem z babką. Jeżeli babka udawała, że nie zwraca na to uwagi, ciało żądało, aby wrócić do owego tematu. Czasami szedłem za daleko; i ukochana twarz, która nie zawsze już umiała tak jak dawniej panować nad swymi wzruszeniami, zdradzała wyraz współczucia, bolesny skurcz. Wówczas serce moje cierpiało od jej bólu; i jak gdyby moje pocałunki mogły zatrzeć to zmartwienie, jak gdyby moja czułość mogła dać babce tyleż radości co moje szczęście, rzucałem się w jej ramiona. A że skrupuły uspokoiły się skądinąd pewnością, że babka zna mój stan, ciało nie sprzeciwiało się temu, abym ją uspokoił. Zaręczałem jej, że ten stan nie ma nic przykrego, że nie trzeba mnie żałować; może być pewna, że jestem szczęśliwy! Moje ciało chciało uzyskać ściśle tyle litości, na ile zasługiwało, i byleby wiedziano, że je boli w prawym boku, nie miało nic przeciw temu, abym oznajmił, że ten ból nie jest żadną katastrofą i że nie jest dla mnie przeszkodą do szczęścia. Bo ciało moje nie miało pretensji do filozofii; to nie był jego wydział.

Podczas rekonwalescencji miałem prawie co wieczór napady duszności. Pewnego wieczora, kiedy babka zostawiła mnie w dość dobrym stanie, zaszła do mego pokoju bardzo późno i spostrzegła, że mi brak oddechu. „Och, Boże, jak ty cierpisz!” – wykrzyknęła ze zmienioną twarzą. Opuściła mnie natychmiast, usłyszałem trzask bramy; za jakiś czas babka wróciła z koniakiem, po który pojechała, bo go nie było w domu. Niebawem zacząłem się czuć szczęśliwy. Babka, trochę czerwona, miała minę nieswoją, w oczach wyraz zmęczenia i zwątpienia.

– Wolę cię zostawić, żebyś skorzystał trochę z tej poprawy – rzekła, opuszczając mnie nagle. Uściskałem ją i uczułem na jej policzkach coś mokrego; nie wiedziałem, czy to wilgoć nocnego powietrza, z którego wróciła. Nazajutrz przyszła do mnie aż wieczór, bo musiała – powiedziano mi – wyjść z domu. Uznałem to za dowód wielkiej obojętności i trzeba mi było panować nad sobą, aby babce tego nie wymówić.

Kiedy duszności powtarzały się, mimo że stan zapalny już ich nie usprawiedliwiał, rodzice wezwali profesora Cottard. W tego rodzaju wypadkach lekarzowi nie wystarczy być uczonym. Wobec objawów, mogących pochodzić z kilku różnych chorób, w rezultacie węg lekarza, jego rzut oka, rozstrzygają, z którą z nich – mimo mniej więcej podobnych symptomów – ma się prawdopodobnie do czynienia. Temu tajemniczemu darowi nie musi towarzyszyć znakomitość innych

cech intelektualnych; osobnik całkiem pospolity, lubiący najgorsze malarstwo, najgorszą muzykę, niemający żadnych zainteresowań umysłowych, może doskonale posiadać ów dar. W moim wypadku to, co było dostępne bezpośredniej obserwacji, mogło mieć równie dobrze jako przyczynę spazm nerwowy, początek gruźlicy, astmę, autointoksykację z następową niedomogą nerek, chroniczny nieżyt oskrzeli, wreszcie stan złożony, w który wchodziłoby kilka z tych czynników. Otóż spazm nerwowy najlepiej było zlekceważyć; gruźlica żądała wielkiej troskliwości i forsownego odżywiania, które byłoby szkodliwe dla astmy artretycznej, a mogło się stać niebezpieczne w razie dusznicy toksyalimentarnej, wymagającej diety zgubnej znowuż dla gruźlika. Ale wahanie profesora Cottard było krótkie, a przepisy stanowcze.

– Energiczne środki przeczyszczające, mleko przez kilka dni, nic tylko mleko. Żadnego mięsa, żadnego alkoholu.

Matka szepnęła, że potrzebuję przecież wzmocnienia, że jestem już dość nerwowy, że taka kuracja i taka dieta wyniszczą mnie. W oczach Cottarda, tak niespokojnych, jakby się obawiał spóźnić na pociąg, ujrzałem, że profesor pyta sam siebie, czy się nie dał uwieść swojej wrodzonej łagodności. Starał się sobie przypomnieć, czy pamiętał przybrać zimną maskę, jak ktoś sprawdza w lustrze, czy nie zapomniał zawiązać krawata. W tej niepewności, jakby chcąc na wszelki wypadek nadrobić zaniedbanie, odpowiedział niegrzecznie:

– Nie mam zwyczaju dwa razy powtarzać swoich przepisów. Niech mi pani da pióro. I zwłaszcza mleko. Później, kiedy przetniemy ataki i bezsenność, zgadzam się na trochę zupy, potem purée, ale wciąż mleko, mleko. Oto jest moje *mleczenie*. – (Uczniowie jego znali ten kalambur, który profesor popełniał w szpitalu za każdym razem, kiedy choremu na serce lub wątrobę zalecał mleczną dietę). – Potem chory wróci pomału do zwykłego trybu życia. Ale za każdym razem, kiedy się zjawia kaszel i dusznica, znów przeczyszczenie, lewatywy, łóżko, mleko.

Profesor wysłuchał z lodowatą twarzą, bez odpowiedzi, ostatnich zastrzeżeń matki i kiedy odszedł, nie racząc podać motywów tej kuracji, rodzice uznali ją za niewłaściwą dla mojej choroby, za niepotrzebnie osłabiającą i nie spróbowali jej. Starali się oczywiście ukryć przed profesorem swoje nieposłuszeństwo i dla pewności unikali domów, gdzie by go mogli spotkać. Później, kiedy mój stan się pogarszał, zdecydowano się wykonać ściśle przepisy Cottarda; po trzech dniach nie miałem już rzężeń ani kaszlu i oddychałem dobrze. Wówczas zrozumieliśmy, że Cottard, znajdując mnie, jak powiedział później, dość astmatycznym, a zwłaszcza „narwanym”, poznał, że w tej chwili przeważa u mnie zatrucie i że, opróżniając wątrobę i przepłukując nerki, odciąży oskrzela, wróci mi oddech, sen i siły. I zrozumieliśmy, że ten głupiec jest wielkim klinicystą.

Mogłem wreszcie wstać. Ale postanowiono mnie już nie posyłać na Pola Elizejskie. Powiadano, że są zapowietrzzone; sądziłem, że korzystano z tego pozoru, abym już nie mógł widywać panny Swann. Zmuszałem się do tego, aby powtarzać bez przerwy imię Gilberty, niby ów język ojczysty, który zwyciężeni starają się przechować, aby nie zapomnieć ojczyzny, której już nie ujrzą. Od czasu do czasu matka wodziła mi ręką po czole, mówiąc:

– Więc już małe chłopczyki nie opowiadają mamusi swoich sekretów?

Franciszka zachodziła do mnie co dnia, powiadając:

– Ależ panicz wygląda! Panicz się sobie nie przyjrzał, czysty umrzyk!

Faktem jest, że gdybym miał zwyczajny katar, Franciszka przybrałaby tę samą karawaniarską minę. Białolenia te bardziej były związane z jej „klasą” niż z moim stanem zdrowia. Nie orientowałem się wówczas, czy ten pesymizm był u Franciszki bolesny czy zadowolony. Uznałem prowizorycznie, że jest klasowy i zawodowy.

Pewnego dnia, w godzinie poczty, matka położyła mi na biurku list. Otworzyłem go z roztargnieniem, bo nie mógł mieć jedyne go podpisu zdolnego mnie uszczęśliwić, podpisu Gilberty, z którą poza Polami Elizejskimi nie byłem w stosunkach. Arkusik ozdobiony był srebrną pieczęcią,

przedstawiającą rycerza w hełmie, pod którym wiła się dewiza: *Per viam rectam*<sup>14</sup>; list zaś kreślony był dużym pismem, gdzie wszystkie zdania zdawały się podkreślone, po prostu dlatego, że wszystkie „t”, przekreślone nie przez literę, ale nad literą, tworzyły linię pod odpowiednim słowem górnego wiersza. U dołu ujrzałem – podpis Gilberty. Ale, ponieważ uważałem ten podpis w liście adresowanym do mnie za niemożliwy, widok ten, niepoparty wiarą, nie sprawił mi radości; raczej przez chwilę powlókł nierealnością wszystko, co mnie otaczało. Z zawrotną szybkością ten nieprawdopodobny podpis grał w cztery kąty z moim łóżkiem, z kominkiem, ze ścianą. Wszystko mi tańczyło w oczach jak komuś, kto spada z konia; pytałem sam siebie, czy nie ma jakiegoś istnienia, zupełnie odmiennego niż to, które znałem, sprzecznego z nim, ale właśnie prawdziwego, i to istnienie, objawiwszy mi się nagle, napełniało mnie owym wahaniem, jakie, malując Sąd Ostateczny, rzeźbiarze dali zmarłym, obudzonym na progu tamtego świata.

„Drogi przyjacielu – mówił list – dowiedziałam się, żeś był bardzo cierpiący i że już nie przychodzisz na Pola Elizejskie. Ja też nie chodzę, bo tam jest mnóstwo chorych. Ale moja gromadka przychodzi do nas na podwieczorek co poniedziałek i co piątek. Mama każe ci powiedzieć, że zrobiłbyś nam wielką przyjemność, gdybyś przyszedł, skoro tylko poczujesz się lepiej; będziemy mogli podjąć w domu nasze miłe rozmowy z Pól Elizejskich. Do widzenia zatem, mam nadzieję, że rodzice pozwolą ci przychodzić bardzo często, i ślę ci wyrazy szczerzej przyjaźni. Gilberta”.

Podczas gdy czytał te słowa, mój system nerwowy przyjmował z cudowną pilnością nowinę, że zdarzyło mi się wielkie szczęście. Ale duch mój, to znaczy ja sam – ostatecznie głównie zainteresowany – nie wiedział o tym jeszcze. Szczęście, szczęście przez Gilbertę, to była rzecz, o której stale myślałem, rzecz cała w myślach; to była, jak powiadał Leonardo o malarstwie, *cosa mentale*<sup>15</sup>. Czwartki papieru pokrytej pismem myśl nie przyswaja sobie od razu. Ale, skoro tylko skończyłem czytać list, zacząłem myśleć o nim, stał się przedmiotem marzenia, stał się i on także *cosa mentale*, i kochałem go już tak, że co pięć minut trzeba mi było odczytywać go, całować. Wówczas poznałem swoje szczęście.

Życie usiane jest cudami, których zawsze mogą spodziewać się ci, co kochają. Możliwe jest, że ten cud wywołała sztucznie mama, która, widząc, że od jakiegoś czasu straciłem wszelką chęć do życia, poprosiła może w jakiś sposób Gilberty, aby do mnie napisała, tak jak w czasie moich pierwszych kąpiei morskich, chcąc mnie zachęcić do nurkowania, czego nie cierpiałem, bo traciłem przy tym oddech, wręczała w sekrecie kąpielowemu cudowne skrzynki z muszel i gałązki koralu, o których myślałem, że je sam znajduję na dnie morza. Zresztą we wszystkich wypadkach, które w życiu i jego splecionych sytuacjach odnoszą się do miłości, najlepiej jest nie starać się zrozumieć, skoro w tym, co mają nieubłaganego lub niespodziewanego, zdają się podlegać prawom raczej mistycznym niż racjonalnym. Kiedy multimilioner, człowiek mimo to uroczy, dostawszy odprawę od ubogiej i nieładnej kobiety, z którą żyje, przyzywa wszystkie potęgi złota i wprawia w ruch wszystkie wpływy ziemi, nie mogąc uzyskać swego powrotu do łask, wówczas, wobec niezwykłego uporu jego kochanki, lepiej przypuścić, że to Los chce go zmiażdżyć i uśmiercić chorobą serca, niż szukać logicznego wytłumaczenia. Te przeszkody, z którymi kochankowie muszą walczyć i które ich przegrzana cierpieniem wyobraźnia próżno sili się odgadnąć, tkwią czasem w jakiejś osobliwości charakteru kobiety, w jej głupocie, w czymś wpływie na nią, obawach, jakie jej podsunęły osoby, których kochanek nie zna, w rodzaju przyjemności, jakich ona w danej chwili żąda od życia, a których ów amant wraz z całym swoim majątkiem nie może jej dostarczyć. W każdym razie kochanek jest ostatnim człowiekiem zdolnym odgadnąć naturę przeszkód, które kobieca chytryść mu ukrywa, a których własny jego sąd, spaczony miłością, nie umie ściśle ocenić. Podobne są owym guzom, które lekarz usuwa w końcu, nie poznawszy jednak ich pochodzenia. Jak owe guzy, przeszkody te

<sup>14</sup> *per viam rectam* (łac.) – prostą drogą. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *La pittura è cosa mentale* (wł.) – obraz to kwestia (dotycząca) umysłu; sentencja streszczająca pogląd, że w sztuce malarskiej nie technika, rysunek, nakładanie farb itp. są najważniejsze, ale główne założenie, proces umysłowy poprzedzający działanie twórcze. [przypis edytorski]

zostają tajemnicze, ale są czasowe. Jedynie trwają zwykle dłużej niż miłość. Że zaś miłość nie jest namiętnością bezinteresowną, kochanek, który już nie kocha, nie stara się przeniknąć, czemu uboga i lekka kobieta, którą kochał, uparcie odpychała przez całe lata jego i jego dostatek.

Otóż, ta sama tajemnica, która często w sprawach miłości osłania przyczynę katastrof, równie często spowija nagłość pewnych szczęśliwych rozwiązań (takiego na przykład, jakie mi przyniósł list Gilberty). Rozwiązania szczęśliwe, bodaj z pozoru – nie ma bowiem naprawdę szczęśliwych rozwiązań dla uczucia mającego tę właściwość, że wszelkie uczynienie mu zadość przesuwają jedynie ból w inne miejsce. Czasami wszelako następuje pauza i ma się jakiś czas złudzenie zdrowia.

Co się tyczy listu (w którym Franciszka wzbraniała się uznać imienia Gilberty, ponieważ ozdobne „G”, wsparte na pozbawionym kropki „i”, wyglądało na „A”, gdy ostatnią sylabę przedłużały w nieskończoność ząbki zakrętasa), gdyby się chciało szukać racjonalnego wyjaśnienia zwrotu przejmującego mnie taką radością, można by pomyśleć, że go zawdzięczał poniekąd przypadkowi, który na pozór mógł być, przeciwnie, zgubić mnie na zawsze w pojęciu Swannów. Niedługo przedtem zaszedł do mnie Bloch, w chwili gdy profesor Cottard (którego, od czasu jak się trzymałem jego diety, sprowadzono znowu) znajdował się w moim pokoju. Konsultacja była skończona, a Cottard bawił już tylko jako gość, bo go rodzice zatrzymali na obiad. Wśród ogólnej rozmowy, Bloch opowiedział, że podobno pani Swann bardzo mnie lubi; słyszał to od osoby, z którą sąsadował wczoraj na proszonym obiedzie i która żyje bardzo blisko z panią Swann. Byłbym chciał odpowiedzieć, że się z pewnością myli, przez ten sam skrupuł, który mi kazał oświadczyć panu de Norpois (z obawy, aby mnie pani Swann nie wzięła za kłamcę), że nie znam pani Swann i że z nią nigdy nie rozmawiał. Ale nie miałem odwagi sprostować błędu Blocha, zrozumiałwszy, że błąd był świadomy; jeżeli Bloch zmyślił słowa, jakich pani Swann nie mogła w istocie powiedzieć, to dlatego, aby oznajmić coś, co sam Bloch uważał za pochlebne dla siebie, a co nie było prawdą, mianowicie że był gdzieś na obiedzie z przyjaciółką tej damy. Otóż, jak pan de Norpois, dowiadując się, że nie znam pani Swann, a pragnąłbym ją poznać, pilnie wystrzegał się wspomnieć jej o mnie, tak Cottard (będący jej lekarzem), wnosząc ze słów Blocha, że ona mnie dobrze zna i ceni, pomyślał, iż powiedzieć jej przy sposobności, że jestem przemiły chłopiec, z którym on jest bardzo blisko, nie zda się na nic mnie, a będzie pochlebne dla niego; dwie racje, które go skłoniły do wspomnienia o mnie przed Odetą, gdy się nadarzyła sposobność.

Wówczas poznałem to mieszkanie, z którego przenikał aż na schody zapach perfum pani Swann, ale które bardziej jeszcze nasycił wonią osobliwy i bolesny urok wydzielający się z życia Gilberty. Nieubłagany odźwierny, zmieniony w życzliwą Eumenidę, kiedy go pytałem, czy mogę wejść, życzliwym uchyleniem kaszki przywykł oznajmiać, że ziszcza moją prośbę. Okna, które, widziane z ulicy, między mnie a nieprzeznaczone dla mnie skarby wstawiały swoje błyszczące, dalekie i obojętne spojrzenie, wyobrażające dla mnie spojrzenie samych państwa Swann, teraz, kiedy w pogodny dzień spędziłem całe popołudnie z Gilbertą w jej pokoju, otwierałem je sam, aby wpuścić trochę powietrza i zarazem aby się wychylić obok Gilberty – o ile to był dzień przyjęć jej matki – oglądając schodzących się gości, którzy często, podnosząc głowę przy wysiadaniu z powozu, pozdrawiali mnie ręką, biorąc mnie za jakiegoś kuzynka pani domu. W chwilach tych warkocze Gilberty dotykały moich policzków. Wydawały mi się, w delikatności swoich naturalnych zarazem i nadnaturalnych włókien, w potędze swojej artystycznej liścianki, dziełem jedynym, na które zużytkowano sam trawnik Raju. Jakiegoż niebiańskiego zielnika nie dałbym za oprawę nawet ich najmniejszej cząstki! Ale, nie spodziewając się uzyskać prawdziwego pasemka tych warkoczy, gdybym bodaj mógł posiadać ich fotografię, o ileż cenniejszą niż fotografia kwiatków rysowanych przez Leonarda da Vinci! Aby ją uzyskać, rozwinąłem wobec przyjaciół Swannów, a nawet wobec fotografów zabiegi, które nie dały mi tego, czegom pragnął, ale przyniosły mi wiekiuste stosunki z ludźmi bardzo nudnymi.

Wchodziłem do mrocznego przedpokoju, gdzie nieustannie wisiła – groźniejsza i bardziej upragniona niż niegdyś w Wersalu zjawienie się króla – możliwość spotkania państwa Swann i gdzie

zazwyczaj, potknąwszy się o olbrzymie wieszadło, siedmioramiennę niby świecznik w Piśmie, składałem przeproszenia i ukłony kamerdynerowi, siedzącemu w długiej szarej szacie na drewnianej skrzyni; brałem go w ciemności za panią Swann. Rodzice Gilberty, którzy tak długo nie pozwolili mi jej widywać, teraz – jeżeli jedno z nich przechodziło tamtędy w chwili mego przybycia – nie tylko nie mieli miny groźnej, ale ściskali mi z uśmiechem rękę i mówili:

– Jak się pan *mjewa* – (wymawiali oboje przez *j*, co, jak łatwo pojąć, wróciwszy do domu siłilem się naśladować w nieustannym i rozkosznym ćwiczeniu). – Czy Gilberta wie, że pan przyszedł? Zatem, do zobaczenia.

Co więcej, same te podwieczorki, które Gilberta wyprawiała dla przyjaciółek i które tak długo zdawały mi się jedną z najbardziej nieprzebytych przeszkód między nami, stały się teraz sposobnością widzenia się, o czym – jako dość świeżego jeszcze znajomego – zawiadamała mnie pisemnie, za każdym razem na innym papierze listowym. Raz był ozdobiony błękitnym wypukłym pieskiem nad humorystycznym podpisem angielskim oraz wykrzyknikiem; to znów kotwicą; albo cyfrą „G.S.”, przesadnie wydłużoną w prostokąt na całą wysokość stronicy, lub wreszcie imieniem *Gilberta*, to skreślonym na ukos w rogu złotymi literami, które naśladowały jej podpis i tworzyły zakrętas nad czarno odcisniętym otwartym parasolem; to ujętym w monogram w kształt chińskiego kapelusza, zawierający wszystkie głoski imienia wielkimi literami, z których nie można było odczytać ani jednej. W końcu, ponieważ seria papierów listowych Gilberty, mimo iż liczna, nie była nieskończona, po szeregu tygodni ujrzałem, że wraca ten, który nosił, jak za pierwszym razem, godło: *Per viam rectam* nad rycerzem w hełmie, w medalionie z oksydowanego srebra. I każdy papier miał swój specjalny dzień, wedle pewnego symbolicznego klucza, jak myślałem wówczas, ale teraz sądzę, iż dlatego, że Gilberta starała się spamiętać gatunki papieru użyte w swojej korespondencji, tak aby, o ile można, nie pisać nigdy na tym samym, przynajmniej do osób, dla których zadawała sobie fatywę.

Ponieważ wskutek odmiennych godzin lekcji jedne przyjaciółki Gilberty żegnały się już w chwili, gdy inne dopiero przybywały, już od schodów słyszałem dobywający się z przedpokoju szmer głosów, który, mocą wzruszenia, o jakie mnie przyprawiała ta imponująca uroczystość, zrywał nagle, nim wszedłem do sieni, więzy łączące mnie jeszcze z poprzednim życiem i odejmował mi zgoła pamięć o tym, że mam zdjąć szalik, skoro się znajdę w ciepłe i uważać na godzinę, aby nie wrócić za późno.

Schody te, całe z drzewa, jak je robiono wówczas w niektórych czynszowych domach w owym stylu Henri II, który był długi czas ideałem Odety, a z którego miała niebawem wyrósć, opatrzone tabliczką bez odpowiednika w naszym domu, gdzie czytało się słowa: „Nie wolno się posługiwać windą do jazdy w dół”, zdawały mi się czymś tak wspaniałym, że opisałem je rodzicom jako starożytne schody, przywiezione z bardzo daleka przez pana Swanna. Moja miłość prawdy była taka, że nie wahałbym się podać tego objaśnienia, nawet gdybym wiedział, że jest fałszywe, ponieważ ono jedno mogło narzucić rodzicom mój własny szacunek dla godności schodów państwa Swann. Tak wobec ignoranta niezdolnego pojąć, na czym polega geniusz wielkiego lekarza, uważalibyśmy za właściwe nie zdradzić, że on nie umie uleczyć kataru. Że jednak nie miałem żadnego zmysłu spostrzegawczego, nie znając na ogół ani nazwy, ani gatunku rzeczy, na które patrzyłem, rozumiejąc tylko, iż skoro coś tyczy się Swannów, musi być nadzwyczajne, nie byłem pewny, czym popełnił kłamstwo, informując rodziców o artystycznej wartości oraz o egzotycznym pochodzeniu tych schodów. Nie wydawało mi się to pewne, ale musiało mi się wydawać prawdopodobne, bo czułem, że się mocno rumienię, kiedy ojciec przerwał mi, mówiąc: „Znam te domy, widziałem jeden taki, wszystkie są do siebie podobne; Swann zajmuje po prostu parę piętér, to Berlier budował te kamienice”. Dodał, że chciał wynająć mieszkanie w jednym z tych domów, ale się rozmyślił, bo rozkład okazał się niewygodny i wejście nie dość widne. Tak mówił ojciec, ale ja uczułem instynktownie, że mój intelekt powinien dla uroku Swannów i dla mego szczęścia uczynić wszystkie możliwe ofiary; jakoż, mocą wewnętrzznego nakazu, mimo to com usłyszał, odsunąłem na zawsze od

siebie – niby dewot *Życie Jezusa* Renana – destrukcyjną myśl, że dom Swannów jest zwyczajnym mieszkaniem, w którym moglibyśmy mieszkać.

Tak w owe dnię podwieczorków, wznosząc się po schodach stopień po stopniu, już wyzuty z myśli i pamięci, będąc jedynie igraszką najniższych refleksów, docierałem do strefy, w której dawał się uczuć zapach pani Swann. Zdawało mi się, że już widzę majestat czekoladowego tortu, otoczonego kręgiem talerzyków z ptifurami oraz szarych serwetek w deseń, wymaganych przez etykietę i właściwych domowi Swannów. Ale ta nieodmienna i uregulowana całość zdawała się, niby konieczny wszechświat kantowski, zależeć od najwyższego aktu wolności. Skorośmy się bowiem znaleźli wszyscy w saloniku Gilberty, naraz, patrząc na zegarek, Gilberta mówiła:

– Słuchajcie państwo, zapomniałam już, kiedy jadłam śniadanie, obiad aż o ósmej, miałabym ochotę coś przetrząść. Co wy na to?

I wprowadzała nas do jadalni, ciemnej jak wnętrze azjatyckiej świątyni pędzla Rembrandta, gdzie kunsztownie zbudowany tort, równie pocziwy i dobroduszny jak imponujący, zdawał się figurować tam na wszelki wypadek, jak co dzień, w razie gdyby Gilberte przysłała ochota pozbawić go jego czekoladowych blanków i zwalić niby bastiony pałacu Dariusza jego mury o stromych i dzikich skarpach, wypalone w piecu. Co więcej, aby przystąpić do zniszczenia tej wypieczonej Niniwy, Gilberta nie radziła się jedynie własnego apetytu; wywiadywała się także o mój, wydobywając dla mnie ze zwalonej budowli całą ścianę lakierowaną i przegrodzoną szkarłatnymi owocami, w guście Wschodu. Pytała mnie nawet, o której godzinie rodzice moi jedzą obiad, jak gdybym mógł to jeszcze wiedzieć, jak gdyby ogarniające mnie wzruszenie pozwoliło przetrwać w mojej pustej pamięci i sparaliżowanym żołądku wrażeniu sytości lub głodu, idei obiadu lub obrazowi rodziny. Na nieszczęście, paraliż ten był tylko chwilowy. Miał przyjść moment, gdy trzeba będzie strawić ciastka, którym nabierał machinalnie na talerz... Ale moment ten był jeszcze daleki. Na razie Gilberta przyrządziła mi „moją herbatę”. Piłem ją bez końca, gdy jedna jedyna filiżanka odbierała mi sen na dwadzieścia cztery godziny! Toteż matka zwykła była mówić:

– To przykre, ten malec nie może iść do Swannów, żeby nie wrócić chory.

Ale czyż ja bodaj wiedziałem, gdym był u Swannów, że piję herbatę? Gdybym wiedział, byłbym ją pił tak samo, bo przyjąwszy nawet, że bym odzyskał na chwilę poczucie teraźniejszości, nie byłoby mi to wróciło wspomnienia przeszłości i przewidywania przyszłości. Wyobraźnia moja nie była zdolna osiągnąć odległego czasu, kiedy mi przyjdzie położyć się do łóżka i zapragnąć snu.

Nie wszystkie przyjaciółki Gilberty znajdowały się w tym stanie upojenia, w którym decyzja jest niemożliwa. Niektóre odmawiały herbaty! Wówczas, Gilberta wygłaszała frazes bardzo rozpowszechniony w owej epoce:

– Stanowczo nie mam powodzenia z moją herbatą. Dostają kosza.

I aby tym skuteczniej usunąć charakter uroczystości, burzyła porządek krzeseł dokoła stołu:

– To wygląda jak obiad weselny; mój Boże, jaka ta służba jest głupia.

Chrupała ciasteczka, siedząc bokiem na krześle w formie „x” ustawionym w poprzek. Nawet, jak gdyby Gilberta mogła mieć do rozporządzenia tyle ptifurów bez zgody matki, kiedy pani Swann – której „żurek” schodził się zazwyczaj z podwieczorkami Gilberty – odprowadziwszy jakiegoś gościa, wchodziła w chwile potem, pędem, czasem ubrana w niebieską aksamitną suknię, często w czarną atlasową z białymi koronkami, mówiła ze zdziwioną miną:

– O, to dobrze wygląda, co wy tutaj jecie, aż mnie przychodzi apetyt, kiedy was widzę, jak chrupiecie keksy.

– Wybornie, mam, zapraszamy cię – odpowiadała Gilberta.

– Ależ nie, skarbie, co by powiedzieli moi goście: mam jeszcze panią Trombert, panią Cottard i panią Bontemps; wiesz, że ta kochana pani Bontemps nie ma zwyczaju siadywać krótko, a dopiero co przyszła. Co by powiedzieli wszyscy ci zaci ludzie, widząc, że się nie zjawiam. O ile nikt więcej nie przyjdzie, wrócę tu pogawędzić z wami (co mnie ubawi o wiele więcej), kiedy one pójdą. Myślę, że zasłużyłam na trochę spokoju, miałam czterdzieści pięć osób, a z tych czterdzieści

dwie mówiły o obrazie Gérôme'a! Ale niech pan przyjdzie którego dnia – (mówiła do mnie) – do Gilberty na *swoją* herbatę; przyrządzi ją panu tak, jak pan lubi, tak jak pan ją pija w swoim małym „studio” – dodawała pani Swann, pomykając do gości i tak jak gdyby moje przyzwyczajenia, których przyszedłem szukać w tym tajemniczym świecie, były czymś dobrze znanym. (Gdybym nawet miał zwyczaj pijania herbaty, co się tyczy „studio”, byłem w wielkiej niepewności, czy je posiadam). – Kiedy pan przyjdzie? Jutro? Będą na pana czekały *tosty* równie dobre jak u Colombina. Nie? Jest pan niegodziwy – powiadała pani Odeta, od czasu bowiem, jak sama zaczynała mieć „salon”, naśladowała wzięcie pani Verdurin, jej tonik mizdrzącego się despotyzmu. Ponieważ „tosty” były dla mnie czymś równie nieznanym jak Colombine, obietnica ta niewiele mogłaby przydać mojej pokusie. Osobliwsze wyda się, że nie zrozumiałem w pierwszej chwili, o kim mówi pani Swann, kiedy usłyszałem, jak wychwała przede mną naszą starą „*nurse*”. (Dziś wszyscy mówią w ten sposób, może i w Combray). Nie umiałem po angielsku, ale zrozumiałem rychło, że to słowo oznacza Franciszkę. Ja, który na Polach Elizejskich tak się bałem złego wrażenia, jakie Franciszka może sprawić, dowiedziałem się od pani Swann, że wszystko, co Gilberta opowiadała o mojej „*nurse*”, obudziło w niej i w jej mężu sympatię do mnie. „Czuć, że taka jest panu oddana, że jest tak na miejscu”. (Natychniast zmieniłem całkowicie swoje pojęcie o Franciszce; posiadać guwernantkę strojną w gumowy płaszcz i w piórko nie wydało mi się już tak konieczne). Wreszcie z kilku słów, jakie się wymknęły pani Swann o pani Blatin, której uznawała życzliwość, ale której wizyt się bała, zrozumiałem, że osobiste stosunki z tą damą nie byłyby dla mnie równie cenne, jak przypuszczałem i nie poprawiłyby w niczym mojej sytuacji u Swannów.

Jeżeli już zacząłem zgłębiać, z owym drżeniem szacunku i radości, czarodziejską dziedzinę, która, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, otwarła przede mną swoje zamknięte dotąd aleje, czyniłem to jedynie w charakterze przyjaciela Gilberty. Królestwo, do którego mnie dopuszczono, samo mieściło się w innym, jeszcze bardziej tajemniczym, gdzie Swann i jego żona wiedli swoje nadprzyrodzone życie i dokąd kierowali się, uściskawszy mi rękę, kiedy się mijali ze mną w hallu. Ale niebawem wniknąłem i do serca sanktuarium. Na przykład Gilberty nie było, a państwo Swann byli w domu. Pytali, kto dzwonił, i słysząc, że to ja, prosili, abym wstąpił do nich na chwilę, pragnąc, bym użył, w tym lub innym sensie i w tej lub innej sprawie, swojego wpływu na ich córkę. Przypomniałem sobie ów list, tak znaczący, tak przekonywający, którym niegdyś napisał do Swanna i na który on nie raczył nawet odpowiedzieć! Podziwiałem bezsilność rozumu, logiki i serca, gdy chodzi o to, aby spowodować najmniejszą odmianę, aby rozwiązać bodaj jedną z owych trudności, które później życie, nie wiadomo jak, rozwiązuje tak łatwo. Moja nowa rola przyjaciela Gilberty, mającego na nią znakomity wpływ, dawała mi obecnie te same przywileje, co gdybym, kolegując w szkole jako prymus z jakimś królewskim synem, przypadkowi temu zawdzięczał wstęp do Pałacu i audiencje w sali tronowej. Z nieskończoną dobrocią i tak jakby nie był przeciążony dostojnymi zajęciami, Swann wpuszczał mnie do swojej biblioteki i pozwalał mi całą godzinę mętным bełkotem i wystraszoną milczeniem, przerywanym krótkimi i bezładnymi wybuchami odwagi, odpowiadać na słowa, z których wzruszenie nie pozwalało mi zrozumieć nic a nic; pokazywał mi dzieła sztuki i książki, mogące mnie, jak sądził, zainteresować. Co do mnie, z góry byłem przeświadczony, że przedmioty, które mi pokazuje, pięknoscią swoją nieskończenie przewyższają wszystko, co posiada Luwr i Biblioteka Narodowa, ale nie byłem zdolny na nie patrzeć.

W tych chwilach kamerdyner Swanna sprawiłby mi przyjemność, każąc mi oddać sobie zegarek, szpilkę od krawata, buciki i podpisać akt, w którym uznałbym go swoim spadkobiercą: wedle pięknego popularnego wyrażenia, którego autor – jak twórcy najsłynniejszych epei – jest nieznany, ale które, jak one, i wbrew teorii Wolfa, z pewnością miało autora (jeden z owych twórczych i skromnych duchów, jakie zjawiają się co rok, robiąc odkrycia takie jak „dawać nazwisko epoce”, ale nie utrwalając własnego nazwiska) – *nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje*. Co najwyżej, dziwiłem się, kiedy wizyta się przeciągała, do jak nikłej realizacji, do jakiego braku szczęśliwej konkluzji wiodły te godziny przeżyte w zaczarowanej krainie. Ale mój zawód nie płynął ani z ubóstwa

pokazywanych mi arcydzieł, ani z niemożności zatrzymania na nich roztargnionego wzroku. Bo nie wewnętrzna piękność rzeczy czyniła mi pobyt w gabinecie Swanna czymś cudownym, ale związane z tymi rzeczami – mogłyby być najbrzydsze w świecie! – swoiste, smutne i rozkoszne uczucie, które umiejscawiałem w nich od lat i które nasycalo je jeszcze. Toż samo mnogość zwierciadeł, srebrnych szczonek, ołtarzyków św. Antoniego Padewskiego rzeźbionych i malowanych przez największych artystów, a przyjaciół Odety, nie grało żadnej roli w poczuciu mojej własnej niegodności, a jej królewskiej wspaniałomyślności. Bo takiego uczucia doznawałem, kiedy pani Swann przyjmowała mnie przez chwilę w pokoju, gdzie trzy piękne i imponujące istoty – pierwsza, druga i trzecia garderobiana – przygotowywały z uśmiechem cudowne toalety, i dokąd, na rozkaz wyrażony przez kamerdynera w krótkich spodniach („jaśnie pani pragnie powiedzieć słówko”), kierowałem się krętą ścieżką korytarza, przesyconego na odległość szacownymi esencjami, jakie bez przerwy słały z gotowalni swoje balsamiczne wonie.

Kiedy pani Swann wróciła do gości, słyszeliśmy jeszcze jej głos i śmiech, bo nawet wobec dwóch osób i tak jakby miała przed sobą wszystkich *wiernych*, podnosiła głos, rzucała słówka, tak jak często w „małym klanie” robiła to przy Odecie „pryncypałka” w chwili, gdy „kierowała rozmową”. Najbardziej lubimy się posługiwać wyrażeniami, których świeżo pożyczylimy od innych, przynajmniej przez jakiś czas, toteż pani Swann wybierała albo zwroty, przejęte od dystyngowanych ludzi, z którymi mąż musiał ją w końcu zapoznać (od nich zapożyczyła pewne maniery składni), to znów od osób pospolitszych (na przykład „to jeszcze jest nic”, ulubione wyrażenie jednej z przyjaciółek Odety). Zwroty te starała się lokować we wszystkich historyjkach, które, zwyczajem wyniesionym z „małego klanu”, lubiła opowiadać. Mówiła chętnie później: „Lubię bardzo tę historyjkę”, „och, przyznajcie, to jest *piękna* historia”, co przejęła przez męża od Guermantów, których nie znała.

Pani Swann opuściła jadalnię, ale mąż jej, który właśnie wrócił z miasta, zjawił się z kolei u nas.

– Nie wiesz, czy mama jest sama, Gilberto?

– Nie, ma jeszcze gości, papuśku.

– Jak to, jeszcze, o siódmej! To przerażające. Biedna kobieta musi być złamana. To okropne.

(W domu słyzałem zawsze słowo *okropne* wymawiane zwyczajnie, z akcentem na przedostatniej, ale oboje państwo Swann akcentowali „o-kropne”, na pierwszej).

– Pomyśl pan, od drugiej popołudniu! – ciągnął, zwracając się do mnie. – A Kamilla mówiła mi, że między czwartą a piątą było ze dwanaście osób. Co ja mówię dwanaście, zdaje mi się, że powiedziała czternaście. Nie, dwanaście; sam już nie wiem. Wracając, nie pamiętałem, że to żurek Odety i kiedym ujrzał wszystkie te powozy przed bramą, myślałem, że to jakieś wesele. I od czasu, jak jestem w bibliotece, dzwonek nie ustał ani na chwilę, daję słowo, głowa mnie od tego boli. Dużo ich jest tam jeszcze?

– Nie, tylko dwie.

– Nie wiesz kto?

– Pani Cottard i pani Bontemps.

– A! żona szefa kancelarii ministra robót publicznych.

– Wiem, że jej mąż jest czymś tam w ministerium, ale nie wiem dobrze czym – mówiła Gilberta, udając dziecko.

– Jak to, mała gąsko, mówisz tak, jakbyś miała dwa lata. Co ty pleciesz: „czymś tam w ministerium”? Jest po prostu szefem kancelarii, szefem całego kramu. Ależ nie, gdzie ja mam głowę, jestem tak samo nieprzytomny jak ty. Nie jest szefem kancelarii, ale *dyrektorem* kancelarii.

– Ja tam nie wiem; więc to jest dużo być dyrektorem kancelarii? – odpowiadała Gilberta, która nie traciła nigdy sposobności zmanifestowania obojętności na wszystko, co łechtało próżność jej rodziców (mogła zresztą myśleć, że dodaje jedynie blasku tak świetnej znajomości, nie przywiązując do niej na pozór zbytnej wagi).

– Jak to, czy to dużo – krzychał Swann, który wołał język bardziej wyrazisty niż tę skromność, mogącą mi zostawić jakieś wątpliwości. – Ależ to po prostu pierwszy po ministrze! To nawet więcej niż minister, on robi wszystko. Zdaje się zresztą, że to jest głowa, człowiek pierwszorzędny, jednostka zupełnie wybitna. Jest oficerem Legii Honorowej. Przemity człowiek, nawet bardzo przystojny.

(Żona pana Bontemps wyszła zresztą za niego wbrew wszystkiemu, dlatego że to był „człowiek czarujący”. Miał – co wystarczy, aby stworzyć rzadką i subtelną całość – jasną jedwabistą brodę, regularne rysy, nosowy głos, przykry oddech i szklane oko).

– Powiem panu – dodał Swann, zwracając się do mnie – że bawi mnie bardzo widzieć tych ludzi w obecnym rządzie, bo to są Bontemps z rodziny Bontemps-Chenut, typ reakcyjno-klerykalnego mieszczaństwa o ciasnych poglądach. Pański zacny dziadek znał dobrze, przynajmniej ze słyszenia i z widzenia, starego Chenut, który, mimo że bardzo bogaty na swoje czasy, dawał tylko jednego sou napiwku woźnicy; a także barona Bréau-Chenut. Cały majątek przepadł w krachu Union Générale (pan jest za młody, aby to móc pamiętać) no i odbudowali się, jak mogli.

– To wuj jednej dziewczynki, która chodziła ze mną na pensję, o parę klas niżej, sławnej „Albertyny”. Będzie z pewnością bardzo „fast”, ale na razie jest trochę dziwna.

– Zdziwiająca jest ta moja córa, zna wszystkich.

– Ja jej nie znam. Widywałam ją tylko w przelocie; wciąż się słyszało Albertyna to, Albertyna owo. Ale znam panią Bontemps i też mi się nie podoba.

– Zupełnie nie masz racji, jest miła, ładna, inteligentna. Jest nawet dowcipna. Pójdę się z nią przywitać: zapytam się, czy jej mąż przypuszcza, że będziemy mieli wojnę i czy można liczyć na króla Teodozjusza. On to musi wiedzieć, nieprawdaż, skoro zasiada w radzie bogów?

Nie w ten sposób przemawiał Swann niegdyś; ale któż nie widział księżniczek krwi bardzo prostych w obejściu, jeżeli w dziesięć lat później zdarzy się im uciec z lokajem, kiedy się starają odzyskać miejsce w świecie i czują, że świat niechętnie u nich bywa, jak przybierają od razu ton starych „pił”, i gdy ktoś cytuje jakąś modną księżnę, skwapliwie mówią: „Była wczoraj u mnie” i „Och, ja żyję bardzo na uboczu”. Toteż zbyteczne jest obserwować obyczaje, skoro je można wywieść z praw psychologicznych.

Swannowie przyswoili sobie tę wadę ludzi, u których mało kto bywa; wizyta, zaproszenie, nawet grzeczne słówko wpływowszych nieco osób, były dla nich wydarzeniem, któremu radzi byli dać rozgłos. Jeżeli zły los chciał, aby Verdurinowie byli w Londynie, gdy Odeta miała jakiś efektowniejszy obiad, starali się, aby przez wspólnego przyjaciela wiadomość o tym doszła panią Verdurin kablem przez La Manche. Nawet pochlebnych listów, telegramów otrzymanych przez Odetę, Swannowie niezdolni byli zachować dla siebie. Powtarzało się je przyjaciółom, puszczało się je w kurs. W ten sposób salon Swannów podobny był do owych hoteli w miejscach kąpielowych, gdzie wywiesza się na ścianie depesze.

Zresztą osoby znające dawnego Swanna nie tylko poza „światem”, jak ja go znałem, ale w świecie Guermantów, który, wyjąwszy altessy i diuszessy, był niezmiernie wymagający na punkcie inteligencji i wdzięku; gdzie wydawano wyrok banicji na ludzi wybitnych, uznanych przez ów świat za nudnych i pospolitych; te osoby mogłyby się zdziwić, stwierdzając, że dawny Swann przestał być nie tylko dyskretny, kiedy mówił o swoich stosunkach, ale przestał być trudny, gdy chodziło o ich wybór. W jaki sposób pani Bontemps, tak płaska, tak jadowita, nie działała mu na nerwy? Jak mógł twierdzić, że jest miła? Wspomnienie świata Guermantów powinno było uchronić go od takich pomyłek; w rzeczywistości sprzyjało im. U Guermantów, w przeciwieństwie do trzech czwartych kół światowych, był smak, smak wyrafinowany nawet, ale był też snobizm, dopuszczający przerw w stosowaniu smaku. Jeżeli chodziło o kogoś, kto nie był tej koterii nieodzowny, o jakiegoś ministra spraw zagranicznych, nadętego trochę republikanina, o gadatliwego akademika, ów smak obracał się wręcz przeciw niemu; Swann ubolewał nad panią de Guermantes, że musi cierpieć przy stole sąsiedztwo podobnych figur w jakiejś ambasadzie; tysiąc razy przekładano nad nich światowego bywalca, to znaczy człowieka z klanu Guermantów, zero, ale posiadającego „ducha Guermantów”,

człowieka z tej samej kapliczki. Jedynie gdy jakaś wielka księżna, jakaś księżniczka krwi bywała często na obiadach u pani de Guermantes, wówczas stawiała się i ona częścią tej kapliczki, nie mając po temu żadnych praw, nie posiadając nic z jej ducha. Ale z chwilą, gdy ją przyjmowano, starano się – z całą naiwnością ludzi światowych – wmówić w siebie, że jest miła, skoro nie można było sobie powiedzieć, że się ją przyjmuje dlatego, bo jest miła. Skoro taka królewska wysokość opuściła salon, Swann, przychodząc z pomocą pani de Guermantes, powiedział:

– W gruncie to dobra kobiecina, ma nawet pewne poczucie humoru. Mój Boże, nie sądzę, aby zgłębiła *Krytykę czystego rozumu*, ale nie jest przykra.

– Jestem całkowicie pańskiego zdania – odpowiadała księżna Oriana. – Do tego była dziś oneśmielona, ale zobaczycie, że ona może być urocza.

– Jest o wiele mniej nudna niż pani X (żona gadatliwego akademika, kobieta naprawdę niepospolita), która cytuje wam dwadzieścia tomów!

– Ależ nie może być najmniejszego porównania!

Swann przyswoił sobie tedy u księżnej Oriany zdolność mówienia takich rzeczy i to mówienia szczerze; i zachował tę zdolność. Posługiwał się nią teraz w stosunku do ludzi, którzy u niego bywali. Starał się spostrzegać i lubić w nich pewne przymioty, które wszelka istota ludzka objawia, jeśli się na nią patrzy życzliwie, nie zaś z wybrednym grymasem; podkreślał zalety pani Bontemps, jak niegdyś zalety księżnej parmeńskiej, którą powinno się było wykluczyć z kółka Guermantów, gdyby ono nie zachowało uprzywilejowanego wstępu dla księżniczek krwi i gdyby w stosunku do nich brano pod uwagę jedynie inteligencję i wdzięk. Widzieliśmy zresztą w swoim czasie, że Swann skłonny był (stosował to obecnie jedynie konsekwentniej) wymieniać swoją towarzyską sytuację na inną, która mu w danych okolicznościach bardziej odpowiadała. Jedynie ludzie niezdolni rozłożyć w swojej percepcji tego, co na pierwszy rzut oka wydaje się nierozdzielne, myślą, iż sytuacja zrośnięta jest z osobą. Ta sama jednostka, oglądana w kolejnych momentach życia, zanurza się na rozmaitych stopniach drabiny społecznej w środowiskach, które niekoniecznie są coraz to wyższe; i za każdym razem kiedy, w odmiennym okresie egzystencji, zawiązujemy lub nawiązujemy węzły z pewnym środowiskiem, kiedy czujemy się tam dobrze, zaczynamy zupełnie naturalnie przywiązywać się do niego, zapuszczając tam korzenie.

Co się tyczy pani Bontemps, sądzę także, iż Swann, mówiąc o niej z takim naciskiem, myślał z pewną przyjemnością, iż rodzice moi dowiedzą się, że pani Bontemps bywa u jego żony. Prawdę mówiąc, nazwiska osób, które pani Swann stopniowo pozyskiwała, u nas w domu więcej budziły ciekawości niż wzniewały podziwu. Słyszając o pani Trombert, matka mówiła:

– A, to nowa zdobycz, która jej ściągnie inne.

I jak gdyby przyrównując do wojny kolonialnej agresywny nieco, szybki i gwałtowny sposób, w jaki pani Swann zdobywała swoje znajomości, mama dodawała:

– Teraz, kiedy Trombertowie są ujarzmeni, sąsiednie plemiona nie omieszkają się poddać.

Kiedy matka spotkała panią Swann na ulicy, powiadała nam za powrotem:

– Widziałam panią Swann w pełnym rynsztunku, musiała ciągnąć na jakąś zwycięską wyprawę na Masseszutów, Syngalezów lub Trombertów.

I kiedy wymieniałem osoby, które widywałem w tym mieszanym nieco i sztucznym środowisku, dokąd często ściągano owe osoby z różnych światów i z niejakim trudem, mama odgadywała natychmiast ich pochodzenie. Mówiąc o nich niby o drogo okupionych trofeach, dodawała:

– Owoc wyprawy tam a tam.

Co się tyczy pani Cottard, ojciec dziwił się, że pani Swann mogła widzieć jakąś korzyść w pozyskaniu tej nieeleganckiej mieszczki, i powiadał: „Mimo sytuacji profesora, wyznaję, że nie rozumiem”. Matka, przeciwnie, rozumiała bardzo dobrze; wiedziała, że znaczna część przyjemności, jaką kobieta znajduje w tym, aby się wdrzeć w środowisko odmierne od tego, w którym żyła dawniej, byłaby dla niej stracona, gdyby nie mogła poinformować swoich dawnych znajomych o nowych, stosunkowo świetniejszych znajomościach, jakimi ich zastąpiła. Do tego trzeba świadka, którego

się wpuszcza w ten nowy i rozkoszny świat, niby we wnętrze kwiatu brzęczącego i lotnego owada, który potem, w miarę swoich wizyt, rozpuści – taką ma się przynajmniej nadzieję – nowinę, utajony załazek zazdrości i podziwu. Pani Cottard, jak stworzona do tej roli, należała do owej specjalnej kategorii gości, których mama, mająca pewne rysy humoru swego ojca, nazywała: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”. Zresztą – poza inną racją, o której dowiedziano się aż w wiele lat później – pani Swann, zapraszając tę przyjaciółkę, życzliwą, nienarzucającą się i skromną, nie potrzebowała się obawiać, że wprowadza do siebie, na swoje świetne „żurki”, zdrajczynię lub rywalkę. Znała olbrzymią liczbę kielichów mieszczańskich, które ta czynna robotnica raz uzbrojona w egretkę i w *porte-cartes* – mogła odwiedzić w ciągu jednego popołudnia. Znała jej siłę zapylającą i opierając się na rachunku prawdopodobieństwa, miała prawo sądzić, że niemal z pewnością ten czy ów stały gość Verdurinów dowie się już na trzeci dzień, iż gubernator Paryża rzucił bilety pani Swann, albo że sam pan Verdurin usłyszy, iż pan Le Hault de Pressagny, prezes Zawodów Hippyckich, zabrał oboje Swannów na galę dla króla Teodozjusza. Pani Swann wyobrażała sobie Verdurinów poinformowanych jedynie o tych dwóch pochlebnych dla niej wydarzeniach, gdyż poszczególne materializacje, pod którymi wyobrażamy sobie i ścigamy sławę, są ograniczone wskutek niemocy naszego umysłu, niezdolnego wyroić sobie naraz wszystkich form, których – wedle naszych ryczałtowych nadziei – sława nie omieszka dla nas przybrać.

Zresztą pani Swann uzyskała sukcesy jedynie w tak nazwanym „świecie oficjalnym”. Kobiety modne nie bywały u niej. Nie żeby je wystraszyła obecność republikańskich świeczników. Za czasu mego dzieciństwa wszystko, co należało do sfery konserwatywnej było światowe, w szanującym się zaś salonie niepodobna było przyjmować republikanina. Osoby żyjące w takim środowisku wyobrażały sobie, że niemożliwość zaproszenia kiedykolwiek „oportunisty”, a tym bardziej okropnego radykała, była rzeczą, która przetrwa wiecznie, jak lampy naftowe i omnibusy konne. Ale, podobne kalejdoskopom obracającym się od czasu do czasu, społeczeństwo przetrząsa składniki na pozór niewzruszone i tworzy inny deseń. Nie zdążyłem jeszcze przystąpić do pierwszej komunii, kiedy dobrze myślące damy ze zdumieniem spotkały na jakiejś wizycie elegancką Żydówkę. Te przemieszczenia kalejdoskopu wynikają z tego, co pewien filozof nazwałby zmianą kryterium. W epoce nieco późniejszej od tej, w której zacząłem bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa przyniosła nowe kryterium, i kalejdoskop przesyłał jeszcze raz swoje barwne szkiełka. Wszystko, co trąciło Żydem spadło gwałtownie – nawet elegancka dama – a pokątni nacjonałiści wzniesli się, zajmując miejsce tamtych. Najświetniejszym salonem Paryża stał się salon pewnego austriackiego księcia, arcykatolika. Gdyby zamiast sprawy Dreyfusa przyszyła wojna z Niemcami, kalejdoskop zmieniłby się w innym sensie. Żydzi, okazawszy się ku powszechnemu zdumieniu patriotami, zachowaliby swoją sytuację, a nikt by już nie zechciał chodzić do księcia austriackiego, ani nawet przyznać się, że tam kiedykolwiek bywał.

To nie przeszkadza, że za każdym razem, kiedy społeczeństwo jest chwilowo nieruchome, ci co w nim żyją, wyobrażają sobie, że już nie nastąpi żadna zmiana, tak samo jak, pamiętając początki telefonu, nie chcą wierzyć w samoloty. Zarazem felietonowi filozofowie zohydzają poprzedni okres, nie tylko jego rodzaj zabaw, który się im wydaje szczytem zepsucia, ale także dzieła artystów i myślicieli, pozbawionych już w ich oczach wszelkiej wartości, jak gdyby one były nierozzerwalnie związane z kolejnymi odmianami światowej płocności. Jedyńą rzeczą, która się nie zmienia, jest każdorazowe uczucie, że „coś się zmieniło we Francji”. W chwili, gdy zacząłem bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa jeszcze nie wybuchła i niektórzy wielcy Żydzi byli bardzo potężni; ale nikt nie był potężniejszy niż sir Rufus Israels, którego żona, lady Israels, była ciotką Swanna. Osobiście *lady* nie miała stosunków tak wytwornych jak jej siostrzeniec, który znowuż, nie lubiąc tej ciotki, nigdy zbytnio nie pielęgnował tego krewieństwa, mimo że prawdopodobnie miał być jej spadkobiercą. Ale to była jedyna z krewnych Swanna mająca świadomość jego światowej pozycji, gdy inni zachowali w tej mierze niewiedzę, będącą długo naszym udziałem. Kiedy w danej rodzinie jeden z jej członków wzniesie się w wielki świat – co się jemu samemu wydaje czymś jedynym, zanim z perspektywy

dziesięciu lat stwierdzi, że tego samego dokazał na inny sposób i z innych racji niejeden towarzysz jego młodości – stwarza dokoła siebie jakby strefę cienia. Owa *terra incognita* jest bardzo widoczna w swoich najmniejszych odcieniach dla wszystkich, co ją zamieszkują, ale jest jedynie nocą i nicością dla tych, którzy w nią nie wchodzą i którzy, ocierając się o nią, nie podejrzewają tuż obok siebie jej istnienia. Ponieważ żadna agencja Havasa nie objaśniła kuzynek Swanna o jego stosunkach, przeto (przed jego okropnym małżeństwem, oczywiście) opowiadano sobie z pobłażliwym uśmiechem na obiadach rodzinnych, że się „cnotliwie” obróciło niedzielę na wizytę u „kuzynka Karola”, którego, uważając go za nieco zawistnego ubogiego krewnego, nazywano dowcipnie, przez aluzję do tytułu Balzaka, „Le Cousin Bête”. Ale lady Israels wiedziała doskonale, kim są osoby zaszczycające Swanna przyjaźnią, o którą była zazdrosna. Rodzina jej męża, mniej więcej równoznaczna z Rotszyldami, prowadziła od kilku pokoleń interesy książąt Orleanu. Lady Israels, osoba bardzo bogata, miała wielkie wpływy i użyła ich na to, aby nikt z jej znajomych nie przyjmował Odety. Jedna osoba nie usłuchała jej potajemnie: hrabina de Marsantes. Otóż nieszczęście chciało, że gdy Odeta była z wizytą u pani de Marsantes, prawie równocześnie weszła tam lady Israels. Pani de Marsantes była jak na szpilkach. Z tchórzostwem ludzi, którzy przecież mogliby sobie na wszystko pozwolić, nie odezwała się ani razu do Odety, co nie zachęciło pani Swann do wciskania się w sfery niestanowiące zresztą bynajmniej świata, gdzie lubiłaby bywać. W swojej zupełnej obojętności na Faubourg Saint-Germain Odeta nadal była ciemną kokotką, bardzo w tym różną od mieszczan kutych w najdrobniejszych szczegółach genealogii; od owych ludzi, którzy lekturą starych pamiętników oszukują żądzę arystokratycznych stosunków, skoro im ich życie realne nie dozwala. Z drugiej strony, Swann był z pewnością nadal amantem, któremu wszystkie te właściwości dawnej kochanki wydają się miłe lub niewinne; często bowiem słyszałem, jak żona jego wygłaszała istne herezje światowe, on zaś (przez resztkę czułości, przez lekceważenie lub przez lenistwo i obojętność na jej braki) nie starał się ich prostować. Może była to również forma owej prostoty, która nas zmyliła w Combray i która sprawiała obecnie, że podtrzymując wciąż, przynajmniej na własny rachunek, znajomości bardzo świetne, Swann nie lubił, aby w rozmowie, w salonie jego żony, wydawało się, że do nich przywiązuje wagę. Miały zresztą dla Swanna mniej wagi niż kiedykolwiek, ile że środek ciężkości jego życia przesuwał się.

Bądź jak bądź, nieświadomość Odety w kwestiach światowych była taka, że, jeżeli nazwisko księżnej Marii de Guermantes zjawiało się w rozmowie po nazwisku diuszessy<sup>16</sup> Oriany, jej kuzynki, Odeta mówiła: „A, tamci są książęta, awansowali!”. Jeżeli ktoś powiedział „*prince*”, mówiąc o diuku de Chartres, ona poprawiała: „*Duc*, on jest *duc* de Chartres, a nie *prince*”. Na księcia Orleanu, syna hrabiego Paryża, mówiła: „To zabawne, syn jest więcej niż ojciec”, dodając jako anglomanka: „Gubi się człowiek w tych *Royalties*”.

Swann był zresztą ślepy na punkcie Odety nie tylko wobec luk jej wychowania, ale także wobec ubóstwa jej inteligencji. Więcej jeszcze: ile razy Odeta opowiadała jakąś głupią historię, Swann słuchał żony z przyjemnością, z rozbawieniem, niemal z podziwem, w który musiały wchodzić resztki rozkoszy; gdy przeciwnie, jego spostrzeżeń, często inteligentnych, nawet głębokich, Odeta słuchała zazwyczaj bez zainteresowania, pobieżnie, niecierpliwie, czasem przeczyła mu szorstko. I można wnosić, że to ujarzmienie elity przez pospolitość jest regułą w wielu małżeństwach, skoro się pomyśli, na odwrót, o tylu kobietach wyższych, które oczarował jakiś cham, bezlitosny cenzor

<sup>16</sup> księżnej (...) diuszessy – polski język nie ma terminów na odróżnienie tytułów *duc* i *prince*, które trzeba nam tłumaczyć jednakowo przez książę. Toteż w dalszym ciągu nieraz przyjdzie nam się spotkać z dwoma książętami de Guermantes: Błażem (duc de Guermantes) i Gilbertem (prince de Guermantes), oraz z dwiema księżnymi: Błażejową (Oriona) i Gilbertową (Maria). Na ogół *duc* stoi wyżej w hierarchii tytułów, poza paroma rodami, w których tytuł *prince* posiadał szczególne dostojeństwo, oraz poza „księżętami krwi”, członkami panujących domów, którym również daje się ogólnie tytuł *prince*, ale barwiący się wówczas innym odcieniem. Książę Orleański, *duc* de Chartres, hrabia Paryża, potomkowie francuskiej rodziny panującej, wciąż przez rojalistów uznawanej za królewską, mają inny porządek tytułów, wsparty na tradycji. Nazwiska i tytuły arystokratyczne wędrują wedle specjalnych praw: i tak *prince* des Laumes zaczął się tytułować od śmierci swego ojca *duc* de Guermantes, podczas gdy jego rodzony brat zowie się baron de Charlus itd. [przypis tłumacza]

ich najsubtelniejszych myśli, gdy one rozplývają się z pobłażliwą tkliwością nad płaskimi facecjami męża.

Aby wrócić do przyczyn, które nie pozwoliły Odecie w owej epoce dostać się do Faubourg Saint-Germain, trzeba powiedzieć, że najświeższy obrót światowego kalejdoskopu był następstwem serii skandalów. W kobietach, u których bywano z całym zaufaniem, odkryto dziewczyny publiczne, angielskich szpiegów! Zaczęto przez jakiś czas żądać od ludzi (tak sądzono przynajmniej), aby byli przede wszystkim solidni, pewni... Odeta przedstawiała ściśle wszystko to, z czym właśnie zerwano, aby zresztą natychmiast nawiązać, ludzie bowiem nie zmieniają się z dnia na dzień i szukają w nowym stroju kontynuacji dawnego. Ale szukano tego samego pod inną formą, która podtrzymywała złudną wiarę, że to już nie jest owa sosjeta sprzed katastrofy. Otóż Odeta zbyt była podobna do dam wyświeconych z tej sfery. Ludzie światowi są bardzo krótkowzroczni; w chwili gdy zrywają wszelkie stosunki z wykwintnymi Izraelitkami, swymi znajomymi, wówczas szukając, czym by zapełnić tę próżnię, spostrzegają, wyrosłą jak grzyb po deszczu, nową damę, również Izraelitkę; ale dzięki swojej nowości, nie kojarzy się ona w ich umyśle, jak poprzednie, z tym, co w swoim przekonaniu powinni nienawidzić. Nie żąda, aby szanowano jej Boga. I świat przygarnia tę damę. W epoce, gdym zaczynał bywać u pani Swann, nie było mowy o antysemityzmie. Ale Odeta była zbyt podobna do tego, od czego chwilowo chciano uciec.

Co się tyczy Swanna, odwiedzał on często niektórych dawnych znajomych, zatem osoby z największego świata. Ale, kiedy nam mówił o ludziach, od których wracał, zauważyłem, że wśród jego dawnych stosunków obecnie wybór Swanna kierował się tym samym rodzajem pół-artystycznych, pół-historycznych upodobań, jakie powodowały nim jako kolekcjonerem. Często jakaś zdeklasowana dama interesowała go, bo była niegdyś kochanką Liszta lub też Balzac dedykował którąś powieść jej babce. Podobnie Swann kupował jakiś rysunek, dlatego że go opisał Chateaubriand. Patrząc na to, zacząłem podejrzewać, że o ile popełnialiśmy swego czasu błąd, uważając Swanna za mieszczaucha obcego wielkiemu światu, zastąpiliśmy ten błąd innym, uważając go z kolei za jednego z lwów paryskich. Być przyjacielem hrabiego Paryża – to nie znaczy nic. Iluż jest owych „przyjaciół książąt krwi”, których nie przyjęto by w bodaj trochę wybredniejszym salonie. Książęta krwi wiedzą, czym są, nie są snoby, uważają się zresztą za coś o tyle powyżej reszty ludzkości, że wielcy panowie i mieszczaństwo wydają się im czymś prawie na jednym poziomie.

Zresztą Swann, wybierając nazwiska, które przeszłość wpisała w wytworny świat i które jeszcze można tam czytać, nie zadowalał się szukaniem w towarzystwie zwykłych przyjemności kulturalnego człowieka i artysty. Znajdował dość grubą rozrywkę w tym, aby robić jak gdyby bukiety towarzyskie, grupując różnorodne składniki, gromadząc osoby pozbierane to tu, to tam. Te doświadczenia „socjologii uciesznej” (przynajmniej w oczach Swanna) nie u wszystkich przyjaciółek jego żony – przynajmniej nie stale – znajdowały jednaki odzew. „Mam ochotę zaprosić razem Cottardów i księżnę Vendôme” – mówił Swann, śmiejąc się, do pani Bontemps, z miną smakosza, który ma ochotę na próbę zastąpić w jakimś sosie goździki pieprzem *cayenne*. Otóż ten zamiar, który miał się wydać rozkoszny Cottardom, posiadał dar przywodzenia do rozpaczony pani Bontemps. Swannowie przedstawili ją świeżo księżnej Vendôme, co sama pani Bontemps uważała za równie miłe jak naturalne. Pochwalić się tym przed Cottardami, było nie najmniej smakowitą częścią tej przyjemności. Ale jak świeżo obdarzeni Legią chcieliby natychmiast zamknąć kran z odznaczeniami, tak pani Bontemps byłaby pragnęła, aby po niej nikogo z jej świata nie przedstawiono dostojnej księżnej krwi. Przeklinała w duchu perwersję Swanna, który, aby ziszczyć kaprys estety, rozwiewał jednym zamachem wszystkich piasek, jaki ona rzuciła w oczy Cottardom, mówiąc im o księżnej Vendôme. Jak ona będzie nawet mogła powiedzieć mężowi, że profesor i jego żona dostąpią z kolei udziału w przyjemności, którą zachwalała mu jako jedyną! Gdybyż jeszcze Cottardowie mogli wiedzieć, że zaproszono ich nie na serio, ale dla zabawy! Prawda, że państwa Bontemps zaproszono w tej samej intencji; ale Swann, przejąwszy od arystokracji ów wiekiusty donżuanizm, który między dwiema kobietami „z gminu” pozwala każdej wierzyć, że ją jedną kocha się prawdziwie, mówił

pani Bontemps o księżnej Vendôme jako o bardzo naturalnym dla niej towarzystwie. „Tak, mamy zamiar zaprosić jej dostojność razem z Cottardami – rzekła w parę tygodni później pani Swann – mąż uważa, że ta koniunkcja może wydać coś zabawnego” – o ile bowiem zachowała z „małego klanu” pewne przyzwyczajenia drogie pani Verdurin, jak na przykład krzyczeć bardzo głośno, aby być słyszaną przez wszystkich wiernych, w zamian za to używała pewnych wyrażeń – jak „koniunkcja” – ulubionych sferom Guermantów, których wpływowi ulegała w ten sposób na odległość i nie wiedząc o tym, jak morze ulega wpływowi księżyca, nie zbliżając się do niego widocznie.

– Tak, Cottardowie i księżna Vendôme, czy nie uważa pani, że to będzie zabawne? – pytał Swann.

– Ja myślę, że to będzie bardzo źle pasowało i że ściągnie na pana same przykrości, nie trzeba igrzać z ogniem – odparła pani Bontemps, wściekła.

I ją, i jej męża, zarówno jak księcia d’Agrigente, zaproszono zresztą na ten obiad, o którym pani Bontemps i Cottard opowiadali na dwa sposoby, zależnie od osób, z którymi rozmawiali. Jednym, pani Bontemps na swoją rękę, Cottard na swoją, mówili od niechcienia, kiedy ich pytano, czy był kto jeszcze na owym obiedzie:

– Był tylko książę d’Agrigente, to było w ścisłym kółku.

Ale zdarzało się, że ktoś był lepiej poinformowany; raz nawet ktoś powiedział do Cottarda: „Ale czy nie było także państwa Bontemps?” – Zapomniałem o nich” – odparł, rumieniąc się, Cottard niedyskretnemu człowiekowi, którego odtąd mieścił w kategorii „złych języków”. Dla takich państwo Bontemps i Cottardowie, nie porozumiewając się z sobą, przyjęli wersję, której rama była jednaka, jedynie nazwiska się zmieniały. Cottard mówił: „No cóż, byli tylko państwo domu, oboje księstwo Vendôme, dalej – (tu uśmiechał się z zadowoleniem) – profesorostwo Cottard, i daję słowo, lichy wie, po co – bo byli tam potrzebni jak włos w zupie – byli ci Bontemps”. Pani Bontemps recytowała dokładnie ten sam kawałek, z tym, że między księżną Vendôme a księciem d’Agrigente, wyszczególniała z zadowoloną emfazą państwa Bontemps, intruzami zaś, których w końcu obwiniła o to, że się sami wprosili i że zepsuli towarzystwo, byli Cottardowie.

Ze swoich wizyt Swann wracał często niedługo przed obiadem. W tych chwilach, o tej szóstej wieczór, kiedy niegdyś czuł się tak nieszczęśliwy, nie pytał już sam siebie, co Odeta może właśnie robić, i niewiele troszczył się o to, czy ma gości, czy też wyszła. Przypominał sobie czasem, iż wiele lat temu próbował jednego dnia przeczytać przez kopertę list Odety do pana de Forcheville. Ale to wspomnienie nie było mu przyjemne. Zamiast zgłębiać wstyd, jaki w tej chwili odczuwał, wolał zrobić lekki grymas, dopełniony w potrzebie ruchem głowy, który znaczył: „co mnie to może obchodzić?”. Zapewne, Swann uważał obecnie, że hipoteza, przy której często zatrzymywał się niegdyś i wedle której wyłącznie majaki jego zazdrości oczerniały niewinne w istocie życie Odety, że ta hipoteza (w sumie pomyślna, skoro tak długo, jak długo trwała miłosna choroba Swanna, zmniejszyła jego cierpienia, przedstawiając mu je jako urojone) była mylna, że to zazdrość jego widziała trafnie, i że, o ile Odeta kochała go więcej, niż sądził, zdradzała go także więcej. Niegdyś, gdy tak cierpiał, Swann poprzysiągł sobie, że kiedy już nie będzie kochał Odety i nie będzie się już bał pogniewać jej lub zdradzić się z tym, iż ją zanadto kocha, uczyni sobie tę satysfakcję, aby wyświecić – przez czystą miłość prawdy i jako fakt historyczny – czy Forcheville był z nią w łóżku owego dnia, kiedy Swann dzwonił i tłukł w szyby nadaremnie i kiedy ona napisała Forchevillovi, że zaszedł ich jej wuj. Ale ów problem, tak interesujący, że Swann czekał jedynie końca zazdrości z tym, aby go wyświecić, stracił właśnie wszelkie znaczenie w jego oczach, skoro przestał być zazdrosny. Co prawda nie zaraz. Nie był już zazdrosny o Odetę, ale dzień owego daremnie pukania do willi przy ulicy La Pérouse wciąż jeszcze w nim podsyczał zazdrość. To było tak, jak gdyby zazdrość – podobna w tym do owych chorób, które zdają się mieć swoją siedzibę, swoje źródło infekcji, nie tyle w pewnych osobach, ile w pewnych miejscach, w pewnych domach – miała za przedmiot nie tyle samą Odetę, ile ów dzień, ową godzinę straconej przeszłości, kiedy Swann pukał do wszystkich drzwi kochanki. Można by rzec, iż jedynie ten dzień, ta godzina, utrwaliły jakieś ostatnie cząstki dawnej

miłosnej osobowości Swanna i że ów odnajdywał je już tylko tam. Od dawna już nie dbał o to, że go Odeta zdradzała niegdyś i że może go zdradzać jeszcze. A mimo to, wciąż przez kilka lat szukał dawnych służących Odety, tak dalece przetrwała w nim bolesna chęć dowiedzenia się, czy owego dnia, tak już odległego, o szóstej, Odeta była z Forchevillem. Później sama ta ciekawość znikła, ale śledztwo Swanna nie ustało. Nadal starał się przeniknąć to, co go już nie obchodziło, bo jego dawne *ja*, doszedłszy do zupełnego uwiadu, działało jeszcze machinalnie, w duchu wygasłych zainteresowań. Tak iż Swann nie potrafił już sobie nawet odtworzyć tego wzruszenia, niegdyś tak mocnego, że nie mógł sobie wyobrazić wówczas, aby się zdołał kiedyś zeń wyzwolić; jedynie śmierć tej, którą kochał (śmierć, która – jak to w dalszym ciągu tego dzieła wykaże okrutna kontr-próba – nie zmniejsza w niczym cierpienie zazdrości) zdawała mu się zdolna wyrównać dlań całkowicie zablokowaną drogę życia.

Ale wyjaśnić kiedyś fakty z życia Odety, które przyniosły mu tę mękę, nie było jedynym pragnieniem Swanna. Przyrzekał sobie również zemścić się za to, co wycierpiał, wówczas gdy, nie kochając już Odety, nie będzie się jej bał. Otóż właśnie nastęrczała się sposobność ziszczenia tego drugiego zamiaru, bo Swann kochał inną kobietę. Kobieta ta nie dawała mu powodów do zazdrości, ale budziła ją w nim, bo Swann nie był już zdolny odnowić swojego sposobu kochania; ten, który zużył w stosunku do Odety, służył mu jeszcze dla innej. Iżby zazdrość Swanna odrodziła się, nie była konieczna zdrada ze strony tej kobiety; wystarczało, że z jakiegokolwiek powodu była daleko od niego, na jakimś balu na przykład, i że się mogła tam bawić. To było dosyć, aby w nim zbudzić dawny niepokój, opłakaną i paradoksalną wybujałość jego miłości, oddalającą Swanna od tego, z tęsknoty za czym niejako się rodziła (owym czymś było uczucie młodej kobiety dla niego, tajemna żądza zawładnięcia jej życiem, tajemnica jej serca), bo między Swanna a tę, którą kochał, niepokój ów rzucał twarde gruz dawniejszych posądzeń, mających swoją przyczynę w Odecie lub może w jakiejś poprzedniczce Odety. Posądzenia te nie pozwalały już postarzałemu kochankowi znać swojej dzisiejszej kochanki inaczej niż poprzez dawne i zbiorowe widmo „kobiety budzącej jego zazdrość”, w które to widmo dowolnie wcielił swoją nową miłość. Bywało, iż Swann obwiniał tę zazdrość o to, że mu wmawia urojone zdrady; ale wówczas przypominał sobie, że Odetę rozgrzeszał tym samym rozumowaniem, i błędnie. Toteż nic z tego, co jego młoda kochanka robiła w godzinach, gdy nie byli razem, nie wydawało mu się niewinne. Ale gdy niegdyś poprzysiągł sobie, że, jeżeli kiedy przestanie kochać Odetę (w której nie domyślał się przyszłej żony), okaże jej bezlitośnie swoją obojętność – nareszcie szczerą – aby pomścić długo ranioną dumę, zemsta ta, której mógł obecnie dopełnić bez ryzyka (bo cóż mu dziś znaczyło, gdyby Odeta wzięła go za słowo i pozbawiła go owych poufnych chwil, które niegdyś były mu tak potrzebne), zemsta ta była mu już obojętna; wraz z miłością znikło pragnienie okazania Odecie, że już jej nie kocha. I on, który, wówczas gdy cierpiał przez Odetę, tak byłby pragnął pokazać jej kiedyś, że kocha inną, teraz, gdy mógł to uczynić, dokładał wszelkich starań, aby żona nie domyśliła się nowej miłości.

Odtąd brałem udział nie tylko w owych podwieczorkach, które niegdyś, pozbawiając mnie wcześniej widoku Gilberty, pogrążyły mnie w smutku, ale w wyprawach, jakie Gilberta czyniła z matką, bądź idąc na spacer, bądź popołudniu do teatru; w owych wyprawach, które również, nie pozwalając Gilbertce przybyć na Pola Elizejskie, niegdyś pozbawiały mnie jej w dniu, gdym zostawał sam na trawniku lub przed karuzelą. Obecnie państwo Swann dopuszczali mnie do tych wypraw; miałem swoje miejsce w ich landzie i mnie pytano specjalnie, czy wolę iść do teatru, na lekcję tańców do którejś z koleżanek Gilberty, na „żurek” do jakiejś przyjaciółki Swannów (co pani Swann nazywała „mały *meeting*”), lub zwiedzić groby królewskie w Saint-Denis.

W owe dni, gdym miał towarzyszyć państwu Swann, przychodziłem do nich na śniadanie, które pani Swann nazywała *lunchem*. Proszono mnie aż na wpół do pierwszej, a w owej epoce u nas śniadało się o kwadrans na dwunastą; toteż rodzice wstali już od stołu, kiedy ja kierowałem się ku owej zamożnej dzielnicy, dość pusteż zawsze, a zwłaszcza w porze, gdy wszyscy są u siebie w domu.

Nawet w zimie i w mróz, jeżeli było ładnie, poprawiając od czasu do czasu węzeł wspaniałego krawata od Charveta i patrząc, czy się moje lakierki nie powalały, przechadzałem się po szerokich ulicach, czekając godziny dwunastej dwadzieścia siedem. Z daleka widziałem w ogródku Swannów słońce, w którym obnażone drzewa błyszczały jak szron. Prawda, że było ich w tym ogródku tylko dwa. Niezwykła godzina dawała nowość temu widokowi. Z tymi urokami natury (które wznagała odmiana przyzwyczajzeń, a nawet głód) mieszała się wzruszająca perspektywa śniadania u pani Swann; nie zmniejszała ich, ale, dominując nad nimi, ujarzmiła je, czyniła z nich światowe akcesoria; tak iż jeśli o tej godzinie, o której zazwyczaj nie spostrzegałem tego wszystkiego, zdawało mi się, że odkrywam piękną pogodę, mróz, słońce zimowe, było to niby preludium do jajek ze śmietaną, coś jakby patyna, różowy i świeży laserunek powlekający malowidła tajemniczej kaplicy, jaką było mieszkanie pani Swann, o wnętrzu pełnym ciepła, zapachu i kwiatów.

O wpół do pierwszej zdecydowałem się wreszcie wejść do tego domu, który niby drzewko w wilię Bożego Narodzenia wróżył mi nadprzyrodzone rozkosze. (Słowo Boże Narodzenie było zresztą nieznane pani Swann i Gilbertcie; zastąpiły je słowem *Christmas* i mówiły jedynie o puddingu *Christmas*, o tym, co dostały na *Christmas*, o tym – co mnie przywodziło do rozpacz – gdzie wyjadą na *Christmas*. Nawet w domu byłbym się czuł zhańbiony, mówiąc o Bożym Narodzeniu, mówiłem już tylko o *Christmas*, co się ojcu wydawało bardzo śmieszne).

Spotykałem na wstępie tylko kamerdynera, który przeprowadziwszy mnie przez kilka salonów, wiódł mnie do malutkiego pustego saloniku, jak gdyby już rozmarzonego błękitnym popołudniem swoich okien. Zostawałem sam w towarzystwie storczyków, róż i fiołków. Podobne osobom czekającym obok nas, ale nieznanym, kwiaty te zachowywały milczenie, które ich indywidualność rzeczy żywych czyniła tym bardziej przejmującym, i chłoneły ze drżeniem ciepło żarzącego się węgla, troskliwie ułożonego za kryształową szybą, w białej marmurowej misie, w którą osypywały się od czasu do czasu jego niebezpieczne rubiny.

Siadałem, ale wstawałem spieszenie, słysząc otwierające się drzwi; był to tylko drugi lokaj, potem trzeci, a mizernym rezultatem ich daremnie alarmujących wędrówek było dodanie węgla do ognia lub wody do wazonów. Odchodzili i znów zostawałem sam, skoro się zamknęły drzwi, które pani Swann miała w końcu otworzyć. I z pewnością mniej byłbym wzruszony w czarodziejskiej grocie niż w tym saloniku, gdzie ogień zdawał mi się narzędziem przeobrażeń, niby w laboratorium Klingsora. Rozlegał się nowy odgłos kroków, nie wstawałem; to pewno znów lokaj; ale to był pan Swann.

– Jak to, pan sam? Cóż pan chce, moja dobra żona nigdy nie nauczyła się, co to jest godzina. Za dziesięć pierwsza. Co dzień później. I zobaczy pan, przyjdzie nie śpiesząc się, myśląc, że jest wcześniej.

Że zaś cierpiał na nerwicę i zrobił się trochę śmieszny, fakt posiadania żony tak niepunktualnej, która wracała tak późno z Lasku, która zasiadywała się u krawcowej i nigdy nie była na czas na śniadanie, niepokoił Swanna z racji jego żołądka, ale pochlebiał jego próżności.

Pokazywał mi swoje nowe nabytki i tłumaczył mi ich osobliwości, ale wzruszenie, połączone z nieprzyzwyczajeniem głodzenia się do tak późna, wносиło zamęt w moje myśli, tworzyło w nich próżnię; mogłem mówić, ale nie byłem zdolny słyszeć. Zresztą, co się tyczyło rzeczy będących własnością Swanna, wystarczyło mi, że są u niego, że tworzą część rozkosznej godziny poprzedzającej śniadanie. Gdyby się tam znalazła *Gioconda*, nie sprawiłaby mi więcej przyjemności niż szlafroczek pani Swann lub jej flakony z solami.

Czekałem dalej sam albo ze Swannem, często z Gilbertą, gdy przyszła dotrzymywać nam towarzystwa. Przybycie pani Swann, przygotowane przez tylu majestatycznych zwiastunów, zdawało mi się olbrzymim ewenementem. Nadśluchiwałem każdego trzasku. Ale katedra, morze podczas burzy, skok tancerza, nigdy nie sięgają tak wysoko, jakeśmy się spodziewali; po tych lokajach w liberii, podobnych statystom w teatrze, których orszak przygotowuje i tym samym osłabia zjawienie się

królowej, pani Swann, wchodząc nieznacznie w swoim selskinowym futerku, z woalką ściągniętą na zaczerwieniony zimnem nos, nie spełniała obietnic zrodzonych w mojej wyobraźni oczekiwaniem.

Jeżeli pani Swann zostawała całe rano w domu, wówczas wchodziła do salonu w jasnym peniuarze *crêpe de Chine*, który mi się zdawał wytworniejszy niż wszystkie jej suknie.

Czasem Swannowie decydowali się siedzieć w domu przez całe popołudnie. Wówczas, kiedy śniadanie było tak późno, rychło widziałem na murze w ogródku zniżające się słońce – słońce owego dnia, który w moich oczach powinien był różnić się od innych. Daremnie lokaje znosili lampy wszelkich rozmiarów i kształtów, płonące na poświęconych ołtarzach konsolek, stoliczków, gerydonów, narożników, niby dla uświęcenia nieznanego obrządku; nic niezwykłego nie rodziło się z rozmowy. Odchodziłem zawiedziony, jak często dzieci wracają z pasterki.

Ale to rozczarowanie było tylko duchowe. Promieniałem z radości w tym domu, gdzie Gilberta, o ile nie było jej jeszcze, miała wejść i użyczyć mi za chwilę, na całe godziny, swoich słów, swego uważnego i uśmiechniętego spojrzenia, takiego, jak je ujrzałem pierwszy raz w Combray. Co najwyżej byłem trochę zazdrosny, widząc, jak ona często znika w wielkich pokojach, do których wiodły wewnętrzne schody. Musiałem zostać w salonie, niby kochanek aktorki, który w swoim fotelu na sali roi z niepokojem o tym, co się dzieje za kulisami, we foyer artystów. Aby przeniknąć tajemnicę owej drugiej części domu, zadawałem Swannowi pytania zręcznie maskowane, ale mimo woli zdradzające niepokój. Wy tłumaczył mi, że ubikacja, do której się udała córka, to jest bielizniarnia; ofiarował się pokazać mi ją i przyrzekł, że za każdym razem, kiedy Gilberta będzie musiała tam iść, każe jej zabrać mnie z sobą. Przez te ostatnie słowa i przez ulgę, jaką mi sprawiły, Swann zniósł we mnie nagle ów okropny dystans wewnętrzny, na którego krańcu ukochana kobieta ukazuje się nam tak odległa. W takich chwilach czułem dla Swanna tkliwość, która mi się zdawała głębsza niż tkliwość dla Gilberty. Bo on, będąc panem swojej córki, dawał mi ją, gdy ona wymykała mi się czasem; nie miałem nad nią wprost tej władzy, jaką miałem pośrednio przez Swanna. A przy tym ją kochałem, i tym samym nie mogłem jej widzieć bez owego zmieszania, bez owego pragnienia czegoś więcej, które w pobliżu ukochanej istoty odejmuje wrażenie, że się kocha.

Najczęściej zresztą nie zostawaliśmy w domu, wybieraliśmy się na spacer. Czasami, pani Swann, zanim poszła się ubrać, siadała do fortepianu. Jej piękne ręce, wynurzające się z rękawów różowego, białego, często bardzo jaskrawego krepdeszynowego szlafrocza, biegły palcami po klawiszach z tą samą melancholią, jaka była w jej oczach, nie będąc w sercu. W jeden z takich dni zdarzyło się jej zagrać mi ową część sonaty Vinteuila, gdzie znajduje się fraza, niegdyś tak droga Swannowi. Ale często, jeżeli chodzi o muzykę dość trudną, której słuchamy pierwszy raz, nie rozumiemy nic. Mimo to, kiedy później przebrano mi parę razy tę sonatę, spostrzegłem, że ją znam doskonale. Toteż słusznie się mówi: „słyszeć pierwszy raz”. Gdybyśmy naprawdę, tak jak przypuszczaliśmy, nic nie pochwycili za pierwszym razem, drugi i trzeci raz byłby znowu pierwszym, i nie byłoby racji, abyśmy rozumieli coś więcej za dziesiątym. Jeżeli czego nam brak za pierwszym razem, to prawdopodobnie nie zrozumienia, lecz pamięci. Bo w stosunku do złożoności wrażeń, z jakimi pamięć musi się zmierzyć, gdy słuchamy, pamięć ucha jest znikoma, krótka jak pamięć człowieka, który śpiąc, myśli tysiąc rzeczy po to, aby ich natychmiast zapomnieć, lub człowieka w pół zdziecinniałego, który po minucie nie przypomina sobie tego, co mu się powiedziało dopiero co. Pamięć nasza nie jest zdolna dostarczyć nam natychmiast wspomnienia tych różnorodnych wrażeń. Ale to wspomnienie tworzy się w niej pomału, i wobec dzieł, któreśmy słyszeli dwa lub trzy razy, jesteśmy niby uczeń, który przed zaśnięciem odczytał na kilka zawodów lekcję, myśląc, że jej nie umie, a recytuje ją na pamięć nazajutrz rano. Aż do tego dnia, nie rozumiałem nic z owej sonaty; tam, gdzie Swann i jego żona widzieli odrębną frazę, fraza ta była równie daleko od mojej świadomości, co jakaś nazwa, którą silimy się sobie przypomnieć, znajdując w jej miejsce jedynie próżnię, próżnię, z której w godzinę później, bez myśli o tym, wyskoczą same z siebie, jednym susem, na próżno wprzód wzywane głoski. I nie tylko nie ogarniamy od razu dzieł naprawdę rzadkich, ale nawet z samych owych dzieł – zdarzyło mi się to z sonatą Vinteuila – najpierw chwytny najmniej cenne części.

Tak iż myliłem się nie tylko sądząc, że to dzieło nie kryje już dla mnie nic (co sprawiło, że długi czas nie starałem się go usłyszeć), z chwilą gdy pani Swann zagrała mi jego najszlachetniejszą frazę (w czym byłem tak niemądry jak ci, co nie spodziewają się już osłupieć wobec św. Marka w Wenecji, dlatego że oglądali na fotografii kształt jego kopsuł); ale co więcej, nawet kiedy wysłuchałem sonaty od początku do końca, została ona dla mnie prawie całkowicie niewidzialna, niby gmach, którego, wskutek oddalenia lub mgły, widziałoby się jedynie nieznaczną część. Stąd melancholia, związana z poznaniem takich dzieł, jak wszystkiego, co się realizuje w czasie. Kiedy to, co jest najbardziej utajone w sonacie Vinteuila, odkryło się dla mnie, już przyzwyczajenie uniosło mnie poza zasięg mojej wrażliwości i to, com rozróżnił i ukochał zrazu, zaczynało mi się wymykać, pierzchać. Przez to, że mogłem kochać jedynie kolejno wszystko, co mi dawała owa sonata, nie posiadałem jej nigdy całej; w czym była podobna do życia. Ale, mniej zawodne od życia, te wielkie arcydzieła nie dają nam nigdy od razu tego, co w nich jest najlepsze. W sonacie Vinteuila najwcześniej odkrywane piękności najprędzej się nam przykrzą, zapewne z tej samej przyczyny, mianowicie, że mniej się różnią od tego, cośmy już znali. Ale w zamian za to pozostaje nam ukochanie jakiejś frazy, której harmonia była nam wprzód zbyt nowa, aby dać coś innego prócz wrażenia chaosu; tym samym motywów, niezrozumiały zrazu, uchował się jak gdyby nietknięty. Wówczas ta fraza, którą mijaliśmy co dzień, nie wiedząc o tym, która się wzdragala ujawnić, która siłą swojej jedynej piękności stała się niewidzialna i pozostała nieznaną, przychodzi do nas na ostatku. Ale też i my opuścimy ją na ostatku. I będziemy ją kochali dłużej niż inne, dlatego że więcej czasu włożyliśmy w to, aby ją pokochać. Ten czas zresztą, którego trzeba nam – jak mnie trzeba go było wobec tej sonaty – aby wnikać w jakieś głębsze dzieło, jest jedynie skrótem i jakby symbolem lat, niekiedy wieków, które upływają, zanim publiczność zdoła pokochać arcydzieło naprawdę nowe. Toteż genialny człowiek, aby sobie oszczędzić nieuznania tłumów, powiada sobie może, że jego współczesnym zbywa potrzebnego dystansu; że dzieła pisane dla potomności winny być czytane tylko przez nią, jak pewne obrazy źle się sądzi z nazbyt bliska. Ale w istocie wszelkie małoduszne ostrożności celem uniknięcia fałszywych sądów są daremne; omyłki są nieuniknione. Przyczynę, że genialne dzieło z trudem zyskuje rychły podziw, stanowi to, że ten, co je napisał jest niezwykle, że mało kto jest doń podobny. Dopiero właśnie jego dzieło, zapładniając rzadkie duchy zdolne je zrozumieć, wyhoduje je i rozmnoży. Kwartety Beethovena (XII, XIII, XIV i XV) potrzebowały pięćdziesięciu lat, aby zrodzić i pomnożyć miłośników kwartetów Beethovena, urzeczywistniając w ten sposób, jak wszystkie arcydzieła, postęp, jeżeli nie w wartości artystów, to przynajmniej w obcowaniu duchów, bogatym dziś w to, czego było niepodobna znaleźć w dobie powstania arcydzieła, to znaczy w istoty zdolne je pokochać. To, co się nazywa potomnością, jest potomstwem dzieła. Trzeba, by dzieło (nie biorąc, dla uproszczenia, w rachubę geniuszów, zdolnych w tej samej epoce równocześnie przygotowywać na przyszłość lepszą publiczność, z której skorzystają inni geniusze) samo sobie stworzyło potomność. Gdyby więc dzieło, pozostając w ukryciu, stało się znane jedynie potomności, byłaby ona wobec tego dzieła nie potomnością, ale gromadą współczesnych, jedynie żyjących o pięćdziesiąt lat później. Toteż trzeba, aby artysta – i to uczynił Vinteuil – jeśli chce, aby jego dzieło mogło iść swoją drogą, rzucił je, niby na głęboką wodę, w pełną i odległą przyszłość. A jednak, o ile błędem złych sędziów jest nie uwzględniać owej przyszłości, prawdziwej perspektywy arcydzieł, o tyle uwzględniać ją bywa czasem niebezpiecznym skrupułem dobrych sędziów. Bez wątpienia, łatwo jest wyobrazić sobie – w złudzeniu podobnym do owej złudy, która ujednostajnia wszystkie rzeczy na horyzoncie – że wszystkie dotychczasowe przewroty w malarstwie lub muzyce szanowały mimo to pewne prawa, i że to, co mamy bezpośrednio przed sobą, impresjonizm, szukanie dysonansu, wyłączny użytek gamy chińskiej, kubizm, futurizm, różni się zuchwale od tego, co było przedtem. Bo oceniając to, co było wprzód, nie uwzględniamy, że długie oswojenie zmieniło to dla nas w materię różnorodną zapewne, ale w sumie jednolitą, gdzie Wiktor Hugo sąsiaduje z Moliere. Pomyślmy tylko o rażących sprzecznościach, jakimi by nas zdumiał – gdybyśmy nie brali w rachubę przyszłego czasu i zmian, jakie sprowadza – jakiś horoskop naszych własnych dojrzałych lat, wywrócony nam

za młodu. Tylko nie wszystkie horoskopy są prawdziwe, a konieczność wprowadzenia – w ocenie dzieła sztuki – czynnika czasu w sumę jego piękna, barwi nasz sąd czymś równie przypadkowym i równie pozbawionym prawdziwej wartości jak wszelkie prorocstwo, którego niespełnienie się nie świadczy bynajmniej o umyślowym ubóstwie proroka, owa bowiem władza, która powołuje do bytu rzeczy możliwe lub je z niego wyklucza, niekoniecznie jest właściwością geniuszu; można było być genialnym, a nie wierzyć w przyszłość kolei żelaznych czy samolotów, lub też, będąc wielkim psychologiem, nie uwierzyć w fałszywość kochanki lub przyjaciela, których zdradę przewidywałby mierniejszy człowiek.

O ile nie zrozumiałem sonaty, byłem zachwycony grą pani Swann. Uderzenie jej zdawało mi się, jak jej peniuar, jak zapach jej schodów, jak jej płaszcze, jak jej chryzantemy, częścią swoistej i tajemniczej całości, w świecie nieskończenie wyższym od tego, w którym rozum może analizować talent.

– Czy nie piękna ta sonata Vinteuila? – rzekł do mnie Swann. – Chwila, kiedy zapada noc pod drzewami, kiedy arpedžia skrzypiec sprowadzają chłód. Niech pan przyzna, że to bardzo ładne; jest tutaj cała statyczna strona blasku księżycy, to co w nim jest zasadnicze. Nie dziw, że kuracja świetlna, jaką przechodzi żona, działa na mięśnie, skoro blask księżycy ubezwładnia poruszenia liści. To właśnie jest cudownie oddane w tej małej frazie: Lasek Buloński stężył w katalepsji. Nad morzem to jest jeszcze bardziej uderzające, bo tam są owe słabe odpowiedzi fal, słyszane bardzo dobrze, skoro reszta nie może się poruszyć. W Paryżu przeciwnie: ledwie spostrzegamy te niezwykle światła na gmachach, to niebo oświetlone jak gdyby pożarem bez barw i bez niebezpieczeństw, jakies olbrzymie przeczuwane wydarzenie. Ale we frazie Vinteuila, i zresztą w całej sonacie, to nie to; to się dzieje w Lasku, w gruppetto słyszy się wyraźnie jakiś głos, który mówi: „Prawie można by czytać gazetę”.

Te słowa Swanna mogłyby spacyfikować na przyszłość moje pojęcie Sonaty, ile że muzyka jest zbyt mało ekskluzywna, aby bezwzględnie oddalić to, co nam ktoś w niej podsuwa. Ale zrozumiałem z innych jego słów, że owe nocne liście to są po prostu te, w których gęstwie, w rozmaitych restauracjach dokoła Paryża słyszał niejednego wieczoru tę frazę. W miejsce głębokiego sensu, którego tak często u niej pytał, ukazywała ona Swannowi gąszcz liści, zgrupowanych, splecionych, namalowanych dokoła niej (i słysząc tę frazę pragnął oglądać owe liście, bo mu się zdawała jak gdyby ich duszą); to była cała wiosna, którą nie mógł się sycić nigdy, nie mając – pełen wówczas gorączki i goryczy – dosyć na to spokoju ducha, a którą (jak się robi dla chorego z zabronionymi przysmakami) zachowała dla niego. O ten czar, jaki weń tchnęły pewne noce w Lasku i o którym sonata Vinteuila mogła mu wiele powiedzieć, o ten czar nie mógłby pytać Odety, mimo że towarzyszyła mu jak ta fraza. Ale Odeta była tylko obok Swanna (nie w nim, jak motyw Vinteuila); nie widziała tedy – choćby była tysiąc razy pojętniejsza – tego, co dla nikogo z nas (długo przynajmniej sądziłem, że to prawidło nie zna wyjątków) nie może się uzewnętrzniać.

– To w gruncie dosyć ładne, nieprawdaż – mówił Swann – że dźwięk może odbijać, jak woda, jak lustro. I niech pan zważy, że fraza Vinteuila pokazuje mi jedynie wszystko to, na co w owej epoce nie zwracałem uwagi. Z moich trosk, z mojej miłości ówczesnej nie przypomina mi już nic, dokonała wymiany.

– Karolu, zdaje mi się, że to nie jest bardzo uprzejme dla mnie, to, co mówisz.

– Nieuprzejme! Kobiety są wspaniałe! Chciałem tylko powiedzieć młodemu człowiekowi, że to, co muzyka ukazuje – przynajmniej mnie – to nie jest wcale „Wola sama w sobie”, ani „Synteza nieskończoności”, ale na przykład tużurek papy Verdurin w palmarium Zoologicznego Ogrodu. Tysiąc razy fraza ta brała mnie na obiad do Armenonville, przy czym nie potrzebowałem opuszczać tego salonu. Mój Boże, to zawsze mniej nudne, niż tam iść z panią de Cambremer.

Pani Swann zaczęła się śmiać:

– To jest dama, która uchodziła za bardzo zakochaną w Karolu – wyjaśniła tym samym tonem, jakim nieco wprzód, mówiąc o Ver Meerze van Delft, kiedy się dziwiłem że go zna, odpowiedziała

„Trzeba panu wiedzieć, że mój pan bardzo się zajmował tym malarzem w epoce, gdy się do mnie zalecał. Prawda, Lolu?”

– Nie paplaj tak o pani de Cambremer – rzekł Swann w gruncie bardzo mile pogłaskany.

– Ależ ja tylko powtarzam to, co mi mówiono. Zresztą, zdaje się, że ona jest bardzo inteligentna, ja jej nie znam. Wydaje mi się bardzo *pushing*, co mnie dziwi u kobiety inteligentnej. Ale wszyscy mówią, że ona szalała za tobą, w tym nie ma żadnej ujmy.

Swann milczał zawzięcie, co było rodzajem potwierdzenia i dowodem próżności.

– Skoro to, co gram, przypomina ci Ogród Zoologiczny – podjęła pani Swann, udając dla żartu urazę – moglibyśmy się tam wybrać dzisiaj, o ile nasz młody gość ma ochotę. Jest bardzo ładnie, będziesz mógł odnaleźć swoje ukochane wrażenia! *À propos* Ogrodu Zoologicznego, czy wiesz, ten młody człowiek sądził, że my bardzo lubimy osobę, którą, przeciwnie, splawiam ile tylko mogę, panią Blatin! To bardzo upokarzające, że ona uchodzi za naszą przyjaciółkę. Pomyślcie, poczciwy Cottard, który nigdy nie mówi źle o nikim, sam powiada o niej, że jest wstrętna.

– Okropność! Ma za sobą jedynie to, że jest taka podobna do Sawonaroli. To wykapany portret Sawonaroli Fra Bartolomeo.

Tę manię, jaką miał Swann, aby odnajdować podobieństwa w obrazach, da się usprawiedliwić, bo nawet to, co nazywamy wyrazem indywidualnym, jest – jak sobie człowiek z takim smutkiem zdaje z tego sprawę wówczas, gdy kocha i kiedy chciałby wierzyć w rzeczywistą jedyność indywiduum – czymś powszechnym i mogło się zdarzyć w rozmaitych epokach. Ale, gdyby wierzyć Swannowi, orszaki Trzech królów, już tak anachroniczne wówczas, gdy Benozzo Gozzoli wprowadził w nie Medyceuszów, byłyby nimi bardziej jeszcze, zawierając portrety mnóstwa ludzi, współczesnych nie Gozzolem, ale Swannowi, to znaczy późniejszych nie już o piętnaście wieków od narodzenia Dzieciątka, ale o cztery wieki od samego malarza. Wedle Swanna, nie brakowało w tym orszaku ani jednego znanego paryżanina, jak w owym akcie sztuki Sardou, gdzie, przez przyjaźń dla autora i dla jego protagonistki, a także przez snobizm, wszystkie znakomitości paryskie, sławni lekarze, politycy, adwokaci, przychodzili, każdy przez jeden wieczór, statystować na scenie.

– Ale jaki ona ma związek z Ogrodem Zoologicznym?

– Wszystkie!

– Jak to, myślisz, że ona ma różowy tyłeczek jak małpy?

– Karolu, jesteś świnka. Nie, ja myślałam o tym, co jej powiedział Syngalez. Opowiedz panu, to naprawdę „piękne”.

– To idiotyczne. Wie pan, że pani Blatin lubi zagadywać każdego w sposób w jej mniemaniu uprzejmy, a w istocie protekcyjny.

– To, co nasi dobrzy sąsiedzi znad Tamizy nazywają *patronizing* – przerwała Odeta.

– Wybrała się niedawno do Ogrodu Zoologicznego, gdzie są czarni, Syngalezi, zdaje mi się, jak twierdzi moja żona, która jest o wiele mocniejsza w etnografii ode mnie.

– Karolu, nie drwij ze mnie.

– Ależ ja wcale nie drwię. Dość, że zwróciła się do jednego z czarnych: „Jak się masz, czarny!”.

– To jeszcze jest nic!

– W każdym razie ten przymiotnik nie spodobał się czarnemu. „Ja czarna, powiedział ze złością do pani Blatin, ale ty maupa!”.

– Mnie się to wydaje urocze. Uwielbiam tę historię. Prawda że to „piękne”? Widzi się starą Blatin: „Ja czarna, ale ty maupa!”.

Okazałem żywą chęć oglądania owych Syngalezów, z których jeden nazwał panią Blatin „maupą”. Nie interesowali mnie wcale. Ale pomyślałem, że, aby dotrzeć do Ogrodu Zoologicznego i wrócić, będziemy musieli przebyć ową aleję des Accacias, gdzie tak podziwiałem niegdyś panią Swann, i że może Mulat, przyjaciel Coquelina, przed którym nigdy nie udało mi się popisać ukłonem składanym pani Swann, ujrzy mnie obok niej w powozie.

Przez czas, który Gilberta zużyła na przygotowania i była nieobecna w salonie, państwo Swann z lubością obznajmiali mnie z rzadkimi przymiotami córki. I wszystko, com widział, zdawało się świadczyć, że mówią prawdę; zauważyłem że, jak jej matka mi opowiadała, była ona nie tylko dla przyjaciółek, ale dla służby, dla ubogich wyrafinowanie delikatna, uprzejma; jej chęć sprawienia każdemu przyjemności, a obawa urażenia kogoś, objawiała się w drobnych rzeczach, często dość dla niej uciążliwych. Zrobiła robótkę dla naszej straganiarki z Pól Elizejskich i wyszła w śnieg, aby ją oddać sama, tego samego dnia.

– Nie ma pan pojęcia, jakie ona ma serce, bo ona się z tym kryje – rzekł ojciec.

Mimo iż tak młoda, Gilberta wydawała się o wiele rozsądniejsza od rodziców. Kiedy Swann mówił o wysokich stosunkach żony, Gilberta odwracała głowę i milczała, ale nie zdradzając nagany, bo uważała, że ojciec nie może być przedmiotem najłżejszej krytyki. Jednego dnia, kiedym jej wspomniał o panie Vinteuil, rzekła:

– Absolutnie nie chcę jej znać. Wystarczy mi jedno: mówią, że była niedobra dla swego ojca, martwiła go. Ty tego nie możesz zrozumieć, tak samo jak ja, prawda? Tak samo nie byłbyś zdolny przeżyć swojego tatusia, jak ja mojego, co jest zresztą całkiem naturalne. Jak można kiedykolwiek zapomnieć o kimś, kogo się kocha od zawsze?

Jednego razu, kiedy Gilberta była szczególnie czuła dla ojca, pochwaliłem ją za to po odejściu Swanna:

– Tak, biedny papuś, to w tych dniach rocznica śmierci jego ojca. Pojmujesz, co się z nim musi dziać; tak, ty to pojmujesz, czujemy te rzeczy jednakowo. Dlatego staram się być mniej zła niż zazwyczaj.

– Ależ on ciebie nie uważa za złą, on cię uważa za doskonałość!

– Biedny papuś, bo on jest za dobry.

Państwo Swann nie tylko zachwalali mi cnoty Gilberty – tej samej Gilberty, która, zanim ją ujrzałem, objawiła mi się przed kościołem na tle pejzażu Ile-de-France, która później, już nie w moich marzeniach, ale we wspomnieniu – stała zawsze koło różowego głogu, na ścieżce wiodącej mnie w stronę Méséglise. Kiedy, siląc się przybrać obojętny ton przyjaciela rodziny, ciekawego upodobań dziecka, spytałem jej matki, kogo z przyjaciół Gilberta najbardziej lubi, pani Swann odpowiedziała:

– Ależ pan musi być lepiej wtajemniczony ode mnie, pan, jej faworyt, wielki *crack*, jak mówią Anglicy.

Bez wątpienia, w przystawaniu tak doskonałym, kiedy rzeczywistość dociąga się i przylega dokładnie do tego, o czymśmy tak długo marzyli, kryje nam ona całkowicie przedmiot marzeń, zlewa się z nim na kształt dwóch równych i pokrywających się figur, które tworzą już wówczas tylko jedną, gdy przeciwnie my, aby dać swemu szczęściu całe jego znaczenie, chcielibyśmy zachować wszystkim owym punktom naszego pragnienia, w chwili właśnie, gdy ich dotykamy – i aby mieć większą pewność, że to są one – urok tego, że są niedosiężne. I myśl nie może nawet odtworzyć dawniejszego stanu, aby go porównać z nowym, bo nie ma już wolnego pola: zawarta znajomość, wspomnienie pierwszych nieoczekiwanych chwil, usłyszane słowa, istnieją i zatarasowują wejście do naszej świadomości, opanowują o wiele bardziej wrota naszej pamięci niż naszej wyobraźni, bardziej jeszcze oddziałują wstecz na naszą przeszłość – której nie jesteśmy już zdolni oglądać bez wzięcia ich w rachubę – niż na kształt naszej przyszłości wciąż jeszcze płynny. Mogłem wierzyć lata całe, że bywać u pani Swann to jest czcza chimera, której nie osiągnę nigdy; ale skorom spędził u niej kwadrans, znowuż czas, gdy jej nie znałem, stawał się chimeryczny i mglisty, niby możliwość unicestwiona ziszczeniem innej możliwości. Jak mógłbym jeszcze marzyć o tej jadalni jako o miejscu niepojętym, kiedy nie mogłem zrobić w swojej myśli jednego ruchu, aby nie spotkać w niej niełamliwych promieni, jakie wysyłał w nieskończoność za siebie, aż w moją najdawniejszą przeszłość, homar po amerykańsku, którego dopiero co jadłem?

I Swann musiał przeżyć, w tym, co się tyczyło jego samego, podobne wrażenia: bo ten apartament, gdzie mnie przyjmował, można było uważać za miejsce, z którym się stopił i pokrył nie

tylko idealny apartament spłodzony przez moją wyobraźnię, ale jeszcze inny, ten, który zazdrośna miłość Swanna, równie wynalazcza jak moje marzenia, tak często mu opisywała. To było owo wspólne mieszkanie Odety i jego, które wydawało mu się tak nieosiągalne w jakiś wieczór, kiedy Odeta zaprosiła go do siebie z Forchevillem na oranżadę. W rozkład jadalni, gdzieśmy dziś jedli śniadanie, wsiąkł dla Swanna ów nieoczekiwany raj, w którym – niegdyś nie mógł bez wzruszenia wyobrazić sobie tego – miał powiedzieć ich kamerdynerowi te same słowa: „Czy pani jest gotowa?”, które teraz oto wymawiał z lekkim zniecierpliwieniem, a zarazem z pewną satysfakcją próżności. I jak z pewnością nie mógł tego uczynić Swann, tak ja nie umiałem objąć swego szczęścia, i kiedy sama Gilberta wykrzyknęła: „Kto by ci był powiedział, że mała dziewczynka, której się przyglądałeś bez słowa, jak grała w klasy, stanie się twoją serdeczną przyjaciółką, do której będziesz chodził co dzień, kiedy ci przyjdzie ochota”, wyrażała zmianę, którą musiałem wprawdzie stwierdzić z zewnątrz, ale której nie posiadałem wewnątrz, składała się bowiem z dwóch stanów, których nie mogłem objąć myślą naraz, tak aby przestały być różne od siebie wzajem.

A jednak, gdybym miał o tym sądzić po sobie, owo mieszkanie, dlatego że było tak silnie upragnione przez wolę Swanna, musiało dlań zachować jakąś słodycz. Dla mnie nie straciło ono całej tajemnicy. Osobliwy czar, w którym tak długo wyobrażałem sobie skąpane życie Swannów, nie pierzchł dla mnie całkowicie z ich domu z chwilą, gdy tam wniknął: cofnął się jedynie, pokonany przez tego obcego, tego pariasa, którym byłem dawniej, a któremu pani Swann podsuwała teraz uprzejmie fotel, fotel rozkoszny, wrogi i zgorszony; ale w moim wspomnieniu czuję jeszcze dokoła siebie ten czar. Czy to dlatego, że w dniu, kiedy mnie państwo Swann zapraszali na śniadanie, aby mnie potem wziąć z Gilbertą na spacer, wyciskałem swoim spojrzeniem – podczas gdy czekał sam – na dywanie, na berżerkach, na konsolach, na parawanikach, na obrazach, wrytą we mnie myśl, że pani Swann lub jej mąż, lub Gilberta wejdą za chwilę? Czy dlatego, że te rzeczy żyły potem w mojej pamięci obok Swannów i przejęły w końcu coś z nich? Czy dlatego, że wiedząc, iż oni żyją wśród tych sprzętów, robiłem z tych wszystkich przedmiotów niby godła ich swoistego życia, ich przyzwyczajień, z których zbyt długo byłem wykluczony, aby mi się nadal nie wydawały obce, nawet wówczas gdy dostąpił łaski wtajemniczenia? Faktem jest, że za każdym razem, kiedy myślę o tym salonie, który Swann (nie chcąc tą krytyką w niczym krępować gustów żony) uważał za tak bezstylowy – mimo bowiem iż był pomyślany w stylu na wpół cieplarni, na wpół pracowni, jak ów apartament, w którym ją poznał, Odeta zaczęła zastępować cacka chińskie, trącające jej teraz tandetą, mnóstwem mebelków obitych starym jedwabiem Louis XIV (nie licząc arcydzieł, które przeniósł Swann ze swego domu na quai d'Orleans) – w moim wspomnieniu przeciwnie, ten bezstylowy salon posiada harmonię, jedność, indywidualny urok, jakich nie mają nawet najlepiej zachowane całości przekazane nam przez przeszłość, ani najbardziej żywe i naznaczone piętnem jednej osoby; jedynie my bowiem możemy, wiarą swoją we własne ich istnienie, dać pewnym oglądanym przez nas rzeczom duszę, którą zachowują później i którą w nas rozwijają.

Wszystkie pojęcia, wytworzone przeze mnie o godzinach – różnych od godzin innych ludzi – jakie Swannowie spędzają w tym mieszkaniu, będącym dla codziennego czasu ich życia tym, czym ciało jest dla duszy i co powinno wyrażać jego odrębność, wszystkie te pojęcia były stopione, złączone – wszędzie jednako niepokojące i nieuchwytnie – z rozmieszczeniem mebli, grubością dywanów, z rozkładem okien, krążeniem służby. Kiedy po śniadaniu przechodziliśmy na kawę do zalanego słońcem obszernego wykusza w salonie, gdy pani Swann pytała, ile chcę kawałków cukru, wówczas nie tylko pokryty jedwabiem podnózek, który mi podsuwała, wydzielał (wraz z bolesnym czarem, jaki odczułem niegdyś w imieniu Gilberty – pod różowym głógiem, później koło klombu laurów) wrogość, jaką mi okazywali jej rodzice: mebelek ów musiał tak dobrze znać i podzielać tę wrogość, że nie czułem się godny – wydawało mi się to niemal czymś podłym stawiać nogi na jego bezbronnym wysłaniu; jakaś osobista dusza wiązała go sekretnie ze światłem drugiej godziny po południu, różnym od wszelkiego innego światła, w tej zatoce, gdzie ono igrało u naszych stóp falami złota, z których błękitne kanapy i puszyste dywany wyłaniały się niby zaczarowane

wyspy. Wszystko, nawet obraz Rubensa nad kominkiem, posiadało ten sam rodzaj, niemal tę samą potęgę czaru, jaką miały sznurowane trzewiki pana Swann i ów hawelok z peleryną (jakże pragnąłem niegdyś mieć taki!), który teraz, na prośbę pani Swann, mąż jej miał zastąpić innym, aby wyglądać bardziej elegancko, wówczas gdy „był tak uprzejmy” towarzyszyć im na spacer. I pani Swann również szła się ubrać, mimo iż zaręczałem, że żadna spacerowa suknia nie może się równać z cudownym szlafrocikiem krepdeszynowym czy jedwabnym, różowym, wiśniowym, Tiepolo, białym, lila, zielonym, czerwonym, żółtym, gładkim lub wzorzystym, w którym pani Swann jadła śniadanie i który miała zdjąć. Kiedym mówił, że powinna by wyjść tak jak jest, śmiała się, drwiąc sobie z mojej ignorancji lub rada z komplementu. Tłumaczyła się, że ma tyle peniuarów, bo – twierdziła – jedynie w nich czuje się dobrze; i zostawiała nas, aby włożyć jedną z owych tryumfalnych tualet, które dawały ton całemu światu, a wśród których miewałem wszelako przywilej wybrania szczególnie mi ulubionej.

W ogrodzie zoologicznym jakże byłem dumny, kiedyśmy wysiedli z powozu i ja kroczyłem obok pani Swann! Gdy ona szła niedbałym krokiem, a płaszcz powiewał dokoła niej, ja rzucałem na nią spojrzenia pełne podziwu, na które odpowiadała zalotnie długim uśmiechem. Obecnie, kiedyśmy spotkali kogo ze znajomych Gilberty, chłopca lub dziewczynkę, kłaniali się nam z dala, patrząc teraz na mnie jak na jedną z istot, którym niegdyś zazdrościłem, jak na jednego z przyjaciół Gilberty znających jej rodzinę i mających udział w drugiej części jej życia, tej, która się toczy poza Polami Elizejskimi.

Często w alejach Lasku lub Ogrodu Zoologicznego mijają nas, kłaniała się nam jakaś wielka dama, przyjaciółka Swanna: kiedy mu się zdarzyło jej nie zauważyć, wskazywała mu ją żona. „Karolu, nie widzisz pani de Montmorency?”. I Swann, z przyjaznym uśmiechem długiej zażyłości, składał głęboki ukłon, z elegancją właściwą tylko jemu. Czasem dama zatrzymywała się, rada, że może okazać pani Swann nieobowiązującą uprzejmość, pewna, iż Odeta nie zechce tego nadużyć, tak dalece Swann wpoił żonie zasady dyskrecji. Nie mniej Odeta przejęła wszystkie formy wielkiego świata i choćby owa dama niosła się najbardziej wykwintnie i szlachetnie, pani Swann zawsze jej w tym dorównywała; przystanąwszy chwilę z przyjaciółką męża, przedstawiała nas oboje, Gilbertę i mnie, z taką swobodą, miała tyle prostoty i spokoju w swojej grzeczności, że trudno byłoby zgadnąć, która z nich dwóch, żona Swanna czy spotkana arystokratka, jest wielką damą.

W dniu, kiedyśmy poszli oglądać Syngalezów, wracając spostrzeżliśmy, idącą w naszym kierunku w towarzystwie dwóch innych pań, tworzących jakby eskortę, damę starszą, ale jeszcze piękną, otuloną w ciemny płaszcz, w małym kapelusiku wiązany na wstążki pod brodą.

– A, to ktoś, kto pana zainteresuje – rzekł Swann.

Starsza dama, obecnie o trzy kroki, uśmiechnęła się do nas z pieszczotliwą słodyczą. Swann uklonił się głęboko, pani Swann złożyła niski dyg i chciała ucałować rękę damy, podobnej do portretu Winterhaltera, która podniosła ją i uściskała.

– No, niechże pan nakryje głowę, no – rzekła do Swanna grubym, szorstkim nieco i poufale przyjacielskim głosem.

– Przedstawię pana jej Cesarskiej Wysokości – rzekła do mnie pani Swann.

Swann odciągnął mnie nieco na stronę, gdy pani Swann rozmawiała z Jej Wysokością o pogodzie i o zwierzętach świeżo sprowadzonych do ogrodu.

– To księżniczka Matylda – rzekł. – Wie pan, przyjaciółka Flauberta, Sainte-Beuve’a, Dumasa. Pomyśl pan, bratanica Napoleona I! Oświadczyli się o jej rękę Napoleon III i car rosyjski. Czy to nie interesujące? Niech pan do niej zagada. Ale wolałbym, żeby nas nie trzymała godzinę na nogach.

– Spotkałem Taine’a, który mi mówił, że się księżniczka pogniwała na niego – rzekł Swann.

– Postąpił sobie jak świnia – rzekła szorstkim głosem, wymawiając „*cauchon*”, tak jakby to było nazwisko biskupa współczesnego Joannie d’Arc. – Po artykule, jaki napisał o Cesarzu, przesłałem mu bilet z „*p.p. c.*”.

Odczułem to zdumienie, jakiego się doznaje, otwierając korespondencję księżnej orleańskiej, z domu księżniczki Palatynatu, bratowej Ludwika XIV. I w istocie, księżniczka Matylda, ożywiona uczuciami tak bardzo francuskimi, wkładała w nie uczciwą szorstkość dawnych Niemiec, odziedziczoną może po matce, księżniczce wirtemburskiej. Szczerość tę, nieco rubaszną i prawie męską, łagodził, kiedy się uśmiechała, włoski wdzięk. A wszystko było spowite w tualetę tak bardzo „drugie cesarstwo”, że, mimo iż księżniczka nosiła ją z pewnością jedynie przez przywiązanie do mód, jakie niegdyś lubiła, robiło to wrażenie, iż świadomie strzeże się popełnić błędu w historycznym kolorycie, aby nie zawieść oczekiwań tych, co spodziewali się po niej wskrzeszenia innej epoki.

Szepnąłem Swannowi, aby ją zapytał, czy znała Musseta.

– Bardzo mało, szanowny panie – odparła z miną, która udawała dąs, gdy w istocie przez żart mówiła tak do Swanna, będąc z nim bardzo zażyle. – Był u mnie raz na obiedzie. Zaprosiłam go na siódmą. O wpół do ósmej, gdy go nie było, siedliśmy do stołu. Przyszedł o ósmej, uklonił mi się, siada, nie otwiera ust, odchodzi po obiedzie, tak że nie usłyszałam jego głosu. Był pijany w sztok. To mnie nie bardzo zachęciło na przyszłość.

Staliśmy ze Swannem trochę z boku.

– Mam nadzieję, że się ten postój nie przeciągnie – rzekł do mnie – podeszwy mnie bołą. Nie wiem, po co żona podsycy rozmowę. Potem to ona będzie się skarżyła, że jest zmęczona; a ja nie mogę już znosić tych pogwarek stojący<sup>17</sup>.

W istocie, pani Swann (która miała tę wiadomość od pani Bontemps) opowiadała właśnie księżniczce, że rząd, zrozumiawszy wreszcie swoje chamstwo, zamierzał posłać jej zaproszenie na trybunę podczas jutrzejszej wizyty cara Mikołaja u Inwalidów. Ale księżniczka, która, mimo pozorów, mimo stylu jej otoczenia, złożonego zwłaszcza z artystów i literatów, została w gruncie, ilekroć chodziło o jakąś decyzję, bratanicą Napoleona, rzekła:

– Owszem, tak, otrzymałam zaproszenie dziś rano i odesłałam je panu ministrowi; musiał je już dostać. Napisałam mu, że nie potrzebuję zaproszenia, aby iść do Inwalidów. Jeżeli rząd chce, abym tam była, będę, ale nie na trybunie, tylko w naszej krypcie, gdzie jest grób cesarza. Na to nie potrzebuję karty wstępu. Mam klucze. Wchodzę, kiedy chcę. Niech tylko rząd zawiadomi mnie, czy chce, żebym przyszła, czy nie. Ale jeżeli przyjdę, to tam, albo wcale.

W tej chwili uklonił się nam młody człowiek, który pozdrowił panią Swann, nie zatrzymując się. Nie wiedziałem, że ona go zna: był to Bloch. Na moje zapytanie, pani Swann odrzekła, że go jej przedstawiła pani Bontemps; że jest przydzielony do gabinetu ministra, o czym nie wiedziałem. Zresztą nie musiała go widywać często – lub nie chciała wymieniać nazwiska *Bloch*, które jej się może wydało nie dość sztywne, bo powiedziała, że się nazywa pan Moreul. Zapewniłem ją, że się myli, że nazywa się Bloch.

Księżniczka odwinęła tren, który się skręcił za nią, a na który pani Swann patrzyła z podziwem.

– To właśnie futro, które cesarz rosyjski mi przysłał w prezencie – rzekła księżniczka – że zaś byłam u niego przed chwilą, włożyłam je, aby mu pokazać, że to się nadało na płaszcz.

– Zdaje się, że książę Ludwik zaciągnął się do armii rosyjskiej; przykro będzie księżniczce nie mieć go przy sobie – rzekła pani Swann, nie widząc oznak niecierpliwości męża.

– Potrzeba mu było tego! Mówiłam mu: to nie żadna racja, dlatego że miałeś wojskowego w rodzinie – odparła księżniczka, robiąc z tą szorstką prostotą aluzję do Napoleona I.

Swann nie mógł już ustać.

– Księżniczko, to ja pozwolę sobie zabawić się w Cesarską Wysokość i prosić o pozwolenie pożegnania się, ale żona moja była bardzo cierpiąca i nie chcę, żeby stała dłużej.

Pani Swann złożyła głęboki ukłon, a księżniczka znalazła dla nas wszystkich boski uśmiech, jak gdyby wskrzeszony z przeszłości, z wdzięku młodych lat, z wieczorów w Compiègne; uśmiech ten, świeży i słodki, spłynął po twarzy nadąsanej przed chwilą; po czym oddaliła się w towarzystwie

<sup>17</sup> stojący – dziś: na stojący. [przypis edytorski]

swoich dwóch dam, które, na sposób tłumaczy lub pielęgniarek, punktowały jedynie naszą rozmowę nieznaczącymi zdaniem lub zbytecznymi wyjaśnieniami.

– Powinien by się pan zapisać u niej jeszcze w tym tygodniu – rzekła pani Swann – nie rzuca się biletów tym wszystkim *królestwom*, jak mówią Anglicy; ale jeżeli się pan zapisze, zaprosi pana.

Czasami w te ostatnie zimowe dni zachodziliśmy przed spacerem na którąś z małych wystaw organizowanych wówczas; Swanna, znanego zbieracza, witali właściciele salonów ze szczególnym uszanowaniem. I w te zimowe jeszcze dni dawne moje pragnienia podróży na południe i do Wenecji budziły się w owych salach, gdzie pełna już wiosna i gorące słońce kładły fioletowe tony na różowych Alpach i dawały Canale Grande ciemną przejrzystość szmaragdu. Jeżeli było brzydko, szliśmy na koncert lub do teatru, a potem na podwieczorek do *tee-roomu*. Kiedy pani Swann chciała mi powiedzieć coś tak, aby goście przy sąsiednich stolikach lub nawet garsoni nie zrozumieli, mówiła po angielsku, jak gdyby to był język znany tylko nam dwojgu. Otóż wszyscy (z wyjątkiem mnie) umieli po angielsku i musiałem to powiedzieć pani Swann, iżby przestała o osobach pijących herbatę lub usługujących robić uwagi, o których, chociaż ich nie rozumiejąc, wiedziałem, że są przykre, i widziałem, że osoby interesowane nie tracą z nich ani słowa.

Jednego razu z powodu popołudniowego spektaklu w teatrze, Gilberta zdumiała mnie głęboko. Było to właśnie owego dnia, o którym mówiła mi zawczasu, jako o rocznicy śmierci jej dziadka. Mieliśmy, wraz z jej nauczycielką, iść na jakieś fragmenty opery. Gilberta ubrała się do wyjścia, zachowując ową obojętną minę, jaką miała zawsze wobec każdego projektu; zawsze powtarzała, że jej jest wszystko jedno, co robimy, byle mnie się to podobało i byle było zgodne z życzeniem rodziców. Przed śniadaniem pani Swann wzięła nas na bok, aby powiedzieć córce, iż ojcu jest bardzo przykro, że my się wybieramy tego dnia na koncert. Uważałem, że to jest aż nazbyt zrozumiałe. Gilberta nie okazała nic, ale zbladła z gniewu, którego nie mogła ukryć, i nie rzekła ani słowa. Kiedy Swann wrócił, żona odciągnęła go w kąt salonu i szeptała mu coś do ucha. Zawołał Gilbertę i wzięła ją do sąsiedniego pokoju. Słychać było podniesione głosy. Ale nie mogłem uwierzyć, aby Gilberta, taka uległa, taka czuła, taka grzeczna, opierała się prośbie ojca, w taki dzień i dla tak błażej przyczyny. W końcu Swann wyszedł, mówiąc:

– Wiesz, co ci powiedziałem. Teraz rób, co zechcesz.

Twarz Gilberty pozostała chmurna przez całe śniadanie, po którym udaliśmy się do jej pokoju. Po czym nagle, bez wahania i tak, jakby się nie wahała ani przez chwilę, wykrzyknęła:

– Druga godzina! wie pani przecie, że koncert zaczyna się o wpół do trzeciej.

I kazała nauczycielce się spieszyć.

– Ale – rzekłem – czy to nie robi przykrości twojemu ojcu?

– Ani trochę.

– Jednakże on się bał, żeby to się nie wydawało dziwne z powodu tej rocznicy.

– Co mnie może obchodzić, co inni myślą? Uważam, że to jest śmieszne zajmować się drugimi w sprawach uczucia. Czuje się dla siebie, nie dla publiczności. *Mademoiselle*, która ma mało rozrywek, cieszyła się na ten koncert, nie pozbawię jej tego dla przyjemności obcych.

Włożyła kapelusz.

– Gilberto – rzekłem, biorąc ją za ramię – to nie dla obcych, ale dla ojca.

– Nie będziesz mi robił uwag, mam nadzieję! – krzyknęła twardo, wyrwijając się.

Przywilejem jeszcze cenniejszym od wypraw do Ogrodu Zoologicznego lub na koncert, było to, że Swannowie nie wykluczyli mnie ze swojej przyjaźni z Bergottem. Przyjaźń ta była początkiem czaru, jaki w nich znajdowałem, myśląc – nim jeszcze znałem Gilbertę – że jej zażyłość z boskim starcem czyniłaby z niej najpożądanejszą z przyjaciółek, gdyby wzgarda, jaką musiałem w niej budzić, nie broniła mi nadziei, że mnie kiedy weźmie z Bergottem na zwiedzanie miast, które on lubił. Otóż jednego dnia pani Swann zaprosiła mnie na wielkie śniadanie. Nie wiedziałem, kto ma być na nim. Kiedy wszedłem, zaskoczyła mnie w hallu przygoda, która mnie onieśmieliła. Pani Swann rzadko wyrzekała się przyjęcia zwyczajów, które uchodzą za wykwintne przez jeden sezon i, nie mogąc się

utrzymać, szybko mijają (i tak, wiele lat przedtem, miała swój *handsome cab* lub dawała drukować na zaproszeniu, że to będzie „*to meet*” jakąś mniej lub więcej wybitną osobę). Często zwyczaj te nie miały nic tajemniczego i nie wymagały objaśnienia. Tak na przykład – była to nikła nowość, importowana w owych latach z Anglii – Odeta sprawiła mężowi bilety, na których nazwisko Karol Swann poprzedzone było przez „*Mr*”. Po pierwszej wizycie, jaką im złożyłem, pani Swann przesłała mi taki zagięty „karton”, jak mówiła. Nigdy mi nikt nie zostawił biletu; byłem tak dumny, wzruszony, wdzięczny, że, gromadząc wszystkie pieniądze, jakie posiadałem, zamówiłem wspaniały kosz kamelii i posłałem go pani Swann. Błagałem ojca, aby jej rzucił bilet, ale zamówiwszy wprzód takie, na których byłoby przed jego nazwiskiem „*Mr*”. Ojciec nie spełnił żadnej z tych próśb; byłem w rozpacz przez kilka dni, a potem zastanowiłem się, czy ojciec nie miał racji. Ale używanie „*Mr*”, o ile było zbyt, było jasne. Mniej jasny był inny zwyczaj, który objawił mi się w dniu tego śniadania, ale nie opatrzone komentarzem. W chwili gdy miał przejść z przedpokoju do salonu, kamerdyner wręczył mi długą i wąską kopertę, na której widniało moje nazwisko. Zdziwiony, podziękowałem mu, patrząc równocześnie na kopertę. Nie wiedziałem, co mam z nią robić, jak cudzoziemiec nie wie, co ma począć z owymi małymi przyrządami, podawanymi gościom do obiadu w Chinach. Ujrzałem, że koperta jest zaklejona; bałem się okazać niedyskretny, otwierając ją zaraz; włożyłem ją z inteligentną miną do kieszeni. Pani Swann napisała mi kilka dni przedtem, żebym przyszedł na śniadanie „w małym kółku”. Było jednak szesnaście osób; nic nie wiedziałem, że pomiędzy nimi znajduje się Bergotte. Pani Swann, która mnie przedstawiła kilku osobom, naraz, po moim nazwisku, takim samym tonem (ot, jak gdybyśmy byli po prostu dwoma gośćmi, którzy będą jednak zadowoleni z wzajemnego poznania się) wyrzekła nazwisko słodkiego Śpiewaka o białych włosach. To nazwisko *Bergotte* wstrząsnęło mną jak wystrzał z rewolweru; ale instynktownie, dla zachowania kontenansu, skłoniłem się; na wprost mnie, jak owi prestidigitatorzy, gdy ukazują się nietknięci i w tuzurku w dymie wystrzału, z którego ulatuje gołąbek, oddał mi ukłon człowiek młody, tęgi, mały, barczysty i krótkowzroczny, z czarną bródką i z czerwonym nosem skreconym w kształt muszli ślimaka.

Byłem śmiertelnie smutny, bo oto rozsypał się w proch nie tylko tęskny starzec, z którego nie zostało już nic, lecz także piękność olbrzymiego dzieła, którą mogłem pomieścić w wątłym i świętym organizmie, wzniesionym niby świątynia umyślnie dla tego dzieła, ale dla której nie było miejsca w krępych, pełnym naczyń krwionośnych, kości i zwojów ciele małego człowieczka ze spleśzczonym nosem i z czarną bródką, jakiego miałem przed sobą. Cały Bergotte, którego powoli i delikatnie wypracowałem sam, kropla po kropli, niby stalaktyt, wraz z przezroczystym pięknem jego książek, ten Bergotte stawał się nagle czymś bezprzedmiotowym, z chwilą gdy trzeba mu było zachować zakrecony nos i zużytkować czarną bródkę; tak jak się staje do niczego rozwiązanie problemu, którego dane odczytaliśmy niedokładnie i nie licząc się z tym, że suma miała dać jakąś określoną cyfrę. Nos i bródka stanowiły elementy równie nieuchronne i tym bardziej krępujące, ile że, zmuszając mnie do całkowitego przebudowania osobistości Bergotte’a, zdawały się wciąż jeszcze zawierać, produkować, wydzielać pewien rodzaj inteligencji czynnej i zadowolonej z siebie, co było nie w porządku, bo ta inteligencja nie miała nic wspólnego z duchem rozlanym w jego książkach, tak dobrze mi znanych, nasyconych łagodną i boską mądrością. Wychodząc z książek, nigdy nie byłbym doszedł do tego skreconego nosa; ale biorąc za punkt wyjścia ten nos, który, jakby nie troszcząc się o to, spoglądał w świat z kawalerską fantazją, szedłem w zupełnie innym kierunku niż dzieło Bergotte’a; dotarłbym raczej do jakiejś charakterystyki spieszącego się inżyniera, z gatunku tych, którzy, kiedy się im ukłonić, uważają za właściwe powiedzieć: „Dziękuję, a pan?”, zanim się ich ktoś spyta o zdrowie; a kiedy im ktoś powie, że jest szczęśliwy z ich poznania, odpowiadają skrótem, który uważają za taktowny, inteligentny i nowoczesny, ile że nie marnuje cennego czasu na czcze formułki: „Nawzajem”.

Bez wątpienia, nazwiska, nazwy, to są fantazyjni rysownicy, kreślący nam szkice ludzi i krajów tak mało podobne, że często jesteśmy zdumieni, kiedy ujrzymy przed sobą, zamiast świata wyrojonego, świat widzialny (który zresztą nie jest światem rzeczywistym, bo zmysły nasze posiadają

nie o wiele więcej daru chwytania podobieństw niż wyobraźnia, tak iż rysunki możliwie zbliżone do rzeczywistości, są co najmniej równie odmienne od widzialnego świata, ile ten był odległy od świata urojonego). Ale co się tyczy Bergotte'a, kłopot z uprzednim nazwiskiem był niczym, w porównaniu z kłopotem, jaki mi sprawiało znane mi dzieło, do którego musiałem przywiązać, niby do balonu, człowieka z bródką, nie wiedząc, czy balon zachowa siłę wzniesienia. A przecież zdawało się, że to on napisał te książki, które tak ukochałem, bo kiedy pani Swann czuła się w obowiązku oznajmić mu mój kult dla jednej z nich, jegomość ów nie okazał się wcale zdumiony tym, że powiedziała to jemu, a nie innemu z gości, i nie zdawał się widzieć w tym omyłki; ale, wypełniając tużurek, który włożył na cześć zebranych, ciałem łakącym bliskiego śniadania, z głową zajęta innymi ważnymi realnościami, przyjął to jakby miniony epizod swego dawniejszego życia; ot tak, jakby ktoś zrobił aluzję do kostiumu księcia de Guise, jaki on, Bergotte, miał któregoś roku na balu kostiumowym; uśmiechnął się, wracając myślą do swoich książek, które natychmiast spadły dla mnie (pociągając w swoim upadku całą wartość Piękna, świata, życia) do jakiejś miernej rozrywki człowieka z bródką. Powiadałem sobie, że musiał w nie włożyć dużo pracy, ale że, gdyby był żył na wyspie otoczonej ławicami perłowych ostryg, oddałby się tam z powodzeniem handlowi pereł. Dzieło jego nie wydało mi się już tak nieuniknione. I wówczas zapytywałem sam siebie, czy oryginalność naprawdę dowodzi, że wielcy pisarze są jak bogowie władający każdy w wyłącznie swoim i własnym królestwie i czy nie ma w tym wszystkim trochę udania; czy różnice między utworami nie są raczej wynikiem pracy niż wyrazem zasadniczych różnic w substancji danych osobowości.

Tymczasem przeszliśmy do stołu. Przy swoim talerzu znalazłem goździk, z lodygą zawiniętą w srebrny papier. Mniej mnie to zakłopotało niż koperta doręczona w przedpokoju, o której zupełnie zapomniałem. Zwyczaj, mimo iż dla mnie tak nowy, stał mi się zrozumiały, kiedy ujrzałem, że wszyscy goście biorą podobne goździki, spoczywające przy każdym nakryciu, i wpinają je sobie w butonierki. Zrobiłem jak oni, z ową swobodną miną wolnomyśliciela w kościele, który nie zna porządku mszy, ale wstaje, kiedy wszyscy wstają, i przykłęka w chwilę po wszystkich. Inny zwyczaj, nieznamy mi a trwalszy, mniej mi się podobał. Po drugiej stronie mojego talerza znajdował się mniejszy talerzyk, napełniony czarną masą, w której nie odgadłem kawioru. Nieświadom, co z tym trzeba zrobić, postanowiłem jednak w duchu tego nie jeść.

Bergotte siedział niedaleko mnie, słyszałem doskonale jego słowa. Zrozumiałem wówczas wrażenie pana de Norpois. Miał w istocie dziwny organ; nic tak nie zmienia fizycznych właściwości głosu jak to, że zawiera myśl: wpływa to na dźwięczność dwugłosek, na energię dźwięków wargowych. I na dykcję. Dykcja Bergotte'a wydawała mi się zupełnie różna od jego sposobu pisania; a nawet to, co mówił, różne od tego, co wypełniało jego dzieła. Ale głos wychodzi z maski, spod której nie od razu może nam zdradzić twarz, jaką oglądaliśmy bez osłonek w stylu pisarza. W pewnych momentach, w których Bergotte zwykł był mówić w sposób mogący się wydać afektowanym i niemiłym nie tylko panu de Norpois, długo nie mogłem odkryć ścisłego związku z partiami jego książek, gdzie forma staje się tak poetyczna i melodyjna. Wówczas w tym, co mówił, Bergotte widział piękność plastyczną, niezależną od treści zdań; że zaś słowo ludzkie jest w związku z duszą, ale nie wyraża jej jak styl, robił wrażenie, że mówi niemal na wspak sensowi, psalmodiując niektóre słowa i – jeżeli rozstrzygał w nich jeden obraz – ciągnąc je bez przerwy jak jeden dźwięk z nużącą monotonią. Tak iż pretensjonalny, przesadny i monotony sposób mówienia był znakiem estetycznej jakości jego słów i był w jego rozmowie wyrazem tej samej władzy, jaka stworzyła w jego książkach ciągłość obrazów i harmonię.

Było mi zrazu tym trudniej się w tym rozeznąć, ile że to, co mówił w owych chwilach, właśnie dlatego, że to mówił naprawdę Bergotte, nie robiło wrażenia Bergotte'a. Była to obfitość myśli ścisłych, niemieszczących się w owym „stylu Bergotte”, jaki przyswoiło sobie wielu felietonistów; i ta odmienność – widziana mętnie poprzez konwersację, niby obraz przez okopcone szkło – była prawdopodobnie innym obliczem tego faktu, że kiedy się czytało stronicę Bergotte'a, nie była ona nigdy tym, co byłby napisał któryś z owych płaskich naśladowców, strojących wszelako,

w dziennikach i w książkach, swoją prozę tyłoma obrazami i myślami *à la Bergotte*. Owa różnica w stylu pochodziła stąd, że istotny „Bergotte” był przede wszystkim jakimś cennym i prawdziwym składnikiem, ukrytym w sercu danej rzeczy, a następnie wydobytym z niej przez tego wielkiego pisarza mocą jego talentu; i właśnie to wydobywanie było celem słodkiego Śpiewaka, nie zaś robienie Bergotte’a. Prawdę rzekłszy, robił go mimo woli przez to, że był Bergotte’em i że w tym sensie każda nowa piękność jego dzieła była małą dawką Bergotte’a utajoną w danej rzeczy i wydobytą przez niego. Ale o ile każda z tych piękności była przez to spokrewniona z innymi i rozpoznawalna, została mimo to odrębna jak odkrycie, które ją dobioło na jaw; nowa, a tym samym różna od tego, co nazywano „stylem Bergotte”, będącym mętną syntezą „Bergotte’ów” już znalezionych i zredagowanych przez niego, a zgoła niepozwalających ludziom przeciętnym zgadnąć, co by on odkrył gdzie indziej. Tak jest ze wszystkimi wielkimi pisarzami, piękno ich stylu jest nieprzewidziane, jak piękność kobiety, której się nie zna jeszcze; jest tworzeniem, skoro się ściąga do zewnętrznego przedmiotu, o którym oni myślą – nie zaś o sobie – i którego jeszcze nie wyrazili. Autor dzisiejszych pamiętników, gdy zechce bez ostentacji robić Saint-Simona, może od biedy nakreślić pierwszy wiersz portretu Villarsa: „Był to dość słuszny mężczyzna, brunet z fizjonomią żywą, otwartą, wyrazistą”, ale jakież determinizm pozwoli mu znaleźć drugi wiersz, zaczynający się od: „i jak gdyby trochę pomyłoną”! Prawdziwa różnorodność tkwi w tej pełni elementów rzeczywistych i niespodzianych; w obciążonej błękitnymi kwiatami gałęzi, strzelającej, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, z wiosennego żywopłotu, który zdawał się już nasycony; gdy czysto formalne naśladowanie różnorodności (a rozumowanie to można by przenieść na wszystkie inne właściwości stylu) wydaje jedynie pustkę i jednostajność, to znaczy rzecz najbardziej przeciwną różnorodności, a jeżeli może w tej imitacji dać jej złudzenie i przypominać ją, to chyba temu, kto nie zrozumiał jej u mistrzów.

Toteż – jak dykcja Bergotte’a budziła z pewnością zachwyt, gdyby on sam był tylko jakimś amatorem recytującym rzekomego Bergotte’a, zamiast żeby była zespolona z myślą Bergotte’a w ruchu i w czynie związkami witalnymi, nie od razu wyczuwalnymi dla ucha – tak samo, ponieważ Bergotte stosował ściśle tę myśl do wybranej przezeń rzeczywistości, słowa jego miały coś pozytywnego, przekrwionego, co sprawiało zawód tym, którzy spodziewali się, że on będzie mówił tylko o „wiekuistym strumieniu złudy” i o „tajemniczych dreszczach piękna”. Rzadkość wreszcie i nowość jego stylu wyrażały się w rozmowie tak subtelnym sposobem ujmowania zagadnień, z pominięciem wszystkich już znanych fizjonomii, iż robiło to wrażenie, że on bierze każdą rzecz od strony jakiegoś drobiazgu, że mija się z jej istotą, że się bawi w paradoksy; tym samym myśli jego najczęściej zdawały się mętne, gdyż każdy nazywa jasnymi myślami te, które posiadają ten sam stopień mętności co jego własne. Ponieważ zresztą warunkiem wszelkiej nowości jest uprzednie wyeliminowanie szablonu, do któregośmy przywykli i który nam się wydaje samą rzeczywistością, wszelka nowa rozmowa, jak wszelkie oryginalne malarstwo lub muzyka, wyda się zawsze wysiłona i męcząca. Zasada się ona na obrazach, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni; wydaje się nam, że ktoś mówi samymi przenośniami, co nuży i daje wrażenie sztuczności. (W gruncie, dawne formy były również niegdyś obrazami trudnymi do uchwycenia, gdy słuchacz nie znał jeszcze świata, jaki malowały. Ale od dawna wyobrażamy sobie, że to był świat rzeczywisty, polegamy na nim). Toteż kiedy Bergotte – co się dziś wydaje bardzo proste – powiedział o doktorze Cottard, że to jest „nurek Kartezjusza” szukający równowagi, a o Brichocie, że „ma więcej jeszcze od pani Swann kłopotu z fryzurą, bo pochłonięty naraz swoim profilem i swoją reputacją, musi nieustannie pilnować, aby jego koafiura dawała mu równocześnie minę lwa i filozofa”, szybko czuło się zmęczenie i chciało się odpocząć na czymś konkretniejszym, co znaczyło po prostu: *zwyczajniejszym*. Te obce mi słowa, wychodzące z maski, jaką miałem przed sobą, trzeba mi było odnieść do pisarza, któremu podziwiał; nie dałoby się ich włożyć w jego książki na sposób owych *puzzle*, które wstawia się w inne: były na innym planie i wymagały transpozycji. Tym samym, kiedy raz powtarzałem sobie słowa słyszane z ust Bergotte’a, odnalazłem w nich całą konstrukcję jego pisanego stylu, z którego mogłem rozpoznać i określić rozmaite partie w tym mówionym esej, wprzód dla mnie tak odmiennym.

Nawiasem mówiąc, specjalny, trochę zbyt staranny i dobitny sposób, w jaki Bergotte podkreślał niektóre słowa, niektóre przymiotniki często wracające w jego ustach i które wymawiał nie bez pewnej emfazy, wybijając wszystkie sylaby i dając coś śpiewnego ostatniej (na przykład w słowie *visage*, którego używał zawsze zamiast *figure* i któremu przydawał wielką obfitość v, s, g, jak gdyby eksplodujących naraz w jego otwartej wówczas dłoni), odpowiadał ściśle akcentowi, jakim w swojej prozie uwydatniał owe ulubione słowa, poprzedzając je rodzajem marginesu i oprawiając je w całość zdania w ten sposób, że trzeba było koniecznie pod grozą rytmicznego błędu – wydobyć całą ich wartość. Mimo to, nie odnajdywało się w mowie Bergotte'a owego oświecenia, które w jego książkach (jak również u pewnych innych autorów) zmienia często w pisanym zdaniu wygląd słów. To zapewne stąd, że światło to płynie z wielkiej głębi i nie dosięga swymi promieniami naszych słów w godzinach, gdy, udzielając się w rozmowie innym, stajemy się poniekąd zamknięci dla siebie. Pod tym względem, Bergotte miał więcej intonacji, więcej akcentów w książkach niż ustnie; akcentów niezależnych od piękności stylu i których sam autor zapewne nie czuł, ile że są one nieoddzielne od jego najtajemniejszej osobowości. To ten akcent, w chwili gdy Bergotte był w swoich książkach zupełnie naturalny, dawał rytm często bardzo nieznaczącym słowom. Akcent ten nie jest zaznaczony w tekście, nic go nie wskazuje, mimo to udziela się on sam z siebie okrosem, nie można ich wygłosić inaczej; akcent ten jest u pisarza czymś najbardziej ulotnym, a przecież najgłębszym; on będzie świadczył o jego naturze, on powie, czy mimo wszystkich twardych prawd, jakim dał wyraz, pisarz był ludzki; czy mimo wszystkich zmysłowości był sentymentalny.

Niektóre cechy wysłowienia, istniejące w rozmowie Bergotte'a w postaci wątego śladu, nie były ściśle jego własnością; kiedy poznałem później jego braci i siostry, odnalazłem je u nich, zaakcentowane o wiele silniej. Było to coś jakby szorstkiego i chrapliwego w ostatnich słowach wesołej myśli, coś omdlałego, gasnącego z końcem smutnej frazy. Swann, który znał Mistrza, gdy ten był dzieckiem, powiedział mi, że wówczas miał on, jak jego rodzeństwo, owe akcenty, można rzec, rodzinne: krzyki naglej wesołości, to znów szepty cichej melancholii, i że w pokoju, gdzie się bawili razem, on lepiej niż ktokolwiek z braci wykonywał swoją partię w ich ogłuszających na przemian i marzących koncertach. Wszelki taki dźwięk – choćby najbardziej własny – wydzielający się z istot, jest ulotny i nie przetrwa ich. Inaczej było z dykcją Bergotte'ów. Bo o ile trudno jest zrozumieć kiedykolwiek, nawet w *Meistersängerach*, w jaki sposób artysta może stworzyć muzykę, słuchając szczebiotu ptaków, Bergotte przecież wcielił i utrwalił w swojej prozie tę manierę kołysania słów, powtarzających się w krzykach radości lub ociekających westchnieniami smutku. Są w jego książkach spadki zdań, gdzie natłok dźwięków przedłuża się niby ostatnie akordy uwertury, która, jakby nie mogąc się skończyć, wiele razy powtarza ostatnią kadencję, zanim dyrygent odłoży pałeczkę; odnalazłem w nich później muzyczny równoważnik krtaniowych trąbek rodziny Bergotte. Ale co do niego samego, od chwili gdy przeniósł te akcenty w książki, nieświadomie przestał ich używać w mowie. Od dnia, gdy zaczął pisać, a tym bardziej później, kiedy go poznałem, głos jego zdezorkiestrował się na zawsze.

Ci młodzi Bergotte – przyszedł pisarz i jego rodzeństwo – nie przerastali wcale – raczej przeciwnie – innych młodych ludzi, subtelniejszych, inteligentniejszych, którym klan Bergotte wydawał się hałaśliwy, nawet trochę pospolity, drażniący w swoich żartach, stanowiących w pół pretensjonalny, w pół wygłupiający się styl tego domu. Ale geniusz, a nawet wielki talent, rodzi się nie tyle z czynników intelektualnych, subtelniejszych i wartościowszych niż u innych ludzi, ile ze zdolności przeobrażania, transponowania tych czynników. Aby ogrzać płyn lampą elektryczną, nie chodzi o to, aby mieć lampę możliwie najsilniejszą, ale aby mieć taką, której prąd, przestając oświetlać i zmieniając łożysko, byłby zdolny zamiast światła dawać ciepło. Aby latać w przestworzach, nie jest potrzebny automobil najsilniejszy, ale taki, który, przestając biec po ziemi i przecinając prostopadłą linią drogę swego pędu, byłby zdolny zmienić horyzontalną chyżość na siłę wzlotu. Tak samo ludźmi zdolnymi wydać genialne dzieła nie są ci, co żyją w najsubtelniejszym środowisku, najświetniejsi w rozmowie, najbogatsi w kulturę, ale ci, co, przestając nagle żyć dla samych siebie, zdołali

uczynić swoją osobowość podobną zwierciadłu, tak że ich życie, przy całej swojej towarzyskiej, a choćby intelektualnej miernocie, odbija się w nim. Geniusz polega tu na sile odbijającej, nie na swojej wartości odbitego przedmiotu. W dniu, gdy młody Bergotte zdołał pokazać swoim czytelnikom mieszczkański salon, w którym spędził dzieciństwo i niezabawne rozmowy, jakie tam prowadził z braćmi, w tym dniu wzniósł się wyżej od przyjaciół swojej rodziny, inteligentniejszych i wytworniejszych; ci, w swoich pięknych *rolls-royce'ach*, mogli, wróciwszy do domu, natrzęsać się nieco z pospolitości Bergotte'ów; ale on, na swoim skromnym aparacie, który się wreszcie „odziemił”, bujał ponad nimi.

Inne rysy wysłowienia miał Bergotte wspólne nie z członkami własnej rodziny, ale z niektórymi pisarzami swojej epoki. Młodszy, którzy zaczęli się go zapierać i przeczyć wszelkiemu z nim duchowemu pokrewieństwu, zdradzali je niechcący, używając tych samych przysłówków, tych samych przyimków, które on powtarzał bez ustanku; budując zdania w ten sam sposób, mówiąc na tym samym ściszym i matowym tonie, przez reakcję przeciw łatwej swadzie poprzedniego pokolenia. Może ci młodzi ludzie – ujrzymy, że byli i tacy – nie znali Bergotte'a. Ale jego sposób myślenia, raz im wszczepiony, rozwinął w nich te właściwości składni i akcentu, będące w nieodzownym związku z oryginalnością myśli. Stosunek ten wymaga zresztą komentarza. I tak, Bergotte, o ile nie zawdzięczał nic nikomu w swoim sposobie pisania, sposób mówienia przejął od jednego z dawnych kolegów, cudownego *causeura*, którego wpływowi uległ, którego bezwiednie naśladował w rozmowie, ale który, mniej utalentowany od niego, nigdy nie napisał naprawdę tegiej książki. Tak iż, gdyby się opierać na oryginalności wysłowienia, uznano by Bergotte'a za satelitę, za naśladowcę, gdy on, ulegając wpływowi przyjaciela w sferze konwersacji, był oryginalny i twórczy jako pisarz. I kiedy Bergotte chciał pochwalić jakąś książkę, wówczas – z pewnością dlatego, aby się odgrodzić od poprzedniego pokolenia, zbyt zamiłowanego w abstrakcjach, w szumnych komunałach – podkreślał i cytował z niej zawsze jakąś scenę szczególnie plastyczną, jakiś obraz bez treściowego znaczenia. „Och, tak! – powiadał – to bardzo tegie! jest tam mała dziewczynka w pomarańczowym szalu, kapitalne<sup>18</sup>

---

<sup>18</sup> *Och (...) kapitalne* – w wyd. popr. (PIW, Warszawa 1965) tłumaczenie uzupełnione w tym miejscu o następujące zdanie: „Albo: »Ach! Jest tam jedno miejsce, gdzie mowa o pułku, który przechodzi przez miasto. Wspaniałe!«”. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.